

Joe Haldeman

KAMUFLAŻ

Przełożyła

Iwona Michałowska



2010

Tytuł oryginału

Camouflage

Wrocław 2008

ISBN 978-83-245-8595-3

Wydawnictwo Dolnośląskie

50-010 Wrocław, ul. Podwale 62

oddział Publicat S.A. w Poznaniu

tel. 071 785 90 40, fax 071 785 90 66

e-mail: wydawnictwodolnoslaskie@publicat.pl

www.wydawnictwodolnoslaskie.pl

Prolog

Potwór wyłonił się z roju gwiazd, któremu ludzie nadali nazwę Gromady Strzelca, M22; z kulistego skupiska galaktyk, położonego w odległości dziesięciu tysięcy lat świetlnych od Ziemi. Milion gwiazd i dziesięć milionów planet, a wszystkie prócz jednej kompletnie pozbawione znaczących organizmów żywych.

Tamte rejony kosmosu raczej nie sprzyjają rozwojowi życia. Wszystkie planety leżą na niestabilnych orbitach, bo gwiazdy znajdują się tak blisko siebie, że je sobie nawzajem porywają, dzielą się nimi albo je pochłaniają.

Wiąże się to z szalonymi przemianami geologicznymi i klimatycznymi: większość planet to jałowe kule bilardowe albo gazowe olbrzymy pokroju Jowisza. A na tym jedynym świecie, na którym życie zdołało się zagnieździć, warunki są dość ekstremalne.

Wymaga to wielkich zdolności adaptacyjnych. Jaki organizm potrafi przetrwać w świecie gorącym jak Merkury, który nagle, w ciągu zaledwie kilku lat, oddala się od swego słońca na odległość Plutona?

Większość organizmów żywych utrzymuje się w prosty sposób: zastyga w letargu, oczekując na powrót odpowiednich warunków. Dominujący organizm ma jednak inny sposób. Zmiana jako taka jest kwintesencją jego istnienia. Istota owa potrafi wymusić własną ewolucję – nie tylko poprzez selekcję naturalną, lecz także nienaturalną mutację, zdolność zmieniania się w zależności od warunków. Stale dostosowuje się do okoliczności, a po milionach coraz szybszych i szybszych zmian przeobraża się w coś, co po prostu nie może umrzeć.

Ceną za wieczne życie był całkowity brak jego sensu. Planeta

macierzysta wirowała szaleńczo, a nasi bohaterowie trawili swoje dni na pełzaniu po pustyni i obgryzaniu kamieni, ślizganiu się po lodzie albo taplaniu w błocie zależnie od tego, gdzie można było znaleźć żywność.

Ich planeta kręciła się to w tę, to we w tę, aż wreszcie przypadek rzucił ją na skraj skupiska, oddalając od wiecznego ognia miliona słońc, umieszczając na stałej orbicie i czyniąc zeń świat, który był tylko w połowie dniem i w połowie nocą, a litościwe morza sprzyjały różnicowaniu. Dziesiątki gatunków przeszły w miliony i zwierzęta wypełzły z ciepłych wód na ląd, który się zazielenił i kipiał życiem.

Nieśmiertelne stworzenia, nie musząc już dłużej zmagać się z wrogą przyrodą, uniosły wzrok ku nocnemu niebu i ujrzały gwiazdy.

Obudziła się w nich ciekawość, potem filozofia, wreszcie nauka. Za dnia mrużyły oczy i spoglądały w niebo, by łapać tysiące słonecznych iskier. Nocą, poprzez ocean przestrzeni, niczym latarnia morska przyciągał ich chłodny, skłębiony owal naszej Drogi Mlecznej.

Niektóre z nich wybudowały statki i pognały w mrok. Podróż miała trwać milion lat, ale one przeżyły już więcej i były cierpliwe.

Milion lat przed tym, nim narodził się człowiek-potwór, jeden z takich statków wpadł do Oceanu Spokojnego i wiedziony instynktownym pragnieniem ukrycia się, zapadł się w głębinę. Obecna w środku istota wyłoniła się z pojazdu, oceniła sytuację i przeobraziła się w coś, co mogło przetrwać.

Przez długi czas żyła w mrokach oceanu, przykryta milami wody, wielka i niezwykła. Badała swoje położenie. W końcu porzuciła formę olbrzymiego beztlenowca, przybrała kształt wielkiego białego rekina ze szczytu łańcucha pokarmowego i ruszyła na rekonesans, pozostawiając większość swej kwintesencji w bezpiecznym schronieniu statku.

Długo, bardzo długo pamiętała, gdzie znajduje się statek. Pamiętała, skąd przybyła i po co. Ale w miarę upływu wieków zapominała to i owo. Po kilkudziesięciu tysiącach lat już tylko żyła, obserwowała i zmieniała się.

Napotkała na swej drodze ludzkość i zrozumiała, że ma do czynienia z gatunkiem, który dzięki swoim zdolnościom chwilowo uplasował się na szczycie wszystkich łańcuchów pokarmowych. Zmieniła się w orkę, potem w morświna, na koniec zaś w pływaka,

który pojawił się na stałym lądzie nagi i naiwny.
Lecz żądny wiedzy.

1.

Baja, California, 2029

Na przełomie wieków Russell Sutton przeżył epizodyczny flirt z rządem Stanów Zjednoczonych. Była to frustrująca praca na średnim stanowisku kierowniczym przy dwóch programach badania Marsa. Gdy drugi z nich zakończył się fiaskiem, Sutton pożegnał się z Wujem Samem i kosmosem, by powrócić do swej pierwszej miłości – biologii morskiej.

Nadal był kierownikiem i mózgiem projektów, tyle że teraz prowadził własną, niewielką firmę o nazwie Poseidon Projects. Zatrudniał dwanaście osób, z czego połowa miała doktoraty. Pracowali jednorazowo nad dwoma lub trzema projektami, a były to ezoteryczne problemy inżynieryjne, związane z zarządzaniem zasobami morskimi oraz z ich badaniem. Mówiono, że potrafią dokonywać cudów, a do tego dotrzymują obietnic i nie zdradzają tajemnic. Mogli sobie pozwolić na odrzucenie większości propozycji – tych, które nie były dostatecznie interesujące, i tych pochodzących od rządu.

Russ nie był więc specjalnie zachwycony, gdy drzwi jego gabinetu się otworzyły i stanął w nich facet w admiralskim mundurze. Jego pierwszą myślą była ta, że w zasadzie stać ich na recepcjonistkę, drugą – pytanie, jak sformułować odmowę, by gość szybko się wyniósł i nie zajmował mu więcej czasu.

– Doktorze Sutton, nazywam się Jack Halliburton.

Hmm... Zaczynało się robić ciekawie.

– Czytałem na studiach pańską książkę. Nie wiedziałem, że jest pan wojskowym. – Twarz mężczyzny istotnie przypominała nieco tę, którą pamiętał z tylnej strony okładki *Pomiarów i obliczeń*

batysferycznych, tyle że teraz był bez brody i ubyło mu trochę włosów. Wciąż jednak wyglądał jak Don Kichot na diecie.

– Proszę spocząć. – Russ machnął ręką w kierunku jedyne go krzesła, na którym nie zalegały sterty papierów i książek. – Z góry jednak zastrzegam, że nie pracujemy dla rządu.

– Wiem. – Admirał usiadł, kładąc czapkę na podłodze. – Właśnie dlatego tu jestem. – Otworzył niebieską, zapinaną na zamek błyskawiczny teczkę i wyjął zamknięty hermetycznie plastikowy folder. Obrócił go i przytknął kciuk do narożnika; folder odczytał linie papilarne i otworzył się. Halliburton rzucił go na biurko Russella.

Na pierwszej stronie napisano wielkimi, czerwonymi literami: ŚCIŚLE TAJNE – WYŁĄCZNIE DO PAŃSKIEJ WIADOMOŚCI. Nic ponad to.

– Nie mogę tego otworzyć. Poza tym, jak już wspomniałem...

– W gruncie rzeczy to nie jest takie tajne. Na razie. Z wyjątkiem mojej niewielkiej grupy badawczej nikt w rządzie nawet nie wie o tej sprawie.

– Ale przyszedł pan tu jako przedstawiciel rządu, prawda? Bo zakładam, że ma pan jakieś ubranie bez gwiazdek na ramionach.

– To barwy ochronne. Zaraz wszystko wyjaśnię. Proszę tylko zajrzeć do środka.

Russ zawahał się, po czym otworzył folder. Pierwsza strona przedstawiała wizerunek czegoś w kształcie cygara, zarysowanego na tle prostokąta szarych smug.

– To zdjęcie naszego odkrycia. Robiliśmy pozytonową mapę radarową rowu Tonga-Kermadec...

– Po cholere?

– Ta część akurat jest tajna. Poza tym nie dotyczy sprawy.

Russ miał wrażenie, że jego życie znalazło się w punkcie zwrotnym, co mu się nie podobało. Powoli obrócił się na krześle, wodząc wzrokiem po swojskim bałaganie, znajomych obrazkach i mapach na ścianie. Wielkie okno wychodziło na spokojne w tej chwili Morze Corteza.

– Domyślam się, że nie jest to coś, nad czym moglibyśmy pracować tutaj – rzekł, odwrócony plecami do Halliburtona.

– Nie. Wybraliśmy pewne miejsce na Samoa.

– Hmm... Atrakcyjne miejsce. Upał, wilgoć i obrzydliwe żarcie.

– Piękne dziewczęta i zero zimy. – Halliburton poprawił okulary. –

Żarcie zaś nie jest złe, jeśli nie ma pan nic przeciwko amerykańskiemu.

Russ obrócił się z powrotem i przestudiował obraz.

– Musi mi pan częściowo zdradzić, po co pan tam był. Czyżby marynarka wojenna coś zgubiła?

– Istotnie.

– Czy w tym czymś byli ludzie?

– Na to pytanie nie mogę odpowiedzieć.

– Właśnie pan odpowiedział. – Russ przerzucił stronę. Na drugiej widniało ostrzejsze zdjęcie obiektu. – Tego nie zrobiły pozytony.

– Zrobiły. Tyle że to kompilacja zdjęć zrobionych pod różnymi kątami, po usunięciu szumu.

Dobra robota, pomyślał Russ.

– Jak głęboko znajduje się to coś?

– Rów ma w tym miejscu siedem mil głębokości. Artefakt jest zagrzebany w piachu na czterdzieści stóp.

– Trzęsienie ziemi?

Admirał skinął głową.

– Ćwierć miliona lat temu.

Russ gapił się na niego przez dłuższą chwilę.

– Czy ja o tym nie czytałem w jakiejś starej książce Stephena Kinga?

– Proszę spojrzeć na następną stronę.

Tym razem była to zwykła fotografia barwna. Obiekt spoczywał na dnie głębokiej dziury. Russ pomyślał o tym, ile zachodu i pieniędzy musiało kosztować jej wykopanie.

– I marynarka o tym nie wie?

– Nie. Choć oczywiście wykorzystaliśmy jej sprzęt.

– A znaleźliście to, co oni zgubili?

– Znajdziemy w przyszłym tygodniu. – Halliburton wgapił się w widok za oknem. – Będę musiał panu zaufać.

– Nie doniosę na pana marynarce.

Admirał pokiwał wolno głową.

– Zaginiona łódź także znajduje się w tym rowie – rzekł, starannie dobierając słowa. – Niecałe trzydzieści mil od tego... obiektu.

– A jednak pan tego nie zgłosił. Bo?

– Za miesiąc minie dwadzieścia lat mojej służby w marynarce. Tak czy owak miałem zamiar odejść na emeryturę.

– Rozczarowany?

– Nigdy nie miałem wielkich złudzeń. Dwadzieścia lat temu chciałem porzucić karierę naukową, a marynarka po prostu złożyła mi ciekawą propozycję. Była to fascynująca praca, ale nie wzbudziła we mnie zaufania do wojska. Ani do rządu.

– W ciągu ostatnich dziesięciu lat – ciągnął – zebrałem wokół siebie grupę podobnie myślących osób. Zamierzałem zabrać niektórych spośród nich ze sobą, gdy już odejdę. Szczerze mówiąc, myślałem o założeniu czegoś podobnego do pańskiej firmy.

Russ podszedł do ekspresu i uzupełnił swoją filiżankę. zaproponował kawę admirałowi, ten jednak odmówił.

– Chyba rozumiem, do czego pan zmierza.

– Proszę mówić.

– Chce pan odejść wraz ze swoimi ludźmi i założyć biznes. Ale jeśli pan nagle „odkryje” to coś, rząd może zauważyć zbieg okoliczności.

– Coś w tym stylu. Proszę spojrzeć na następną stronę.

Było tam zbliżenie obiektu. Jego zakrzywiona powierzchnia idealnie odzwierciedlała kształt robiącej zdjęcie sondy.

– Próbowaliśmy pobrać próbkę metalu do analizy. Połamał wszystkie wiertła, którymi go zaatakowaliśmy.

– Diament?

– Jeszcze twardszy. I bardzo zbity. Nie możemy określić jego gęstości, bo nie jesteśmy w stanie go poruszyć, nie mówiąc już o podniesieniu.

– Jezu...

– Gdyby był atomową łodzią podwodną, dałby się odholować. A nie ma nawet jednej dziesiątej wielkości takiej łodzi. Podnieśliśmy go, gdyby był z ołowiu. Z czystego uranu. Ale on ma większą gęstość.

– Rozumiem – rzekł Russ. – Skoro my podnieśliśmy Titanica...

– Mogę mówić wprost?

– Zawsze.

– Moglibyśmy wydobyć obiekt za pomocą którejś z waszych technik. I zatrzymać wszystkie zyski, a te mogą być całkiem pokaźne. Ale jeśli ktoś powiąże nasze działania z marynarką, nieźle za to bekniemy.

– Jaki więc ma pan plan?

– Prosty: – Admirał wyjął z teczki mapę i rozwinął ją na biurku

Russa. – Będziemy wykonywać pewne zadanie na Samoa...

2.

San Guillermo, Kalifornia, 1931

Przed wyjściem z wody wytworzyło ubranie na zewnętrznej powierzchni swego ciała. Ponieważ częściej spotykało marynarzy niż rybaków, przywdziało ich strój. Wyszło na plażę w białym uniformie, który nie ociekał wodą, gdyż nie był zrobiony z materiału. Lśnił natomiast jak skóra morświna. To, co znajdowało się pod spodem, także bardziej przypominało organy tego ssaka morskiego niż człowieka.

Było już niemal ciemno i plaża opustoszała. Tylko jeden człowiek zauważył dziwną postać i podbiegł.

– Kurde, gościu, skądżeś ty przyplłynął?

Uzurpator otaksował go wzrokiem. Mężczyzna przewyższał go niemal o dwie głowy, był solidnie umięśniony i miał na sobie czarny kostium kąpielowy.

– Co jest, krasnalu? Połknąłeś język?

Ssaki można bardzo łatwo zabić. Wystarczy roztrzaskać im mózg. Uzurpator złapał mężczyznę za nadgarstek i jednym ciosem zgruchotał mu czaszkę.

Gdy ustały drgawki, uzurpator otworzył klatkę piersiową ofiary i przestudiował układ oraz budowę poszczególnych narządów i mięśni. Potem rozpoczął powolny i bolesny proces rekonfiguracji własnej postaci. Musiał zwiększyć masę o około trzydzieści procent, więc po analizie obu rąk oderwał je od ciała ofiary, przytknął do swojego i trzymał tak długo, aż zostały wchłonięte. Następnie dołożył kilka garści stygnących wnętrzności.

Ściągnął strój kąpielowy i zduplikował ukrytą w nim strukturę reprodukcyjną, po czym włożył go. Wybebeszone zwłoki zaniósł zaś

na głęboką wodę i podarował rybom.

Ruszył wzdłuż plaży ku światłom San Guillermo – krzepki, przystojny młodzieniec, powielony aż po linie papilarne w bezmyślnym procesie, który kosztował go półtorej godziny męczarni.

Nie umiał jednak mówić w żadnym ludzkim języku, a strój włożył tyłem do przodu. Szedł zamaszystym marynarskim krokiem: oprócz człowieka, którego niedawno zabił, przez cały miniony wiek widywał jedynie mężczyzn, którzy tak właśnie poruszali się po pokładzie.

Szedł ku światłu. Nim dotarł do niewielkiego kurortu, zrobiło się całkiem ciemno. Niebo było bezksiężycowe, lecz usiane gwiazdami. Coś sprawiło, że uzurpator zatrzymał się i długo spoglądał w górę.

Miasteczko kipiało od dekoracji bożonarodzeniowych. Zauważył, że inni ludzie są ubrani niemal od stóp do głów. Mógłby dorobić sobie więcej stroju albo zabić jeszcze jedną osobę, gdyby tylko udało mu się znaleźć właściwy rozmiar. Ale nie zdążył.

Z baru z hamburgerami wyszło pięcioro roześmianych nastolatków. Śmiech zamarł im na ustach.

– Jimmy? – odezwała się piękna dziewczyna. – Co ty wyprawiasz?

– Nie za zimno ci? – dodał jeden z chłopaków. – Jim?

Zaczęli się zbliżać. Uzurpator stał spokojnie, wiedząc, że może bez trudu zabić całą piątkę. Ale nie było potrzeby. Tamci wciąż wydawali jakieś odgłosy.

– Coś jest nie tak – powiedział starszy chłopak. – Miałeś wypadek, Jim?

– Po obiedzie wyjechał z deską surfingową – zauważyła dziewczyna, rozglądając się po ulicy. – Nie widzę jego samochodu.

Nie pamiętał, czym jest język, ale wiedział, jak komunikują się walenie. Spróbował naśladować dźwięk, który powtarzali.

– Dżym.

– Jezu – rzekła dziewczyna. – Może uderzył się w głowę?

Podeszła i wyciągnęła rękę ku jego twarzy. Uderzył ją.

– Au! Jezu, Jim! – Chwyciła się za przedramię, którego omal nie złamał.

– Jezu, dżym – powtórzył niezdarnie, usiłując odzwierciedlić wyraz jej twarzy.

Jeden z chłopaków odciągnął dziewczynę.

– To jakaś szajba. Lepiej na niego uważaj.

– Panie policjancie! – zawołała dziewczyna. – Panie Sherman!

Wielki człowiek w mundurze pospiesznie przeszedł przez ulicę.

– Jim Berry? Co jest, u licha?

– Uderzył mnie – poskarżyła się ślicznotka. – Zachowuje się jak wariat.

– Jezu, Jim – powtórzył sobowtór, imitując intonację dziewczyny.

– Gdzie twoje ubranie, kolego? – zapytał Sherman, rozpinając kaburę.

Uzurpator rozumiał, że sytuacja jest złożona i niebezpieczna. Wiedział, że ma do czynienia ze zwierzętami stadnymi i że te zwierzęta się komunikują. Należało spróbować nauczyć się ich języka.

– Gdzie twoje ubranie, kolego? – zapytał głębokim basem.

– Może uderzył się w głowę, gdy surfował – powiedziała dziewczyna, która przed chwilą oberwała. – Przecież pan wie, że to porządny chłopak.

– Nie wiem, czy odwieźć go do domu, czy do szpitala – rzekł policjant.

– Do szpitala – powtórzył sobowtór.

– Pewnie tak – zgodził się policjant.

– Pewnie tak – powtórzyła istota.

Gdy policjant dotknął jej łokcia, nie zabiła go.

3.

Środkowy Pacyfik, Kalifornia, 2019

Zrobili tak: Poseidon Projects otrzymało od siostrzanej firmy badawczej – będącej w istocie przykrywką, którą Jack Halliburton sprokurował przy użyciu swoich pieniędzy i wyobraźni – zlecenie na podniesienie zatopionego u wybrzeży Samoa niszczyciela, reliktu z czasów wojny hiszpańsko-amerykańskiej. Ledwie jednak przetransportowali na miejsce swój sprzęt, dostali pilne wezwanie od marynarki Stanów Zjednoczonych: na dnie rowu Tonga leżała atomowa łódź podwodna, którą Poseidon mógł podnieść znacznie szybciej niż wojsko. Istniała nadzieja, że ktoś z załogi przeżył. Poseidon przeniósł się o pięćset mil najszybciej, jak mógł.

Jack Halliburton, rzecz jasna, wiedział, że łódź uległa przebicciu i nie ma mowy, by ktoś to przeżył. Pretekst ów pozwolił jednak Russellowi Suttonowi przemieścić się wzdłuż całej długości rowów Tonga i Kermadec. Po drodze Russ dokonywał rutynowych badań sondą. Niedaleko łodzi natrafił na tajemniczy wrak.

Wysiłki jego załogi doczekały się licznych wzmianek w mediach. Podkreślano, że Sutton podjął się tego zadania z uprzejmości zawodowej i patriotyzmu. Jego firma cieszyła się sławą i dobrą opinią od czasu podniesienia Titanica. Przy całym patosie i powszechnej fascynacji towarzyszącej sprawie zaginionej łodzi podwodnej niemal niezauważona przeszła wieść, że Russell odkrył po drodze coś ciekawego i zastrzegł sobie prawo do wydobycia tego.

Naprawdę niezwykle był widok łodzi wyłaniającej się z głębin w otoczeniu pomarańczowych balonów wielkości domu, których Russ użył do tego zadania. Gdy rozpoczęła się posępna procedura wydobycia i identyfikacji szczątków marynarzy, kamerzyści

wyjechali, by powrócić, gdy 121 owiniętych we flagi trumien wyruszyło w rejs na pokładzie transportowca, u boku którego unosił się kadłub łodzi.

Potem reporterzy wynieśli się na dobre i rozpoczęła się właściwa historia.

4.

San Guillermo, Kalifornia, 1931

Ubrali go w biały szpitalny szlafrok i posadzili w gabinecie. Nadal podążał bezpiecznym kursem imitowania zachowań lekarzy i pielęgniarek, a także mężczyzny i kobiety, którzy byli rodzicami prawdziwego Jimmy'ego. Zdołał nawet odtworzyć łzy matki.

Rodzice podążyli za lekarzem rodzinnym do sąsiedniego pokoju, by porozmawiać na osobności.

– Nie wiem, co państwu powiedzieć – wyznał doktor Farben. – Na ciele nie ma śladu urazu. Chłopak wydaje się całkiem zdrowy.

– Udar? – zapytał ojciec. – Atak epilepsji?

– Możliwe. Bardzo prawdopodobne. Zatrzymamy go na kilkudniowej obserwacji. Może coś się wyjaśni. Jeśli nie, będą państwo musieli podjąć jakąś decyzję.

– Nie poślę go do żadnego zakładu – rzekła matka. – Sami się nim zajmujemy.

– Poczekajmy, aż będziemy wiedzieć więcej – odparł doktor, poklepując ją po ręce, lecz patrząc na ojca. – Jutro obejrzy go specjalista.

Umieścili go na oddziale, gdzie mógł obserwować zachowanie pozostałych pacjentów i nawet nauczył się odpowiednio korzystać z kaczki. Skład chemiczny wytwarzanego przezeń płynu mógłby jednak zdziwić naukowców. Jedna z pielęgniarek zauważyła, że mocz cuchnie rybami. Nie wiedziała, że jego część pochodzi z pęcherza morświna.

Nocami trochę cierpiał, bo jego narządy wewnętrzne ulegały przeobrażeniom. Na zewnątrz zachowywał ten sam wygląd. Analizował wszystko, czego się dowiedział o ludzkim zachowaniu,

wiedząc, że musi upłynąć trochę czasu, nim będzie mógł się przekonująco komunikować.

Myślał także o sobie. Nie był człowiekiem w większym stopniu niż przedtem morświnem, orką czy żarłaczem białym. Choć jego wspomnienia zanikały w miarę upływu tysiącleci, miał wrażenie, że większość z nich wciąż żyje w morzu. Może jako człowiek mógłby tam wrócić i odnaleźć resztę siebie?

* * *

Jakaś para, która wybrała się na spacer w słonym powietrzu poranka, znalazła w kamienistej sadzawce ciało przystrojone jedynie w żarłoczne kraby. Z twarzy i innych miękkich części ciała nic nie pozostało, ale sylwetka była dla koronera wystarczającym dowodem na to, że należało ono niegdyś do mężczyzny. Rekin lub coś podobnego oderwało mu obie ręce. Zniknęły też wnętrzności.

Nie zgłoszono zaginięcia nikogo spośród miejscowych ani turystów. Jakiś reporter zasugerował, że mógł to być lincz, a ręce odrąbano, by nie pozostawić linii papilarnych. Koroner pokazał mu zwłoki i wyjaśnił, dlaczego uważa, że ręce zostały raczej oderwane niż odrąbane czy odpiłowane, ale reporter uciekł w połowie demonstracji.

Raport koronera stwierdzał, że stopień rozkładu ciała wskazuje na to, iż znajdowało się w wodzie najwyżej dwanaście godzin. Z Sacramento przysłano wiadomość, że nie zgłoszono zaginięcia żadnych osób pasujących do opisu. To musiał być jakiś włóczęga. Po prowincji szwendało się ich mnóstwo i od czasu do czasu któryś szedł sobie popływać, nie mając zamiaru wrócić na ląd.

* * *

W ciągu następnych dwóch dni przebadano Jimmy'ego trzech speców od mózgu. Byli skonsternowani i sfrustrowani. Jego objawy pod pewnymi względami wskazywały na udar, pod innymi zaś na głęboką amnezję wywołaną urazem głowy, lecz nie było żadnych oznak fizycznych potwierdzających tę tezę. Chłopak mógł mieć guza mózgu, ale rodzice nie zgadzali się na badanie rentgenowskie. Było to niezmiernie korzystne dla uzurpatora, bo to, co nosił pod czaszką, nie

przypominało mózgu człowieka bardziej niż morświna i w dodatku zawierało kryształy i metale pozaziemskiego pochodzenia.

Psychiatra spędził z Jimmym kilka godzin i niewiele mu z tego przyszło. Pacjent w ciekawy sposób reagował na test skojarzeń słownych: małpował każde słowo, naśladowując niemiecki akcent lekarza. W późniejszych latach lekarz mógłby sklasyfikować jego zachowanie jako pasywno-agresywne, ale ówczesna psychiatria pozwoliła mu jedynie powiedzieć rodzicom, że na pewnym poziomie chłopak prawdopodobnie zachował wszystkie lub większość swoich cech, lecz cofnął się do stadium wczesnodziecięcego. Doktor zalecił umieszczenie Jimmy'ego w zakładzie dla obłąkanych, w którym ten mógłby korzystać z nowoczesnych metod leczenia.

Matka upierała się przy zabraniu go do domu, ale pozwoliła lekarzowi spróbować najpierw kuracji gorączkowej, polegającej na wstrzyknięciu krwi pacjenta chorego na malarię trzeciaczkę. Jimmy przez kilka dni uśmiechał się jak niespełna rozumu, zachowując tę samą temperaturę – ciało uzurpatora pochłaniało pasożyty wywołujące malarię razem z resztą szpitalnego jedzenia – i po tygodniu bezowocnych obserwacji został w końcu wypuszczony.

Rodzice chłopaka zatrudnili pielęgniarkę i pielęgniarza: w domu z widokiem na morze było dość miejsca, by zamieszkali z rodziną.

Oboje nowo zatrudnieni mieli doświadczenie w pracy z opóźnionymi w rozwoju dziećmi i dorosłymi, ale wystarczyło kilka dni, by się zorientowali, że przypadek Jimmy'ego jest zupełnie inny. Chłopak był całkowicie bierny, lecz nigdy nie sprawiał wrażenia znudzonego. Przeciwnie: zdawał się obserwować ich z wielką uwagą.

(Kobieta, Deborah, przywykła do takich obserwacji: była piękna i pełna. Natężenie zainteresowania Jimmy'ego dziwiło ją jednak, gdyż zdawało się nie mieć podłoża seksualnego, podczas gdy chłopak w jego wieku i z jego sylwetką powinien wprost kipieć energią i ciekawością seksualną. Ale jej „przypadkowe” obnażanie się i dotykanie pacjenta nie wywoływało najmniejszej reakcji. Chłopak ani razu nie miał erekcji, nigdy nie próbował zajrzeć jej w dekolt i nic nie wskazywało, by kiedykolwiek się masturbował. Na tym etapie rozwoju uzurpator potrafił jedynie imitować podpatrzone zachowania).

Uczył się czytać. Codziennie po obiedzie Deborah przez godzinę czytała mu książki dla dzieci, wodząc palcem po wyrazach. Potem

podawała książkę Jimmy'emu, a on powtarzał wszystko, słowo po słowie – JEJ głosem.

Prosiła więc pielęgniarkę, Lowella, żeby ją zmienił, a wtedy – rzecz jasna – Jimmy naśladował jego. Poddawało to w wątpliwość samą umiejętność czytania, ale za to pamięć pacjenta okazała się fenomenalna. Wystarczyło, że Deborah wskazała którąkolwiek przeczytaną wspólnie książkę, a Jimmy potrafił wyrecytować ją od A do Z.

Matka chłopaka była zadowolona z jego postępów, ale ojciec miał wątpliwości i kiedy psychiatra, doktor Grossbaum, przyszedł na cotygodniową wizytę, przyznał mu rację. Jimmy wyrecytował listę nerwów twarzowych, której uczą się wszyscy studenci medycyny, a następnie poemat Schillera w nieskazitelnej niemczyźnie.

– O ile nie uczył się potajemnie niemieckiego i medycyny – rzekł Grossbaum – to, co teraz powtarza, nie pochodzi z przeszłości.

Potem opowiedział rodzicom o ludziach z „syndromem mędrca” – osobach, które posiadają zdumiewające zdolności w jakiejś wąskiej dziedzinie, ale poza tym nie potrafią normalnie funkcjonować. Przyznał jednak, że nie słyszał o nikim, kto ze zdrowego człowieka przeobraziłby się w osobę dotkniętą tym schorzeniem. Obiecał, że to sprawdzi.

Postępy Jimmy'ego w kwestiach mniej intelektualnych były szybkie. Już nie obijał się niezdarnie po domu i ogrodzie, jak na początku, gdy zdawał się nie wiedzieć, do czego służą drzwi i okna. Lowell i Deborah nauczyli go gry w badmintona. Początkowo był nieco zagubiony, ale szybko się okazało, że ma do tego dryg, co nie powinno nikogo dziwić, bo przed wypadkiem był najlepszym tenisistą w klasie. Zaskoczeniem były natomiast jego zdolności pływackie – gdy tylko wskoczył do basenu, szybko przepłynął dwie długości pod wodą, posługując się niezidentyfikowanym stylem. Kiedy pokazali mu kraula, żabkę i styl grzbietowy, natychmiast je sobie „przypomniał”.

W drugim tygodniu po powrocie jadał już posiłki z rodziną, nie tylko idealnie posługując się skomplikowaną zastawą stołową, ale i wyraźnie komunikując swoje życzenia służbie, choć nie potrafił przeprowadzić nawet prostej rozmowy.

Matka zaprosiła na obiad doktora Grossbauma, by zobaczył, jak świetnie chłopak sobie radzi. Psychiatra był pod wrażeniem, ale nie

dlatego, że zauważył dowody postępów. To była kolejna deklamacja Schillera i listy nerwów; kolejne przyswajanie badmintonu i pływania. Chłopak potrafił idealnie naśladować dowolną osobę. Gdy chciało mu się pić, wskazywał szklanekę, a ta zostawała napełniona. Po prostu robił to co matka.

Rodzice najwyraźniej nie zauważyli, że ilekroć służący wydawał jakiś dźwięk pod adresem Jimmy'ego, ten uśmiechał się i kiwał głową. Gdy służący zakończył jakieś zadanie, chłopak znów się uśmiechał i kiwał. Istotnie przynosili mu sporo jedzenia, ale przecież był dorastającym młodzieńcem.

Ciekawe jednak było to, że nie przybiera na wadze. Ćwiczenia?

To nie było naukowe podejście, ale Grossbaum przyznał się przed sobą, że nie lubi tego chłopaka i że z jakiegoś powodu się go boi. Może to dlatego, że kiedyś odbywał staż w więzieniu i zachował nieprzyjemne wspomnienia z tamtego okresu. W każdym razie zawsze czuł, że Jimmy intensywnie go obserwuje – jak inteligentni więźniowie, którzy myślą: „Do czego może mi się przydać ten facet?”.

Lepszy psychiatra mógłby zauważyć, że uzurpator traktuje w ten sposób wszystkich.

5.

Apia, Niezależne Państwo Samoa, 2019

W tropikach cement strasznie długo schnie, więc zamaskowany artefakt przez dwa tygodnie unosił się na powierzchni wody, czekając, aż gruba płyta z prętem zbrojeniowym stwardnieje. Przeprowadzający operację wiedzieli, że tak masywnego obiektu nie utrzymałaby podłoga żadnej konwencjonalnej fabryki. Rzecz miała wielkość małej ciężarówki, ale jakimś cudem ważyła więcej niż łódź podwodna klasy Nautilus: pięć tysięcy ton metrycznych. Nawet jeśli była bryłą zbitego metalu, musiała być trzy razy gęstsza od plutonu.

W dniu, w którym odszedł z marynarki, Halliburton zaczął zapuszczać brodę i włosy. Broda rosła w nieregularnych kępkach, zdumiewająco jasnych na tle opalonej skóry. Nosił zwykle krzykliwe hawajskie koszule i biały, płócienny tropikalny garnitur. Wyglądałby bardziej porządnie, gdyby nie to, że palił fajkę i strzepywał popiół na ubranie, pokrywając je szarymi smugami.

Russell przyglądał się współnikowi z mieszanką sympatii i ostrożności. Czekali na lunch, popijając kawę na werandzie wychodzącej na plażę hotelu Harbour Light.

Był poranek, piękny jak większość tutejszych wiosennych poranków. Turyści pławili się w słońcu i spacerowali po ciemnym piasku plaży, dzieci bawiły się i śmiały, pary kręciły się nieporadnie w wynajętych kajakach na płycznach za rafą, prawdopodobnie tylko drażniąc nurków.

Russell podniósł niewielką lornetkę i przez chwilę obserwował kobiety na plaży. Potem powiódł wzrokiem wzdłuż linii horyzontu, kierując się na północ, i z trudem dostrzegł parę łopoczących proporczyków, znaczących unoszący się na wodzie skarb.

– Dodzwoniłeś się dzisiaj do Manola?

Halliburton skinął głową.

– Wybierał się na miejsce. Mówi, że będą testować wałki.

– Niby na czym?

– Na dwóch czołgach marynarki Stanów Zjednoczonych, które zaginęły z arsenału w Pago Pago wraz z załogami. Wiesz, ile kosztowały?

– To twoja działka.

– Nada. Ani grosza. – Zachichotał. – To ćwiczenia wojskowe.

– Sprytne. Niedawno jadł tu z nami kolację jakiś pułkownik marynarki.

– Właśnie. – Trzej kelnerzy przynieśli lunch, złożony z dwóch stert świeżo pokrojonych owoców i gorącej patelni skwierczących kiełbasek. Halliburton kazał im zabrać kawę z powrotem i poprosił o Krwawą Mary.

– Świętujesz?

– Zawsze. – Zignorował owoce i rzucił się na kielbaski. – Test powinien się zacząć około czternastej.

– Ile ważą te czołgi? – Russell nałożył sobie mango, papaję i melona.

– Musiałbym sprawdzić. Jakies sześćdziesiąt ton.

– Może być. Mieści się w kilku rzędach wielkości.

– Musimy ekstrapolować.

– Pomyślmy. – Starannie poszatkował melona. – Jeśli dwufuntowy kurczak może siedzieć na jajku i nie uszkodzić go, ekstrapolujmy efekt na jednotonowego kurczaka.

– Ha, ha. – Pojawił się kelner z Krwawą Mary. – Z dżinem, sir. – szepnął. Halliburton skinął nieznacznie głową.

– Chyba nie mamy tu do czynienia z prawem Hooke’a w czystej postaci – kontynuował Russell. – Jak można osiągnąć liczbę, która będzie cokolwiek znaczyła?

Halliburton odłożył sztućce, starannie wytarł palce, po czym wyciągnął z kieszeni koszuli notes elektroniczny i kilka razy postukał w klawiaturę.

– Algorytm Wallace’a-Gellmana.

– Nigdy o nim nie słyszałem.

Halliburton ustawił jasność obrazu i podał notes rozmówcy.

– Chodzi o ściśliwość. O te płyty zabezpieczające, które

wwierciliśmy w piasek. W gruncie rzeczy masę całości utrzymuje kolumna piasku.

– Dom wybudowany na piasku. Czytałem o tym. – Russell przestudiował ekran i wstukał kilka zmiennych, by uzyskać dokładny wynik. Mruknął z zadowoleniem i oddał notes. – Skąd go wzięłeś?

– Z Best Buy.

Skrzywił się.

– Mam na myśli algorytm.

– Z kodeksu budowlanego Kalifornii. Dom wybudowany na piasku nie ustoi bez niego.

– Hmm... Ile waży blok mieszkalny?

– Coś koło tego. Na pewno trochę osiadzie. Dlatego potrzebna nam fosa i grobla.

– Jeśli osiadzie o więcej niż pięć metrów, zamiast fosy będziemy mieć podwodne laboratorium. – Plan był taki, by po umieszczeniu obiektu na miejscu zakryć go prefabrykowaną kopułą pięciometrowej wysokości i wykopać wokół niej fosę, a wokół fosy usypać wysoką groblę. (Wystarczyło, że obiekt zapadnie się o więcej niż kilka stóp, by podczas przyływu woda i tak zaczęła do niego przesiąkać. Budowa fosy niejako włączała tę nieuchronność w całość planu).

– Nie dojdzie do tego. Pamiętaj, że gdy go znaleźliśmy, też leżał w piasku.

Ale nie w piasku wulkanicznym, pomyślał Russell. Nie chciał jednak się spierać. W końcu piasek koralowy nie był chyba o tyle bardziej ściśliwy.

Skinął na kelnera.

– Czy minęło już południe, Josh?

– Tu zawsze jest popołudnie, sir. Białego wina?

– Poproszę. – Sięgnął ponad owocami i nabił na widelec kielbasę.

– Kiedy mają dotrzeć te czołgi?

– Powiedzieli, że o trzynastej.

– Czasu samońskiego?

– Czasu korpusu marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych. Muszą je odwieźć na miejsce przed nocą, więc podejrzewam, że będą się spieszyć.

* * *

Żołnierze pojawili się nawet nieco wcześniej. Kwadrans przed pierwszą Russell i Halliburton usłyszeli warkot helikopterów transportowych, okrążających wyspę. Prawdopodobnie nie chciały lecieć wprost nad nią. Lepiej nie denerwować uzbrojonej ludności.

Były to dwa wielkie dźwigi latające, warczące rytmicznie pod ciężarem swego ładunku – dwóch czołgów Powella koloru piaskowego, które kołysały się pod nimi z flegmatyczną gracją sześćdziesięcotonowych wahadeł. Helikoptery przez chwilę krążyły nad rafą, po czym wylądowały w bazie Poseidona – na czterdziestoakrowym rombie piachu i karłowatej roślinności, otoczonym wysokim płotem z prefabrykatów.

Kierując się wskazówkami dwóch stojących na ziemi mężczyzn, oba śmigłowce posadziły czołgi, wywołując jeden wielki zgrzyt. Potem, szumiąc łagodnie, zwinęły liny i delikatnie osiadły na lądowisku w formie płyty z perforowanej stali, położonym minimalnie nad linią przyływu.

Na terenie bazy czekało troje inżynierów Poseidona. Greg Fulvia, który sam zaledwie kilka lat wcześniej odszedł z marynarki, poszedł porozmawiać z załogami czołgów, a Naomi Linwood i Larry Pembroke dokonali ostatecznej kolimacji czterech par teodolitów laserowych, które miały mierzyć deformację betonowego podłoża, gdy wielkie maszyny będą po nim jeździć w tę i we w tę.

Kilku pracowników podjechało samochodzikiem plażowym i postawiło parasol nad składanym stołem, przy którym stali w pełnym słońcu Russell i Halliburton. Ustawiono też cztery krzesła i lodówkę turystyczną pełną butelek wody i limonek z lodem. Naomi od razu podeszła, by się poczęstować.

– Przynieść ci? – zawołała przez ramię do Larry’ego.

Była opalona, wzrostu Russella, o atletycznej budowie, z twardymi bicepsami, świetnie widocznymi poprzez obcisłe rękawy kombinezonu khaki, na którym tworzyły się już ciemne plamy potu. Miała wyraźne rysy arabskie i szeroki uśmiech.

Wycisnęła połówkę limonki do szklanki i zalała sok lodowatą wodą gazowaną, po czym wypila połowę duszkiem. Otarła usta niebieską chustą, którą następnie przycisnęła do czoła.

– Módlmy się o deszcz – powiedziała.

– Mówisz serio? – zainteresował się Halliburton.

Uśmiechnęła się krzywo.

– Moje modlitwy zawsze pozostają bez odpowiedzi. – Zerknęła na cumulusy piętrzące się nad wyspą. – Dobrze by było, gdybyśmy się z grubsza wyrobili do wpół do trzeciej. – Około trzeciej zwykle padało. – Jeśli będziemy mieć pecha, możemy zapiaszczyć sprzęt.

– To by zepsuło odczyty?

Opuściła okulary słoneczne na nos i zerknęła na niego sponad nich.

– Nie, przyrządy pomiarowe są zabezpieczone. Chodzi mi jedynie o to, że wolałabym sobie wieczorem pooglądać telewizję, niż rozbierać i czyścić trójnogi. – Jeden z czołgów zaryczał i zakaszłał białym dymem. – W pooorzo... – Odstawiła szklanekę i potruchtała ku Larry’emu z butelką w dłoni.

Russell i Halliburton nie musieli przy tym być. Pomiary nie wymagały wiele zachodu. Ale i tak nie mieli nic lepszego do roboty aż do następnego dnia, kiedy miano wyciągnąć artefakt na brzeg. Halliburton połączył się ze swego notesu z centralnym komputerem i podał wyniki Wallace’a-Gellmana, stanowiące, z grubsza biorąc, liczbę milimetrów, o którą ugięło się w trzech kierunkach betonowe podłoże pod wpływem jeżdżących czołgów. Artefakt miał ostatecznie spocząć pośrodku płyty, która była nieco mniejsza od boiska do koszykówki, ale najpierw musiał być przetoczony lub przeciągnięty z jej skraju. Chcieli mieć pewność, że nie ugnie płyty tak mocno, by ta pękła.

Tymczasem pojawił się kłopot w postaci młodego człowieka w całkiem nieplażowym i niedostosowanym do samońskich upałów stroju. Gość pasował raczej do klimatyzowanego biura. Miał na sobie wymiętą ciemną marynarkę i krawat. Podszedł do żółtej taśmy z napisem: „NIEBEZPIECZEŃSTWO. PRZEJŚCIE ZABRONIONE” i machał w kierunku Russella i Halliburtona, wołając: „Halo? Panowie?”.

Był to bardzo czarny facet, mówiący z brytyjskim akcentem.

Russell pozostawił Halliburtona z jego liczbami i ostrożnie zbliżył się do intruza. Nie widywali tu wielu obcych, a tym bardziej takich, którzy poruszają się bez wynajętej ochrony.

– Jak pan ominął strażnika? – zapytał.

– Strażnika? – Facet uniósł brwi. – Widziałem budkę, ale nikogo nie było w środku.

– Albo po prostu zaczekał pan, aż strażnik pójdzie do ubikacji, i wtedy się prześliznął. Powinniśmy zatrudniać dwóch. Poza tym z

pewnością widział pan tabliczkę.

– Tak. Własność prywatna. Właśnie to mnie zaciekało. Sądziłem, że to publiczna plaża.

– Nie teraz.

– Ale brama była otwarta...

Przybiegł strażnik.

– Przepraszam, panie Sutton. Ten pan się...

Russ uspokoił go gestem.

– Wynajęliśmy ten teren – rzekł do Murzyna.

– Atlantis Associates – przytaknął tamten. Tego nie było na tabliczce.

– A zatem wie pan o mnie więcej niż ja o panu. Pracuje pan dla rządu?

Intruz uśmiechnął się.

– Amerykańskiego. Jestem reporterem „Pacific Stars and Stripes”.

Hmm... Łowca sensacji militarnych.

– Jest pan wojskowym? – Nie wyglądał na takiego. Skinął jednak głową.

– Sierżant Tulip Carson, sir. – W odpowiedzi na pytające spojrzenie Russa dodał: – W trakcie zmiany płci, sir.

To już było za wiele na jeden raz. Mimo to Russ zdobył się na odpowiedź.

– Na razie nie rozmawiamy z prasą.

– Jakiś czas temu zgłosił się pan na ochotnika do wydobycia łodzi – rzekł pośpiesznie Carson – a potem zastrzegł sobie prawo wydobycia zatopionego okrętu, który odkrył pan po drodze.

– To nie tajemnica – odparł Russ. – Żegnam, panie Carson.

Odwrócił się i odszedł.

– Ale żaden okręt tam nie zatonął, prawda, panie Sutton? – zawołał za nim intruz. – A teraz macie tu ten zamaskowany obiekt... i te helikoptery, i czołgi...

– Miłego dnia, sierżancie – rzekł Russell w pustkę, uśmiechając się. To był dokładnie taki początek rozgłosu, na jaki liczyli. Ktoś coś skrywa? Kto, my?

Gdy wreszcie odsłonią artefakt, będzie się temu przyglądał cały świat.

6.

San Guillermo, Kalifornia, 1932

Wkrótce po Nowym Roku uzurpator zaczął sam składać zdania. Były jednak bardzo proste i często bezsensowne lub dziwacznie zaszyfrowane. Jak zauważyła matka Jimmy'ego, nadal „coś było nie w porządku”.

Nie musiał nabywać inteligencji, bo miał jej aż nadto, ale musiał zrozumieć ludzkie pojmowanie tego słowa. A było ono bardzo odległe od tego, czego nauczył się od zwierząt wodnych.

Uzurpator wywodził się z rasy o wysokim stopniu organizacji społecznej, ale już wiele tysiącleci temu zapomniał o tym. Na Ziemi żył w głębokim, gorącym oceanie jako kolonia pojedynczych osobników, a wcześniej jako prosta bryła protoplazmy. Przez pewien czas egzystował w ławicach ryb, ale ostatnio, przez dziesiątki tysięcy lat, funkcjonował jako samotny drapieżnik.

Zauważył, że w tych istotach instynkt drapieżnika został zmodyfikowany; znajdowały się na szczycie łańcucha pokarmowego, ale zwierzęce pożywienie, które spożywały, zostawało zabite dużo wcześniej. Starając się zrozumieć organizację społeczeństwa, doszedł do następującego wniosku: jedzenie jest zabijane w jakimś ukrytym, odległym miejscu, a następnie przygotowywane i rozprowadzane za pomocą tajemniczych procesów.

Komórka zwana rodziną organizowała się w celu wspólnej prezentacji i konsumpcji jedzenia, choć spełniała też inne funkcje. Uzurpator ze swoich morskich czasów pamiętał ochronę i uczenie młodych osobników, ale nie miał pojęcia o seksie i łączeniu się w pary. Gdy zbliżał się do niego inny duży drapieżnik, interpretował to jako agresję i atakował. Jego rasa nie reprodukowałą się od milionów

lat. Podobnie jak śmierć, ów anachronizm poszedł w zapomnienie. Uzurpator nie miał pojęcia o tych sprawach.

Była jednak przynajmniej jedna kobieta, która pałała chęcią udzielenia mu kilku lekcji.

Gdy wiedział, że przez jakiś czas będzie sam, ćwiczył zmianę wyglądu na podstawie wizerunków podpatrzonych osób. Zmiana rysów twarzy nie była trudna; tkankę chrzęstną i tłuszcz podskórny dało się w miarę bezboleśnie przemieścić w ciągu kilku minut. Zmiana kształtu czaszki była natomiast bolesna i trwała osiem do dziesięciu minut.

Przekształcenie całego ciała wymagało godziny bolesnego skupienia i było skomplikowane, jeśli docelowe ciało miało znacząco większą lub mniejszą masę niż Jimmy. By ją zmniejszyć, mógł odłączyć rękę lub nogę i odpowiednio rozmieścić masę. Zbędna kończyła obumierała, jeśli nie było powodu, by ją utrzymywać przy życiu, ale to nie miało znaczenia: nadal zawierała surowce potrzebne do rekonstrukcji Jimmy'ego.

Tworzenie większego ciała wymagało przyboru masy, co nie było łatwe. W celu przemiany w ojca Jimmy'ego, który miał nadwagę, uzurpator zasymilował starego owczarka niemieckiego rodziny, Ronniego. Po rekonstrukcji, rzecz jasna, Ronnie był martwy; uzurpator pozostawił ciało pod drzwiami pokoju Jimmy'ego, a rodzina uznała, że pies po prostu poszedł tam, by się pożegnać. Jakież to słodkie.

Widział pana Berry'ego w stroju kąpielowym, więc symulacja była w około 90 procentach zgodna z oryginałem. Pozostałe 10 procent przypisałyby panią Berry o omdlenie.

W podobnym stylu uzurpator potrafił w zaciszu swego pokoju odłączyć rękę i większą część nogi, by zbudować sobie kawałek ciała przypominający pielęgniarkę Deborah, a przynajmniej to, co zdawała się nosić pod surowo ściśniętym mundurkiem. Nie miała jednak więcej szczegółów niż w manekinie z domu towarowego. W tamtych czasach można było poruszać się swobodnie po domu i nie znaleźć tam żadnego wizerunku nagiej kobiety.

Miesiące dzieliły go od nabycia ogłady towarzyskiej, ale do zaspokojenia tego konkretnego pragnienia nie potrzeba żadnej ogłady. Dokładnie o 7.30 do pokoju weszła Deborah, niosąc tacę ze śniadaniem.

– Zdejmij ubranie, proszę – rzekł uzurpator – i połóż je na toaletce.
Nie wiadomo, czy Deborah rozpoznała głos lekarza. Jakimś cudem zdołała nie upuścić tacki.

– Nie wygłupiaj się, Jimmy!

– Proszę – rzekł chłopak z uśmiechem, gdy kobieta położyła mu tacę na kolanach. – Bardzo bym chciał.

– Ja też – szepnęła, zerkając na przymknięte drzwi. – Może wieczorem? Po zmroku?

– Widzę w ciemnościach – odszepnął ochryple, naśladowując jej głos.

Wsunęła rękę pod jego piżamę, a gdy dotknęła penisa, nieużywany obwód zamknął się, a narząd uniósł się i wezbrał z nieładną, w sensie dosłownym, szybkością.

– Jezu! – jęknęła. – O północy?

– O północy – powtórzył. – Jezu.

Jej uśmiech wyrażał coś pośredniego między niebotycznym zdumieniem a lubieżnością.

– Dziwak z ciebie, Jimmy. – Po tych słowach opuściła pokój, szepcząc na pożegnanie „O północy” i cicho zamykając drzwi.

Uzurpator zauważył erekcję i zaczął eksperymentować z tym stanem. Nieoczekiwany wynik nagle objaśnił mu całą klasę zachowań ssaków, które zaobserwował u morświna, delfina i orki.

* * *

Dwa razy w tygodniu odwiedzał go nauczyciel muzyki. Gdy przyszedł po raz kolejny, zdumiała go nagła zmiana zdolności muzycznych chłopaka. Jimmy od początku stanowił zagadkę: nauczycielowi powiedziano, że brał lekcje fortepianu między dziesiątym a trzynastym rokiem życia, lecz później zarzucił naukę w wyniku frustracji, znudzenia i wejścia w okres dojrzewania. Tak przynajmniej sądzili rodzice, choć wyglądało na to, że ćwiczył w sekrecie.

Obecny nauczyciel, Jefferson Sheffield, został polecony przez doktora Grossbauma. Specjalizował się w terapii muzyką i pod jego skrzydłami wielu chorych psychicznie lub opóźnionych w rozwoju ludzi zaznało pewnego wytchnienia i spokoju.

Umiejętności pianistyczne Jimmy’ego były, podobnie jak jego zdolności językowe, naznaczone „syndromem mędrca”. Potrafił

powtórzyć wszystko, co robił Sheffield, nuta po nucie. Pozostawiony samemu sobie albo wcale nie grał, albo z absolutną wiernością odtwarzał którąś z lekcji Sheffielda.

Tego ranka natomiast zaimprovizował. Usiadł i zaczął grać z czymś, co sprawiało wrażenie wycucia, traktując dotychczasowe lekcje jako surowiec, lecz transponując i inwertując materiał, a do tego łącząc go z ciekawymi kadencjami i pomysłowymi zmianami akordów.

Grał dokładnie godzinę, po czym przestał i po raz pierwszy uniósł wzrok znad klawiatury. Sheffield i większość domowników zgromadzili się wokoło i słuchali w zdumieniu.

– Musiałem coś zrozumieć – rzekł uzurpator. Nie zwracał się do nikogo konkretnego, ale po chwili rzucił w kierunku Deborah spojrzenie, pod wpływem którego zadrżała.

Podczas lunchu do rodziny i Sheffielda dołączył doktor Grossbaum. Uzurpator doszedł do wniosku, że zrobił coś bardzo niewłaściwego, i siedział w milczeniu.

– Dokonałeś czegoś wspaniałego, synu – rzekł Sheffield. Uzurpator spojrzał na niego i pokiwał głową, bo tak było bezpiecznie. – Co spowodowało ten przełom? – Jimmy znów skinął głową i wzruszył ramionami, reagując w ten sposób na pytającą intonację.

– Powiedziałeś, że musiałeś coś zrozumieć – podpowiedział muzyk.

– Tak – odparł uzurpator. Po chwili ciszy dodał: – Musiałem coś zrozumieć. – Potrząsnął głową, jakby chciał rozjaśnić myśli. – Musiałem coś poznać.

– To postęp – zauważył Grossbaum. – Użył innego czasownika.

– Musiałem coś znaleźć – kontynuował Jimmy. – Musiałem być czymś. Musiałem być... kimś.

– Granie muzyki pozwoliło ci być kimś innym? – zapytał Grossbaum.

– Kimś innym – powtórzył uzurpator, patrząc w przestrzeń ponad głową doktora. – Robić... Zrobiło. Zrobiło mnie kimś innym.

– Muzyka zmieniła cię w kogoś innego – rzekł podekscytowany Sheffield.

Uzurpator zamyślił się. Rozumiał semantyczną strukturę stwierdzenia i wiedział, że nie jest prawdziwe. Wiedział, że tym, co go zmieniło, była nowa wiedza na temat tej nienazwanej części ciała,

która – jak się okazało – potrafi sztywnieć i wydzielać nową substancję. Ale wiedział też, że ludzie zachowują się w tej sprawie tajemniczo, więc postanowił nie demonstrować tej wiedzy, choć owa część znów zrobiła się sztywna.

Zauważył, że Grossbaum spogląda na nią, więc zmniejszył ciśnienie krwi, by osłabić efekt. Lekarz jednak zauważył i uniósł nieznacznie brwi.

– Nie chodzi tylko o muzykę – powiedział – prawda?

– Tylko o muzykę – rzekł uzurpator.

– Nie rozumiem.

– Nie rozumiesz. – Uzurpator popatrzył na swoje dłonie. – Tylko o muzykę.

– Muzyka to życie – rzekł Sheffield. Uzurpator spojrział na niego i skinął głową. Potem wstał, przeszedł przez pokój, usiadł przy fortepianie i zaczął grać, bo zdawało mu się to bezpieczniejsze niż rozmowa.

* * *

O północy zbudziło go skrzypnięcie drzwiami. Deborah cicho zamknęła je za sobą i na bosaka przydreptała do łóżka. Miała na sobie zbyt dużą męską piżamę.

– Masz ubranie – zauważył.

– Wstałam, żeby sobie nalać szklanek mleka – powiedziała ku jego konsternacji. Płyn wytwarzany przez jego ciało nie był mlekiem, a żeby wypełnić nim szklanek, trzeba by poświęcić całą noc.

Niemal poprawnie odczytała wyraz jego twarzy i uśmiechnęła się.

– To na wypadek, gdyby mnie przyłapali, głuptasku.

Przez zasłony przenikało mdłe światło księżyca. Uzurpator przestroił swoje tęczówki tak, że widział równie dobrze jak w dzień, i patrzył, jak kobieta powoli rozpina górę od piżamy.

Zwrócił uwagę, że rzeczywisty kształt i charakter jej piersi jest całkiem inny, niż można by sobie wyobrazić, gdy znajdują się pod ubraniami. Zauważył pigmentację i umiejscowienie sutków oraz otoczki wokół nich. (Zastanawiał się nad własnymi sutkami, które zdawały się nie pełnić żadnej funkcji).

Kobieta wśliznęła się do łóżka obok niego, a on spróbował ściągnąć z niej spodnie.

– Niegrzeczny chłopczyk. – Pocałowała go w usta i uniosła jego dłoń do swojej piersi.

Pocałunek był dziwny, ale uzurpator widywał już takie rzeczy, więc z pewnym wysiłkiem udało mu się go odwzajemnić.

– Rany – szepnęła Deborah. – Aleś ty napalony. – Wyciągnęła rękę i pogłaskała tę nienazwaną część jego ciała. – Niezłe z ciebie ziółko.

Był skonsternowany.

– Nie jestem ziółko.

– To takie powiedzenie. – Wodził obiema dłońmi po jej ciele, badając i mierząc. Większość była podobna do męskiego odpowiednika, który zamieszkiwał, ale różnice okazały się ciekawe.

– Och – jęknęła. – Jeszcze.

Badał akurat miejsce, które różniło się najbardziej. Deborah zaczęła wydzielać stamtąd płyn. Uzurpator wszedł głębiej. Stęknęła, pocierając jego dłoń wilgotną tkanką.

Potem zacisnęła dłoń na nienazwanej części, głaszcząc ją delikatnie. Pomyślał, że może to odpowiedni moment, by samemu zacząć wydzielać płyn, i rozpoczął procedurę.

– O, nie – jęknęła. – O rany! – Szybko zrzuciła spodnie od pizamy, wspięła się na jego ciało, wzięła tę rzecz w kleszcze własnej wilgotnej części i zaczęła się poruszać w górę i w dół.

To było niezwykle doznanie, podobne do tego, co wcześniej robił sam, ale znacznie bardziej intensywne. Uzurpator zdał się na odruchy. Po kilku, może kilkunastu rytmicznych ruchach całe ciało skoncentrowało się na tej części, doszło do punktu kulminacyjnego i eksplodowało płynem – trzy, cztery, pięć razy, stopniowo wytracając moc.

Ciężko dyszał w zagłębienie między jej piersiami. Deborah pochyliła się i przyłgnęła wargami do jego warg, wsuwając język do środka. Domyślił się, że nie oferuje mu jedzenia, i odwzajemnił gest.

Przeturlała się na plecy, dysząc ciężko.

– Cieszę się, że coś pamiętasz – powiedziała.

7.

Apia, Samoa, 2019

Gdy dwa holowniki zaczęły ciągnąć artefakt ku plaży, wokół było już mnóstwo gości. Trzy helikoptery wojskowe walczyły o miejsce z sześcioma należącymi do agencji prasowych.

Widok był iście oszałamiający. Artefaktu nie dało się zobaczyć, nawet znajdując się bezpośrednio ponad nim, mimo iż otaczający go całun został usunięty. Tytanowa siatka unosząca jego masę utrzymywała go na wysokości metra od dna oceanu, a woda była idealnie przezroczysta.

Reporterka ze sprzętem do nurkowania zeskoczyła z płozy helikoptera, zeszła do obiektu i ujrzała zasłonę koloru piaskowego, pod którą znajdował się przedmiot w kształcie cygara. W pewnym momencie zasłona zatrzepotała, ukazując lśniącą jak lustro powierzchnię. Oczka siatki były zbyt drobne, by dało się sfotografować znajdujący się pod spodem obiekt, ale ten przemieszczał się dostatecznie wolno, by kobieta mogła płynąć obok niego, przesyłając obrazy i zabawny, bo całkiem pozbawiony treści, komentarz na żywo. Artefakt tymczasem przedzierał się przez martwe koralowce, torując sobie drogę do brzegu. Wyrył w piasku metrowej głębokości rów, a ciągnące go liny napięły się i jęknęły z wysiłku.

Gdy holowniki łagodnie przybiły do lądu, Greg i Naomi przeciągnęli ciężką linę przez wzburzoną lekko wodę i zanurkowali z nią, dając wreszcie reporterce materiał do filmowania. Przecięli siatkę palnikiem i ściągnęli zasłonę. Dwaj inni inżynierowie zeszli wzdłuż liny z dużym metalowym pierścieniem.

Pierścień miał metr w obwodzie i utrzymywał cztery grube sworznie. Inżynierowie opuścili go na lśniący metal obiektu i wbili

sworznie ogłuszająco hałaśliwym pod wodą młotem pneumatycznym. Gdy skończyli, wyjęli zatyczki z uszu i pomachali oszołomionej reporterce, po czym popłynęli wzdłuż liny z powrotem.

Głęboko zakotwiczona wciągarka po drugiej stronie metalowej płyty ożyła z warkotem i lina zaczęła się zwijać. Gdy się naprężyła, warczenie nasiliło się i zmieniło tonację. Ludzie stojący w pobliżu wielkiej maszyny czuli zapach ozonu i rozgrzanego metalu. Ale wciągarka wygrywała; cal po calu lina przesuwiała się wzdłuż płyty.

Obiekt powoli pełził przez przybrzeżne fale. Nie trzeba było się znać na fizyce czy inżynierii, by zauważyć, że w tej sunącej po mokrym piachu rzeczy jest coś zasadniczo dziwnego – nieziemski ciężar, lustrzany blask...

Możliwe, że żółta taśma z napisem PRZEJŚCIE ZABRONIONE uratowała kilka istnień. Lina zaczęła się strzępić w miejscu, w którym była przytroczona do pierścienia, po czym nagle rozległ się trzask i sto metrów grubego, ciężkiego węża z potworną szybkością odskoczyło do tyłu. Pęknięty koniec roztrzaskał szybę chroniącą Larry'ego Pembroke'a, który kierował wciągarką, i odciął mu rękę na wysokości ramienia.

Nie minęła minuta, a wojskowy śmigłowiec był już na ziemi. Ratownik przystąpił do udzielania pierwszej pomocy, a oderwaną rękę umieszczono w lodówce wypełnionej colą i piwem. Po upływie kolejnej minuty helikopter znów był w powietrzu i zmierzał w kierunku Pago Pago, gdzie zbierał się zespół chirurgów. Za parę miesięcy Larry miał odzyskać pełną sprawność, choć musiało to kosztować Poseidona krocie.

Nim emocje opadły, Russ i Jack zdążyli rozważyć i odrzucić trzy plany wyciągnięcia ciężaru na platformę. Ten zaś spoczywał na płyciźnie jak wyrzucony na plażę wieloryb, choć ważył więcej niż dziesięć tych ssaków.

Ponieważ zdawał się niezniszczalny, Jack optował za użyciem materiałów wybuchowych – odpowiednio silny ładunek kumulacyjny powinien go wyrzucić do przodu. Russ absolutnie sprzeciwiał się temu pomysłowi, jako że nie było wiadomo, jak delikatne może być wnętrze artefaktu. Bzdura, mówił Jack: ten przedmiot przetrwał trzęsienia ziemi i miażdżące ciśnienie. Jeśli w środku znajdowało się cokolwiek delikatnego, dawno już uległo zniszczeniu.

Zapytali o zdanie Naomi, która pracowała kiedyś przy rozbiórkach.

Powiedziała, że na oko ten pomysł wydaje się niepraktyczny, po czym dokonała kilku obliczeń. Nie ma szans. Wolno stojący ładunek kumulacyjny nie kieruje całej swojej siły w jedną stronę. Boczny podmuch wyryłby krater tak wielki, że znalazłaby się w nim cała betonowa platforma, a wszystkie okna po tej stronie wyspy prawdopodobnie potraciłyby szyby.

Pani inżynier zaproponowała jednak ładunek, który naprawdę jest linearny: silnik raketowy. Gdyby zdołali przymocować do obiektu pomocniczy silnik z małego statku kosmicznego – o ile dałoby się go odłączyć – brutalna siła mogłaby wyciągnąć go na platformę.

No i jakie byłyby z tego zdjęcia!

Zebrali pozostałych inżynierów, by omówić szczegóły. Potrzebowali czegoś w rodzaju rynny, by kolos nie zoczył z drogi, a silnik musiał być z tych, które można ściśle kontrolować. W tej chwili obiekt był skierowany wprost na hotel Aggie Grey's, a zniszczenie popularnego, stuletniego domostwa pełnego turystów, w którym Jack w końcu zdołał nauczyć barmana robić porządne martini, nie byłoby najlepszą reklamą.

Gdyby jednak plan się powiódł, przyniosłby im rozgłos. Obdzwonili amerykańską, francuską i brytyjską agencję kosmiczną, ale Chińczykom wystarczyła połowa sumy, której żądali pozostali: zaledwie trzydzieści milionów eurodolców. Jack zadzwonił do paru osób i dowiedział się, że mogą dać poręczenie na ćwierć tej sumy w zamian za udzielenie wyłączności na relacje prasowe. Następnego dnia przed lunchem na miejsce dojechał chiński prawnik z krótkim kontraktem i wielkim zeszytem z opisem technicznym.

Mogli dostać raketę w ciągu ośmiu dni. Jack trochę pomarudził, mówiąc, że do tej pory świat przestanie się sprawą interesować, ale w końcu nie było to kupowanie samochodu z serii produkcyjnej. A poza tym obiekt nigdzie się nie wybierał.

8.

San Guillermo, Kalifornia, 1932

„Jimmy” narobił trochę za dużo hałasu podczas swej inicjacji seksualnej i choć pan Berry czuł potajemną ulgę, że chłopak w końcu robi coś normalnego, podporządkował się życzeniu żony i wyrzucił Deborah, na pożegnanie wciskając jej ukradkiem banknot studolarowy. To wystarczało na opłacenie rocznego czynszu i rekompensowało zawiązką utratę pracy.

Uzurpator był już człowiekiem w stopniu tak znacznym, że odczuł lekki gniew, widząc na jej miejscu nowego pielęgniarza – mężczyznę. To jedno spotkanie nauczyło go jednak tyle, że mógłby udawać kobietę w stopniu, który oszukałby każdego z wyjątkiem sumiennego ginekologa.

Doktor Grossman był ciekaw, czy niesamowite umiejętności muzyczne chłopaka rozszerzyły się na pokrewne obszary kontroli ruchowej, więc na następne spotkanie przyprowadził przyjaciółkę – piękną artystkę. Chciał zaobserwować zarówno reakcję chłopaka na jej urodę, jak i umiejętności rysunkowe.

Gdy ich sobie przedstawiono, Jimmy istotnie wykazał pewne zainteresowanie. Olśniewająca blondynka dorównywała mu wzrostem – musiała mierzyć ze sześć stóp.

– Jimmy, to Irma Leutij. Wszyscy nazywają ją Holenderką.

– Holenderką – powtórzył.

– Witaj, Jimmy – rzekła ochryłym głosem, którego automatycznie używała w rozmowach z atrakcyjnymi mężczyznami. Na oko oceniła, że Jimmy jest od niej młodszy o jakieś pięć lat. Pomyliła się o tysiąc tysięcy lat.

– Chcemy zrobić eksperyment z rysowaniem – rzekł Grossbaum. –

Holenderka jest artystką.

Uzurpator znał znaczenie słowa „eksperyment”, więc zareagował z rezerwą.

– Artystką... eksperyment?

– Lubisz rysować? – zapytała Holenderka.

Niezobowiązująco wzruszył ramionami.

Grossbaum otworzył teczkę, wyjął dwa identyczne bloki rysunkowe i zwykłe ołówki. Wskazał stolik w pokoju śniadaniowym.

– Usiądźmy tam.

Jimmy poszedł za nimi i usiadł obok Holenderki. Psychiatra położył przed nimi otwarte bloki i ołówki, a sam siadł naprzeciwko.

– Co mam narysować? – zapytała kobieta. – Coś prostego?

– Prostego, ale dokładnego. Może sześcian w perspektywie.

Skinęła głową i narysowała dziewięć starannych linii. Zajęło jej to cztery sekundy.

– Jimmy? – Lekarz przesunął ołówek w stronę chłopaka.

Uzurpator był ostrożny, pamiętając, jak wszyscy zareagowali na jego grę na fortepianie. Mógłby dokładnie skopiować ruchy Holenderki, ale zamiast tego rysował w żółwym tempie.

Nie umknęło to uwagi Grossbauma. Lekarz zauważył również, że sześcian Jimmy’ego jest precyzyjną kopią, uwzględniającą nawet położenie na kartce i przypadkowe nałożenie się dwóch linii na obszarze mniejszym od milimetra. Doskonały artysta, poproszony o zrobienie dokładnej kopii, potrafiłby zrobić coś takiego. Natomiast powolna, kompulsywna precyzja pasowała do osoby z syndromem mędrca.

O ile jednak było wiadomo Grossbaumowi z prac naukowych i rozmów z autorytetami, z tym syndromem człowiek się rodził. Żadna normalna osoba nie mogła się go nabawić od uderzenia w głowę.

– Mogę go narysować – rzekła Holenderka – i sprawdzimy, czy on narysuje mnie.

– Jest to jakiś pomysł – odparł z powątpiewaniem lekarz, myśląc, że chłopak prawdopodobnie skopiuje precyzyjnie własny portret.

Holenderka przewróciła stronę, podniosła swój ołówek i zagapiła się na Jimmy’ego.

Odwzajemnił jej spojrzenie bez mrugnięcia okiem. Uśmiechnęła się, a wtedy uzurpator też się uśmiechnął. Gdy jednak zaczęła rysować, on tylko ją obserwował.

Ukończyła prosty portret w ciągu kilku minut i odwróciła kartkę, by go pokazać Jimmy'emu.

Uzurpator przyjrzał się rysunkowi. Lewe ucho było o pół cala za długie, podobnie jak broda. Ponieważ już wcześniej widział, jak kobieta posługuje się gumką, użył jej i poprawił portret, rysując całe ucho i brodę zupełnie od nowa. Dodał też niewielki pieprzyk, który przeoczyła.

– O co chodzi? – zapytał lekarz.

– To niesamowite. Zrobiłam drobny błąd w proporcjach, a on go poprawił. I dodał pieprzyk, który opuściłam. – Odłożyła blok. – Spędzasz dużo czasu przed lustrem, Jimmy?

Uzurpator niezupełnie zrozumiał pytanie, ale skinął głową, a potem wzruszył ramionami.

Większość osób nie potrafi rysować kół bez cyrkla. Holenderka stworzyła trzy koncentryczne okręgi, a następnie postukała w blok Jimmy'ego.

Ponownie spowolniony naturalny impuls, uzurpator narysował idealną kopię.

– Wiesz, jak to się nazywa, Jimmy? – zapytał Grossbaum.

– Rysowanie – rzekł uzurpator.

Holenderka postukała w środek kartki.

– To.

– Koło – rzekł uzurpator. – Koła.

– Zastanawiam się, ile on jeszcze wie – powiedziała – chociaż nie potrafi tego wyrazić.

– Hm, zna się na seksie, choć nigdy o tym nie mówi. Przyłapali go z pielęgniarką.

Uzurpator pokiwał głową.

– Pielęgniarka Deborah. Jest... była dobra. Dla mnie.

– Zwolnili ją.

– Powinni byli dać jej podwyżkę. Biedny dzieciak pewnie oszalał z rozpaczy.

– Oszalał. – Uzurpator pokiwał energicznie głową. – Oni tak mówią. Oszalał.

– A oszalałeś? – szepnęła Holenderka.

– Nie wiem. – Jimmy wskazał Grossbauma. – On ma wiedzieć.

– Nie wiem, co ci jest, Jimmy. Niektóre rzeczy robisz tak dobrze...

– Ty masz wiedzieć – upierał się Jimmy.

– Bruno... – Kobieta dotknęła ramienia Grossbauma. – Myślę, że on przy tobie się blokuje. Mógłbyś zostawić nas na chwilę samych?

Uśmiechnął się uśmiechem psychiatry.

– A zdasz mi raport... ze wszystkiego?

– Przecież mnie znasz. – Istotnie, znał ją bardzo dobrze.

Zerknął na zegarek.

– Właściwie to i tak muszę przyjąć pacjenta w klinice o pierwszej. Mogę wrócić o wpół do trzeciej.

– Powinno wystarczyć.

Doktor wstał.

– Jimmy, wychodzę na trochę. Holenderka zostanie z tobą.

– Okay. – Uzurpator zrozumiał część przesłania. Holenderka chciała zostać sam na sam z Jimmym. Jak pielęgniarka Deborah.

Gdy Grossbaum znalazł się za frontowymi drzwiami, Holenderka przez długą chwilę gapiała się na uzurpatora.

– Nie pamiętasz, co ci się stało?

– Nie. – On też się gapił w odpowiedzi.

– Jak dawno to było?

– Sto osiemdziesiąt trzy dni temu.

– A ludzie, którzy wcześniej cię znali... ze szkoły... odwiedzają cię?

– Tak. Kiedyś. Teraz już nie. – Spojrzał w sufit. – Sześćdziesiąt dwa dni.

– Jesteś samotny. – Wzruszył ramionami. – Mogę być twoją przyjaciółką, Jimmy.

– Możesz?

Przystanęła i wyciągnęła rękę.

– Oprowadzisz mnie po domu? Chcę zobaczyć, jak mieszka druga połowa świata.

Uzurpator był skonsternowany. Jeśli ta pani chciała takiej samej bliskości jak pielęgniarka Deborah, nie mówiła o tym wprost. Mimo to ujął ją za rękę – ucisnęła jego dłoń, a on odwzajemnił delikatny gest – i ruszył za nią do kuchni.

Było to nieskazitelne i eleganckie miejsce, wyłożone kafelkami i lśniące od emalii. Nad barem wisiała konstelacja kieliszków, a na ścianie błyszczały garnki i rondle z brązu. Meksykańska kucharka, niska, gruba i bojaźliwa, przycupnęła w kącie.

– *Buenos días* – powiedziała Holenderka. – *Jimmy me muestra la*

*casa**

– *Bueno, bueno* – odrzekła kucharka i wróciła do szorowania czystego rondla, usiłując uczynić go jeszcze czystszy.

Przez kuchnię przeszli do jadalni. Pod połyskującym szklanym żyrandolem, przerobionym z gazowego na elektryczny, stał ciężki mahoniowy stół. Na ścianach wisiały stare malowidła.

Nad kominkiem w salonie pojawił się nowy obraz, przedstawiający państwa Berrych, stojących na trawniku z małym chłopcem i dalmatyńczykiem.

– To ty?

– Nie. – Uzurpator zastanowił się. – To ten, kto był mną.

Meble w tym pomieszczeniu były bardzo starymi antykami, obitymi na nowo w luksusowy czerwony aksamit. Uzurpator nie bardzo wiedział, po co to zrobiono.

– Trudno uwierzyć, że żyjemy w epoce kryzysu – zauważyła kobieta.

Uzurpator wzruszył ramionami. Do tej pory słyszał jedynie o kryzysach psychicznych.

Pokój muzyczny sprawiał pogodne wrażenie. Przez wielkie okno od północnej strony, wychodzące na oficjalny ogród, wpadało mnóstwo światła. W pokoju stał mały fortepian Steinwaya i harfa.

Kobieta szarpnęła najniższą strunę basową.

– Grasz na tym?

– Nie. – Harfa była czymś nowym. Nigdy nie próbował na niej grać.

– Dziwne. Myślałam, że będą ci dawać lekcje fortepianu, skoro...

Uzurpator siadł na stołku, podniósł pokrywę klawiatury i zagrał pierwsze takty *Apasjonaty*.

Odwzajemnił jej spojrzenie.

– Gram na tym.

– Rozumiem.

Zaczął grać łagodne akordy w dziwnej kolejności, nie całkiem na chybił trafił. Nie znał oficjalnych nazw tych rzeczy, ale przeplatał mole z durami, przedzielając je tercją obniżoną o półton. Skutek był niesamowity i wcale nie tak bardzo irytujący.

Kobieta stanęła za Jimmym i ugniatała jego muskularne ramiona.

– Moglibyśmy... zobaczyć twój pokój?

* Dzień dobry. Jimmy pokazuje mi dom (hiszp.).

Wstał w milczeniu. Tę kwestię rozumiał.

Holenderka szła pokornie obok chłopaka, podziwiając jego wdzięk.

– Dużo ćwiczysz? – Wzruszył ramionami. – Pływasz? Grasz w tenisa?

– Tak. – Mógłby, rzecz jasna, całymi dniami leżeć w łóżku i zachować idealną formę, a w zasadzie każdą formę, na jaką miałby ochotę. Jego obecna sylwetka była w każdym calu taka jak sylwetka Jimmy’ego w momencie, w którym ten został wybebeszony przez uzurpatora.

Przeszli przez bibliotekę, jard po jardzie, mijając książki w identycznych skórzanych oprawkach, i znaleźli się w głównym holu z wyłożoną parkietem podłogą i kopulastym dachem ozdobionym witrażami. Jimmy poprowadził kobietę w górę po szerokich, krętych schodach. Do niego należało drugie piętro.

– Wielki ten dom – powiedziała. – Twój rodzice mają tylko jedno dziecko?

– Nie dziecko. – Otworzył drzwi swojej sypialni.

– Tak przypuszczam.

W jednym kącie dużego pokoju stało szpitalne łóżko, nie pasujące do reszty wystroju, otoczone eleganckim parawanem. Pościel wciąż była zmięta, a na tacce leżały resztki śniadania. Ściany pokrywała tapeta z beżowego jedwabiu. Holenderka przeszła przez pokój, otworzyła dwuskrzydłowe szklane drzwi balkonowe i stała w rześkiej bryzie, niosącej ze sobą słone powietrze i zapach kwiatów. W dole, w gościnnym ogrodzie, pracowało dwóch ludzi.

– Zdejmij ubranie i połóż je na toalecie – rzekł Jimmy za jej plecami.

– Widzę, że nie trwonisz czasu. – Wróciła do pokoju. – A może najpierw zdejmiesz moje?

Podeszła z powrotem do drzwi wejściowych i zamknęła je na klucz.

Jimmy ściągnął biały kaszmirowy sweter i koszulkę, którą miał pod spodem, po czym zsunął sandały i zrzucił białe płócienne spodnie. Zlustrowała jego ciało: twarde mięśnie i mały penis, który najwyraźniej wcale jej nie zauważył. Jimmy położył się na łóżku.

Usiadła obok i przesunęła palcem wzdłuż jego piersi i brzucha. Gdy dotarła do włosów łonowych, członek wyskoczył w górę jak uruchomiona pułapka na myszy.

– O rany. – Był trochę większy od przeciętnego, ale nie aż tak, by ją onieśmielać. Wzięła go w dłoń, ciepłego i sztywnego jak świeca, i pochyliła się, by polizać i wziąć do ust, po europejsku.

– Zdejmij ubranie – powtórzył Jimmy – i połóż je na toaletce.

– Tak jest. – Uśmiechnęła się, rozumiejąc, że jest to wyuczone zdanie, które prawdopodobnie zasłyszała z ust badających go lekarzy. Rozbierała się leniwie, składając rzeczy i starannie zwijając pończochy. Gdy zdjęła majtki, obróciła się tyłem do niego, dyskretnie zwilżając śliną kobiece miejsce. Przeczuwała, że gra wstępna nie będzie zbyt skomplikowana.

Poczuła, jak Jimmy ściska ją w pasie, i zaczęła coś mówić... po czym nastąpiło straszliwe dżgnięcie, od którego zabrakło jej tchu. Zacisnęła zęby, by nie krzyknąć.

– Nie, Jimmy! Nie! To nie to miejsce!

Wycofał się posłusznie, a ona obróciła się, chwytając jego członek i starając się nie wpaść w panikę na widok strużki zakrwawionego śluzu.

– Zmyjmy to i...

Uniósł ją jak wielką lalkę i cisnął na łóżko.

Całe szczęście, że nie zamknęła drzwi balkonowych; ogrodnicy usłyszeli jej wrzaski. Szkoda tylko, że zamknęła wejściowe. Gdy w końcu zdołali je wyważyć, Jimmy stał na skraju łóżka, nagi i spokojny, wpatrując się w Holenderkę, która skuliła się w drugim końcu, skomląc i krwawiąc.

Oczywiście wiedzieli, że nie mają dzwonić na policję. Ten, który najlepiej mówił po angielsku, zadzwonił do kancelarii prawnej pana Berry'ego, a pozostali pomogli Jimmy'emu się ubrać i sprowadzili go na basen. Meksykańska kucharka i pielęgniarze zajęli się Holenderką.

Pan Berry zjawił się po dziesięciu minutach. W ręku trzymał swoją najpotężniejszą broń – książeczkę czekową. Wysłuchał cichej, przerywanej łkaniem opowieści Holenderki.

Bardzo jej współczuł. Oczywiście, że padła ofiarą, rzekł, lecz z punktu widzenia prawa rzecz nie przedstawia się tak jednoznacznie. Jimmy przecież jest niepełnoletni, a jakiś pozbawiony skrupułów prawnik mógłby utrzymywać, że kobieta go uwiodła.

Spojrzała mu prosto w oczy.

– Trochę go podrywałam – rzekła zdecydowanym mimo swego stanu tonem – ale potem mnie zgwałcił. W dwóch miejscach. Mam iść

na policję?

Pan Berry poprosił wszystkich o opuszczenie pokoju. Po pół godzinie pod drzwi dla służby zajęła cichutko karetka z prywatnej kliniki i Holenderka została wywieziona żwirową ścieżką na starym wózku inwalidzkim Jimmy'ego.

Lekarz badający kobietę powiedział, że nigdy przedtem nie widział złamanej kości łonowej. Bez mrugnięcia okiem zaakceptował opowieść o narowistym koniu, ale zasugerował, by mimo wszystko przebadana się na okoliczność ciąży, skoro już tu jest.

9.

Apia, Samoa, 2019

14 grudnia 2019 telewizja CNN nadaje specjalne wydanie wiadomości.

Oko kamery sunie po przybrzeżnych falach, by wreszcie spocząć na artefakcie. Podczas płynącego zza kadru wstępu następuje stopniowy najazd.

MALLORY (GŁOS ZZA KADRU):

Przez ostatnich kilka tygodni to, co od początku było zagadką, przeobraziło się w wielką tajemnicę. Wszystko zaczęło się od tego, że prywatna organizacja zajmująca się badaniami morskimi, Atlantis Associates, zastrzegła sobie prawo do wydobycia leżącego głęboko na dnie rowu Tonga, o kilkaset mil od tej samońskiej wyspy, wraku niewiadomego pochodzenia.

Z pomocą Poseidon Projects, słynącego z podniesienia Titanica, Atlantis użyła rozmieszczonych na akraach wody pław, by wyciągnąć „wrak” na głębokość zaledwie kilku sążni. Następnie holowniki odholowały go na wynajęty przez firmę teren...

Na ekranie ukazują się archiwalne zdjęcia z holowania i parkowania artefaktu.

MALLORY:

...położony u wybrzeży Niezależnego Państwa Samoa. Ów nieużytkowany obszar został wydzierżawiony na dziewięćdziesiąt dziewięć lat i stopniowo przekształcał się w niewielki ośrodek badawczy...

Archiwalne zdjęcia owiniętego całunem artefaktu, wciągane na brzeg.

MALLORY:

Tę linę ciągnie urządzenie zdolne unieść tysiące ton.

Gdy jednak ów ciężki przedmiot – ważący więcej niż łódź podwodna klasy Nautilus, lecz mniejszy od furgonetki dostawczej – wy dostał się na brzeg i wbił w piach...

Archiwalne zdjęcia wypadku z liną.

MALLORY:

...trafił swój na swego. Lina pękła, a jeden z pracowników firmy omal nie stracił życia.

Trzeba było znaleźć inny sposób, by przesunąć obiekt o ostatnie sto jardów, na betonową platformę, która miała się stać podłogą laboratorium.

Ekran ciemnieje, po czym przechodzi do widoku na żywo, ukazując obiekt z przymocowaną rakieta.

MALLORY:

Oto samodzielny chiński silnik raketowy, zwykle stosowany w serialu *Cud świata* do wynoszenia na niską orbitę okołozemską ładunków ważących do tony.

Dziś nie wybiera się aż tak daleko.

Widok wnętrza: prowizoryczny bunkier, umiejscowiony o kilkaset jardów od obiektu. Przez grubą szybę widać obiekt. Mallory siedzi z dwoma mężczyznami, popijając kawę przy stoliku zrobionym z deski położonej na stosie skrzyń.

MALLORY:

Będę się temu przyglądać wraz z Jackiem Halliburtonem i Russellem Suttonem, dyrektorami Atlantis Associates.

Zdaje się, że szykuje się najkrótszy lot rakiety w historii.

JACK:

W ubiegłym wieku było kilka takich, które uniosły się zaledwie o cal ponad platformę.

RUSS:

Ta jest jednak równie godna zaufania jak ciężarówka Forda. Tyle że...

MALLORY:

Co może nie zadziałać?

JACK:

Nie martwimy się o samą rakieta. Raczej o jej zamocowanie do artefaktu.

RUSS:

Mamy tu niepowstrzymaną siłę przeciwko przedmiotowi, którego nie da się poruszyć.

JACK:

Znamy masę obiektu i właściwości piasku, na którym spoczywa. Rakieta wytwarza wystarczający ciąg, by wykonać zadanie.

RUSS:

Jedynym problemem jest połączenie rakiety z artefaktem. Jeśli pęknie łączący je pierścień... będzie nam potrzebna inna metoda.

MALLORY:

A rakieta z hukiem poleci do centrum miasta?

Fototelegraficzne zbliżenie rakiety lecącej wprost na Aggie Grey's w ujęciu subiektywnym.

JACK:

Nie. Rakieta ma zamontowany automatyczny wyłącznik, który zadziała, jeśli nie będzie czuła oporu. Może przelecieć pięćdziesiąt, sto stóp.

MALLORY:

A jeśli wyłącznik nie zadziała?

JACK:

Cud świata jest wysoko ubezpieczony.

RUSS:

Wielu mieszkańców Apii wyjechało odwiedzić krewnych na wsi. Ja na ich miejscu też bym to zrobił.

Słysząc głośny gwizdek.

JACK:

To ostrzeżenie, że zostało dziesięć minut. Lepiej niech pan ewakuuje swojego kamerzystę.

Mallory wstaje i wygląda przez szybę.

MALLORY:

Już się wynieśli. Została tylko kamera przymocowana do rakiety.

RUSS:

Mam nadzieję, że nie nakręci nic ciekawego.

MALLORY:

Ten jeden raz muszę się z panem zgodzić... A więc ten przedmiot prawdopodobnie pochodzi z kosmosu?

RUSS:

Wiemy tyle samo co pan. Być może jest wynikiem jakiegoś naturalnego procesu, z którym nigdy wcześniej się nie spotkaliśmy.

JACK:

Choć, biorąc pod uwagę jego gęstość, jest to nieprawdopodobne, a przynajmniej niewytłumaczalne.

MALLORY:

I jest bardzo stary.

RUSS:

Porastający go koral był już stary, nim na Ziemi pojawiły się ssaki naczelnie przypominające z grubsza ludzi.

MALLORY:

A więc nie wierzy pan w teorię „zagubionej broni”?

JACK:

To brednie.

RUSS:

Gdyby to było stare radzieckie albo amerykańskie ustrojstwo, musielibyśmy odpowiedzieć sobie na pytanie, jak się tam dostało. Gdybyśmy je znaleźli w jakimś innym miejscu, jasne, że w pierwszej kolejności tak byśmy pomyśleli. Ale to leżało pod korałem liczącym milion lat.

MALLORY:

Może to tam schowali?

RUSS:

Musiałby pan zapytać, po co. Ja na ich miejscu wolałbym to schować we własnym kraju.

MALLORY:

Czy Rosjanie lub Amerykanie kontaktowali się z państwem?

JACK:

Jasne.

RUSS:

Ale na razie nie chcemy o tym rozmawiać.

Na ekranie pojawia się widok z lotu ptaka z nałożonym odliczaniem od końca. Pełna panorama pokazuje wszystkie helikoptery wojskowe obserwujące wydarzenie. Gdy zostaje dziesięć sekund, robi najazd na artefakt. Lakoniczny głos spoza kadru odlicza.

GŁOS:

Dziesięć...

JACK (*wstając*):

Już czas.

Cała trójka podchodzi do okna i patrzy. Ekran rozdziela się na

dwie połówki; druga ukazuje obraz z lotu ptaka. Głos odlicza do zera.

Chińska rakietka odpala, wyrzucając do morza kłęby pary z rury wydechowej. Przez kilka długich sekund, w ciągu których hałas urasta do wycia kostuchy, rakietka tkwi w miejscu. Następnie artefakt podryguje i powoli, a potem szybciej, przesuwa się po szynach do metalowej kołyski, w której ma spocząć. Kamera umieszczona przy kołysce ukazuje, jak obiekt z ogłuszającym hukiem ląduje na miejscu. Rakietka milknie.

RUSS:

Podręcznikowo. Ci Chińczycy są cholernie dobrzy.

JACK:

Miło, że mamy ich po swojej stronie. Przynajmniej na razie.

10.

San Guillermo, Kalifornia, 1932

Państwo Berry musieli przyznać, że nad Jimmym nie można zapanować, i po cichu odesłali go do St. Anthony's – prywatnego zakładu dla obłąkanych.

Zmiana miejsca okazała się dlań bardzo przydatna. Leki, jakie uzurpator musiał przyjmować – w formie doustnej lub w zastrzykach – z punktu widzenia metabolizmu nie miały żadnego znaczenia. Terapia wstrząsowa, w której owijano pacjenta w mokre prześcieradło i polewano wiadrami lodowatej wody, dla istoty mogącej żyć na Merkurym lub Plutonie była lekko stymulująca.

Ludzie w jego otoczeniu – zarówno pacjenci, jak i personel – zachowywali się jednak w sposób skrajny, którego w domostwie Berrych nigdy nie miałby okazji zaobserwować. Podczas pierwszego tygodnia pobytu nauczył się więcej niż podczas miesięcy pobłażliwości i rozpieszczania.

Strażnicy byli brutalni i głupi. Gdy uzurpator zrobił coś, co nie mieściło się w pewnym zakresie zachowań, wkładali mu kaftan bezpieczeństwa i rzucali do gumowego pokoju.

Zaczął rozumieć pojęcia przymusu i odosobnienia. Mógłby zrzucić z siebie kaftan, antycypując postać Plasticmana, albo kopniakiem wyrzucić drzwi z framugi jak Superman. Ale to nie niosłoby ze sobą nauki. Poddawał się biciu i gwałtom – bogaty, uroczy chłoptaş, który nie może na nikogo naskarżyć. Wyrobił w sobie coś w rodzaju współczucia dla Holenderki, choć ból był dla niego tylko porcją danych, a pojęcie poniżenia w ogóle jeszcze nie istniało w jego skali emocji.

W czasie przeznaczonym na rekreację przysłuchiwał się innym

pacjentom. Nikt nie zauważał, że odpowiada monosylabami i czasem mówi dziwne rzeczy. Tak naprawdę, w powolnej i nieco skrzywionej formie uzurpator podlegał procesowi uczenia podobnemu do tego, jakiemu podlega ludzkie dziecko. „Dojrzewał” dzięki obserwacji i asymilacji.

Sporą część zagadki stanowiło poznanie ludzkiego języka i pokrewny problem naśladowania ludzkich procesów myślowych. Zajęło to dwa lata; nim jednak „Jimmy” dobiegł dwudziestki, nikt już go nie bił ani nie gwałcił. Został przeniesiony do czystej, spokojnej części St. Anthony’s, a wkrótce potem zezwolono mu na przyjmowanie gości.

W swojej radości, że syn zachowuje się „normalnie”, rodzice całkiem przeoczyli fakt, iż to, co robi, wcale nie przypomina zachowania Jimmy’ego. Chłopak został zwolniony i oddany pod ich opiekę.

Uzurpator zasymilował szeroki wachlarz zachowań i dość złożoną bazę danych na temat tego, co i kiedy należy robić. W oczach państwa Berry ich syn stał się spokojny, dystyngowany i może nieco nieśmiały, co w porównaniu z brutalnym gwałcicielem, którego posłali do zakładu, było wielką odmianą na lepsze.

Potrafił godzinami bez przerwy grać na fortepianie; spędzał też wiele czasu na wpatrywaniu się w morze. Wiedział, że jest obserwowany i oceniany, tym razem przez amatorów, i potrafił się odpowiednio dostosować.

Nauczył się symulować zachowanie nastolatka po przejściach, który obecnie znajduje się na dobrej drodze do wyzdrowienia. Wiedział, że wyłącznie dzięki temu wydostał się z St. Anthony’s, by móc przejść na kolejny etap rozwoju.

Stał się najbardziej złożoną istotą, jaką kiedykolwiek imitował. Jego sukcesy dawały mu przyjemność bliską radości.

11.

Apia, Samoa, 2020

Gdy już artefakt znalazł się na swoim miejscu, brygada robotników, dostających dodatkową premię za szybkość i nadgodziny, zaczęła budować wokół niego laboratorium. Rząd pojawił się, nim jeszcze wyłożono ścianę płytami kartonowo-gipsowymi.

Halliburton i Russell po zjedzeniu lunchu w hotelu przyszli popatrzeć, jak postępuje budowa. Przeszli przez fosę po prowizorycznym bambusowym moście i poprosili kierownika budowy, by ich oprowadził. Twierdził, że mogą zacząć wносить sprzęt za cztery dni, a za pięć będą gotowe ramy i farba. Był to wynik lepszy od tego, który określono w umowie.

Gdy szli z powrotem, po drugiej stronie fosy czekał na nich facet w białym tropikalnym garniturze. Obok stał strażnik z niewyraźną miną.

– Panie Halliburton, on...

Halliburton machnął ręką.

– Kim pan jest i dla kogo pracuje?

– Doktor Franklin Nesbitt – brzmiała odpowiedź – szef NASA Advanced Planning. – Był opalonym, muskularnym mężczyzną o krótko przyciętych siwych włosach. Stał kompletnie bez ruchu, jeśli nie liczyć wyciągnięcia ręki.

Russell uścisnął ją.

– Pisaliśmy do siebie.

– Coś w tym stylu – odparł Nesbitt. – Z grubsza rzecz biorąc, napisał mi pan, że cokolwiek sprzedaje, pan tego nie kupuje.

– To nadal obowiązuje – rzekł Halliburton. – Nie ma pan tu żadnej władzy.

– I nie twierdzę, że ją mam. Ale mam ofertę, która może panów

zainteresować.

– Nic z tego. Przejechał pan taki kawał na próżno.

– Jack – zaproponował Russell – możemy przynajmniej zachowywać się po ludzku. – Poczym zwrócił się do Nesbitta: – W hotelu podają dobrą herbatę. Miło będzie porozmawiać z kimś, kto nie jest reporterem. – W drodze do jeepa zadzwonił do restauracji, więc kiedy dotarli do prywatnej jadalni hotelowej, stół był już nakryty świeżutkim obrusem i ciężkimi srebrami.

Irlandzka kelnerka przyniosła herbatę i tacki pełne udekorowanych kanapek i ciastek.

– To moja specjalność – wyznał Russell. – Jack woli piwo i frytki.

– Barbarzyńca – mruknął Jack, biorąc ze stołu kanapkę z rzeżuchą i siadając. – A więc co to za interesująca oferta? Co u was w ogóle jest interesujące?

Pozostała dwójka odczekała, aż kelnerka naleje herbatę i odejdzie.

– Ogólnie czy szczegółowo? – zapytał Nesbitt.

– Ogólnie – rzeki Russell.

Nesbitt potarł czoło i przez chwilę widać po nim było bagaż siedmiu stref czasowych, które niedawno przekroczył.

– Mówiąc ogólnie i mając świadomość, że w pierwszej chwili odmówicie, oferuję wam naszą ekspertyzę za darmo.

– Racja – przyznał Jack. – Odmówimy.

– Gdybyśmy istotnie poszukiwali pomocy z zewnątrz – rzeki Russ – dlaczego mielibyście to być wy, a nie na przykład Europejczycy lub Japończycy?

– Jesteśmy starsi i więksi – nie w sensie finansowym, rzecz jasna, ale jako organizacja badawcza.

– Prowadzimy tu badania – powiedział Jack, z powątpiewaniem zaglądając do wnętrza kanapki – ale przede wszystkim chcemy na tym zarobić. Nie mamy zielonego pojęcia, co znajdziemy, lecz jest spora szansa, że będzie to coś, co wstrząśnie Ziemią.

– Utopiłem w tym większość pokaźnej fortunki – kontynuował. – Wynająłem doktora Suttona i jego zespół, bo czułem, że mogę im zaufać. W zamian za utrzymywanie swojej pracy w sekrecie są zarówno partnerami w spółce, jak i opłacanymi pracownikami. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, dostaną niewielki procent tego, co powinno się okazać astronomicznym zyskiem. Jeśli jednak nastąpi jakiś przeciek, odchodzą z niczym.

– Jesteśmy gotowi pozwolić panu zatrzymać cały zysk ze wszystkiego, co odkryją nasi ludzie.

– Ludzie. To właśnie jest problemem, panie Nesbitt. Jako organizacja NASA może obiecać, co jej się żywnie podoba, ale jeśli któryś z pańskich ludzi natknie się na wehikuł antygrawitacyjny, obawiam się, że może zamienić pracę w NASA na nieograniczone bogactwo.

Nesbitt skinął przyjaźnie głową, skosztował herbaty i nasypał trochę cukru.

– Zainwestowaliście tu pewnie z jedną trzecią miliarda eurodolarów?

– Coś koło tego.

– Zatem pozwólcie mi przejść od ogółu do szczegółów. Jesteśmy gotowi zapłacić tyle samo. Wyjdziecie na zero.

– W zamian za? – chciał wiedzieć Russell.

– Za zespół dwunastu badaczy, którzy będą z wami konsultować każdą publikację oraz cedować na was wszystkie obecne lub przyszłe zyski. – Zerknął na Jacka ponad brzegiem filiżanki i upił odrobinę. – Mam w swoim pokoju długi kontrakt na tę okoliczność, który, jak mi powiedziano, zawiera wszystko. Także dossier tych dwunastu osób.

– W tym pana?

– Chciałbym, by tak było, ale nie. Jestem tylko administratorem, który kocha naukę. Nie sądzę, by mój dyplom licencjacki fizyka z Arkansas zrobił na was wrażenie.

Jack uśmiechnął się.

– Może większe niż pańskie MBA z Harvardu. – Postukał w swój aparat słuchowy. – Cudowne urządzenia.

Nesbitt nawet nie mrugnął.

– Kusząca oferta?

– Jasne – odparł oschle Jack.

– Jack, zgodziliśmy się od początku. Nic wspólnego z rządem. Żadnych wojskowych zastosowań.

– Ten postulat będzie spełniony – rzeki Nesbitt. – Nie o to nam chodzi.

– Więc o co?

– Połowa naszego zespołu to egzobiolodzy. Nastawiamy się nie tyle na „coś”, ile na „kogoś”.

12.

Woods Hole, Massachusetts, 1935

Państwo Berry byli zdziwieni, gdy syn oznajmił im, że nie zamierza studiować w Juilliardzie, choć z całą pewnością było ich na to stać. Uzurpator interesował się muzyką, ale nie było to ludzkie zainteresowanie i mógł mu dawać upust wszędzie. Potrafił siedzieć samotnie i odgrywać w głowie fantastyczne kompozycje, których nie mogłaby zagrać żadna istota ludzka. Dodając sobie w myślach dwie dodatkowe ręce, grał na przykład fugę Bacha od początku do końca i od końca do początku jednocześnie. Często zajmował się takimi rzeczami w czasie przeznaczonym na sen.

O swoim pochodzeniu wiedział jedynie to, że wyszedł z morza i że przed przyjęciem ludzkiego kształtu przez wieki był żarłaczem białym oraz orką. Pamiętał też mgliście inne wcielenia i zdawało mu się, że w każdym był jakąś istotą morską.

Czy istniało wielu takich jak on? Nie wiedział. Jeśli przybrali ludzki kształt, mogli uchodzić za ludzi, udając, że starzeją się w normalnym tempie i umierają, a potem zaczynając żyć w ciele kogoś innego.

Jego lektury z dziedziny psychologii wskazywały, że mentalne przeobrażanie się z orki w człowieka nie jest rzeczą typową. Słyszał jednak opowieści o „dzikich dzieciach”, przypuszczalnie wychowanych przez wilki lub inne zwierzęta, które mogłyby pasować do tego wzorca. Miał mnóstwo czasu, by to zbadać.

Nie istniał żaden nieodparty powód, dla którego ktoś taki jak on miałby zostać człowiekiem. Może pozostali nadal żyli jako żarłacze lub orki – albo jako rafy koralowe czy skały, jeśli im to odpowiadało. Morze było świetną kryjówką.

Postanowił więc, że na dobry początek zajmie się oceanografią. Gdyby to nie wypaliło, mógłby zacząć studiować inną dziedzinę, zmieniać osobowości i rozpoczynać wciąż od nowa. Czas nie miał żadnego znaczenia.

W badaniach oceanicznych prym wiodła nowa, finansowana z prywatnych środków instytucja o nazwie Woods Hole. Znajdowała się w Massachusetts, więc uzurpator złożył papiery na kilka uczelni w tym stanie. Odrzucony przez Harvard i MIT, prawdopodobnie dlatego, że większość materiału szkoły średniej przerobił na prywatnych lekcjach, dostał się na oceanografię na University of Massachusetts. Woods Hole przyjmowało magistrantów z tej uczelni na letnie staże i o to właśnie mu chodziło.

Jak było do przewidzenia, jego wyniki okazały się zróżnicowane: przodował we wszystkim, co miało związek z logiką i zapamiętywaniem, ale kiepsko mu szły przedmioty w rodzaju literatury czy filozofii. Zauważył, że wielu innych studentów ma podobne problemy i że większość z nich jest, podobnie jak on, nieśmiałyimi samotnikami.

Po niecałym semestrze mieszkania w akademiku wyprowadził się do mieszkania w mieście, minimalizując dzięki temu czas i energię potrzebne do utrzymywania fasady Jima Berry'ego i zyskując swobodę treningu przeistaczania się w inne osoby, co, jak sądził, mogło mu się w przyszłości przydać. Po wielu próbach potrafił się przekształcić w inną osobę o tych samych wymiarach w ciągu mniej więcej dziesięciu minut. Dla mniejszych lub większych osób zabierało to dwa razy tyle lub więcej; było przy tym bolesne i męczące. Kiedyś zmienił się w dwoje dzieci, lecz jedno z nich było przeciętnie inteligentne, drugi zaś kompletnie głupi.

Prowadził w imieniu Jimmy'ego ostrożne życie towarzyskie, raz czy dwa w miesiącu idąc na tańce lub do kina, zawsze z inną dziewczyną. Starszy, przystojny chłopak z Kalifornii, bogaty i pochodzący ze znakomitej rodziny, siłą rzeczy cieszył się powodzeniem. O dziwnej przeszłości Jimmy'ego w stosunkach z płcią przeciwną nic tu nie było wiadomo, a w 1935 roku na pierwszej i jedynej randce nigdy do niczego nie dochodziło.

(Uzurpator był świadom, że prędzej czy później będzie się musiał nauczyć etykiety seksualnej, lecz postanowił odłożyć to na przyszłość. W ówczesnej Ameryce prawie nie istniały wiarygodne informacje na

ten temat; ludzie w książkach i filmach wykonywali ewidentne uwertury do seksu, ale nigdy nie przechodzili do rzeczy. Wiedział już, że „Zdejmij ubranie i połóż je na toaletce” działa tylko w pewnych okolicznościach. Owszem, gra wstępna musiała przebiegać bez świadków i bez ubrania, ale wciąż nie miał pojęcia, jak się przechodzi do tego stanu od namiętnego pocałunku czy uniesionych brwi).

Miał więc wytyczony kurs: cztery lata sukcesów w naukach ścisłych i językach, ale niewiele więcej, co stanowiło świetne barwy ochronne; potem kilka lat na magisterce, dalej doktorat, no i wreszcie Woods Hole.

Załączył się tam jako stażysta przez dwa lata z rzędu. Pływał na keczu „Atlantis”. Od czasu do czasu, w wolne dni, szedł do opuszczonej zatoki i spędzał godzinę na przeobrażaniu się w delfina, by wrócić do morza w stary, znajomy sposób. Te zimne, bogate wody różniły się znacznie od jego pacyficznej ojczyzny, wiele więc się nauczył. Część tej wiedzy miała pokierować jego przyszłymi badaniami.

Nim jednak zrobił doktorat, wybuchła wojna.

Widział, jak ludzie są powoływani i przydzielani do takich prac, jakie akurat były potrzebne armii. Ale ci, którzy sami się zgłaszali, mogli – w rozsądnym zakresie – wybierać sobie zajęcia.

Chciał badać Pacyfik, podejrzewając, że jego własne początki muszą znajdować się gdzieś tam. Niebezpieczeństwo nie grało roli: nie przypuszczał, by w ogóle mógł umrzeć. Wstąpił więc do piechoty morskiej i poprosił o wysłanie na Ocean Spokojny.

Dla większości doktorantów byłoby to zawracanie głowy i strata czasu, nie wspominając o tym, że mogliby zginąć od kuli lub umrzeć na jakąś chorobę tropikalną. Ale dla uzurpatora czas się nie liczył. Liczyło się nowe doświadczenie.

Nie przyznał się, że skończył studia, bo pewnie posadziliby go za biurkiem. Nie chciał być żołnierzem od nauki o morzu – został więc zwykłym rekrutem. Działo się to na rok przed Pearl Harbor.

13.

Eurazja, czasy przedchrześcijańskie

Uzurpator nie był na planecie jedyny. Istniało drugie stworzenie, zupełnie z nim niezwiązane, które żyło na Ziemi od niepamiętnych dla siebie samego czasów i przeżyło tysiące wcieleń, znikając, gdy się zbyt zestarzało, i powracając jako młodzieniec.

Zawsze było mężczyzną. Zazwyczaj brutalnym.

Ów samiec alfa – nazwijmy go kameleonem – nigdy nie miał syna, chyba że pomógł mu w tym jakiś cudzołózca. W odróżnieniu od uzurpatora posiadał DNA, lecz było ono obce; nie mógłby niczego spłodzić z istotą ludzką bardziej niż ze skałą lub drzewem.

Ponadto – także w przeciwieństwie do uzurpatora – wydawał się skazany na ludzką powłokę. Nigdy nie przyszło mu do głowy, by zadać sobie pytanie, dlaczego tak jest. Ale też przez całe tysiąclecia – aż do renesansu – w ogóle nie przyszło mu do głowy, że może pochodzić z innego świata. Zakładał, że jest jakimś demonem lub półbogiem, lecz szybko się przekonał, że ujawnianie tego świata jest błędem. Nie można go było zabić nawet ogniem, lecz odczuwał ból i odczuwał go głęboko, w sposób nieporównywalny z ludzkim. Przy niskim napięciu sprawiało mu to przyjemność i poszukiwał różnych jej form. Ale wieszanie i krzyżowanie były czymś, czego nie chciał przeżywać ponownie. Spalenie na popiół stanowiło niewyobrażalną udrękę, a późniejsze rekonstruowanie siebie było jeszcze straszniejsze.

Po kilku takich doświadczeniach, dzięki którym kameleon prawdopodobnie dopomógł w ukonstytuowaniu się mitu wampira, wiódł spokojne życie, a raczej serię całkiem banalnych żywotów.

Zwykle był wojownikiem, i to – rzecz jasna – dobrym. Czasem jego karierę przerywało rozplatanie na pół, stratowanie, rozszarpanie

lub poćwiartowanie. W bitewnym chaosie zwykle potrafił znaleźć kilka minut ciemności, w której pozbierał się do kupy, i wyruszyć w poszukiwaniu nowego życia. Gdy jego śmierć i pogrzeb widziało wiele osób, musiał udawać, że grób został splądrowany, albo – czego nie lubił – czynić cud.

W starożytności, dzięki umiejętnościom militarnym i instynktownemu parciu naprzód, kończył niekiedy jako przywódca, a nawet król. Zawsze jednak powodowało to więcej kłopotów niż korzyści i niemal uniemożliwiało dyskretną śmierć i zmartwychwstanie.

Podobnie jak uzurpator, uczył się szybko, lecz był obojętnym na wiedzę sensualistą. Wszystko, co musiał wiedzieć, by przetrwać, jego ciało już wiedziało. Reszta służyła jedynie maksymalizacji przyjemności i minimalizacji bólu, jeśli ten był zbyt silny, by się nim rozkoszować.

Podczas wojen peloponeskich stanął po właściwej stronie i przeżył kilka pokoleń jako Spartanin. Potem wstąpił do armii Aleksandra i w końcu osiadł w Persji. Około wieku żył jako Part, a potem znalazł się w strefie oddziaływania Cesarstwa Rzymskiego.

Gdy był Partem, usłyszał opowieść o Jezusie Chrystusie. Zaciekawiała go. Ten zabity publicznie, a następnie zmartwychwstały człowiek musiał być z nim spokrewniony. Kameleon postanowił się za nim rozglądać.

Do podręczników historii trafił tylko raz, i to właśnie z powodu swego zainteresowania chrześcijaństwem. W trzecim wieku, w Narbonne, był kapitanem gwardii pretoriańskiej i nieco zbyt otwarcie wyrażał zainteresowanie tym drugim nieśmiertelnym. Po donosie wroga Dioklecjan kazał swym łucznikom zabić kapitana jako kryptochrześcijanina. Jego przyjaciółka, Irena, nie chciała go jednak pozostawić, by umierał w samotności, a wtedy on „cudownie” ozdrowiał. Wówczas Dioklecjan kazał swoim żołnierzom zmasakrować go żelaznymi prętami. Po tym zdarzeniu Irena pozostawiła zwłoki w spokoju na dość długo, by te przeobraziły się w młodego żołnierza i uciekły, pozostawiając po sobie legendę o św. Sebastianie.

Pracował jako robotnik rolny i żołnierz w Persji do roku 313, w którym edykt mediolański zapewnił chrześcijanom bezpieczeństwo. Gdy tylko kameleon o tym usłyszał, rzucił pług i powędrował pieszo

do Italii, obrabowując po drodze ludzi, by iść dalej.

Nie podobało mu się życie w takiej bliskości władzy, więc wrócił do Francji i przez jakiś czas krążył między Galią a Germanią, wypatrując innych nieśmiertelnych. Sytuacja stała się nieprzyjemna podczas zarazy z roku 542, więc przeniósł się do Anglii wraz z inwazją saksońską.

Anglia wydała mu się bardziej przyjazna niż kontynent, bo Cesarstwo Rzymskie ogarnął właśnie chaos, więc kameleon przeżył w nowej ojczyźnie wiele pokoleń, najpierw jako żołnierz i farmer, a potem ucząc się wielu różnych zawodów: kowala, szewca, rzeźnika.

W 1096 roku wrócił do wojennego rzemiosła i podążał wraz z krucjatami do Jerozolimy i dalej. Przez mniej więcej wiek walczył to po jednej, to po drugiej stronie, aż w końcu jako Arab wrócił do Egiptu i ruszył na południe wzdłuż Nilu.

Przeobraził się w wysokiego, czarnego wojownika masajskiego i było to najlepsze życie, jakie miał do tej pory: mnóstwo kobiet, smaczne jedzenie w zamian za jakąś walkę od czasu do czasu, długie spanie i polowanie z włóczniami, które sprawiało mu przyjemność. Pozostał tam przez kilkaset lat, nadal rozglądając się za Chrystusem lub innym krewniakiem, prawdopodobnie białym.

Ale pierwsi biali, jacy się tam pojawili, mieli ze sobą strzelby i łańcuchy. Mógł stawić opór i po prostu „umrzeć”, lecz słyszał o Nowym Świecie i był go ciekaw.

Podróż okazała się bodaj najgorszą rzeczą, jaką kiedykolwiek przeżył, porównywalną ze smażeniem się żywcem w oleju lub obdzieraniem ze skóry. Tygodniami leżał zakuty w kajdany, upchnięty w dusznej ładowni wraz z setkami innych, spośród których wielu poumieralo i leżało w postępującym rozkładzie, póki ktoś nie zabrał ich stamtąd i nie wyrzucił za burtę.

To było prawdziwe wyzwanie. Myślał o tym, by rozerwać nocą kajdany i rzucić się w morze. Zrobił to już kiedyś, w Fenicji, i przepłynął dziesiątki mil dzielące go od brzegu. Ale od Afryki, po kilku dniach spędzonych na statku, musiały go dzielić miesiące płynięcia, więc tylko zamieniłby jedną udrekę na inną.

Pozwolił się zawlec do Ameryki i w pewnym sensie podobało mu się, gdy został wystawiony na sprzedaż. Bez wątpienia był najzdrowszym okazem na statku, bo metabolizm zupełnie go nie dotyczył i był wykorzystywany jedynie jako źródło przyjemności.

Człowiek z Georgii, który go kupił, okazał się okrutny. Lubił ćwiczyć batem nowych chłopców, aż stawali się ulegli, więc kameleon przy pierwszej sposobności zabił go, a potem przeobraził się w białego i odszedł.

Zabawny to był czas. Angielszczyzna kameleona liczyła niemal tysiąc lat, więc musiał udawać idiotę, póki nie nauczył się komunikować. Powędrował na północ, znów rabując i zabijając, by się utrzymać, gdy wiedział, że nie zostanie schwytany.

Szedł i szedł, aż doszedł do Bostonu i osiedlił się tam na kilkaset następnych lat.

14.

Apia, Samoa, 2020

– Male, zielone ludziki – rzeki Halliburton, spoglądając na Nesbitta. – Naczytał się pan brukowców.

– To coś ma co najmniej milion lat – dodał Russell.

Nesbitt skinął głową.

– Ale niewątpliwie zostało przez kogoś zrobione.

– Niekoniecznie – odparł Russell. – Może być wytworem jakiejś osobliwej siły naturalnej.

– Założmy jednak, że tak nie jest. Jeśli jakaś inteligencja zbudowała to milion lub kilka milionów lat temu... Cóż, nie wiemy nic o ich motywacji, ale jeśli choć trochę przypominają ludzi, jest duże prawdopodobieństwo, że to coś jest w jakiś sposób zamieszkane.

– I mieszkańcy sprzed miliona lat wciąż żyją – mruknął Halliburton, łącząc dwie małe kanapki z sałatką jajeczną.

– My żyjemy po ponad milionie lat.

– Niech pan mówi za siebie, kosmito.

– Mam na myśli ludzkość od czasów *homo erectus*. Podróżujemy przez kosmos w zamkniętym środowisku, rozrastając się od kilku jednostek do siedmiu miliardów.

– Coś w tym jest – przyznał Russ. – Nie da się ukryć, że ten obiekt stanowi zamknięte środowisko.

– Pańskie osiem miliardów zielonych ludzików musi być naprawdę niewielkich rozmiarów.

– Nie spodziewam się chomików w skafandrach kosmicznych – rzekł Nesbitt. – Rzecz może wcale nie być zamieszkała w takim sensie, że będzie zawierać żywych osobników. Może to być jakiś ekwiwalent spermy i jajeczek albo zarodników. Lub po prostu

informacja, jak w maszynie von Neumanna.

– Aha – mruknął Russ. – Pamiętam coś takiego.

– Ja nie – rzekł Halliburton. – To był jakiś Niemiec?

– Chyba Węgier. Wpadł na taki pionierski nanotechnologiczny pomysł. Wysyła się małe statki kosmiczne w kierunku różnych gwiazd. Każdy z nich jest maszyną zaprogramowaną na szukanie materiałów i zbudowanie dwóch duplikatów samej siebie, które wyruszą ku kolejnym gwiazdom.

– Właśnie – potwierdził Russ – a po kilku milionach lat nie będzie w galaktyce planety, która nie zostałaby odwiedzona przez którąś z tych maszynek. Fakt, iż na Ziemi bez wątpienia takiej nie ma, dowodzi, że w naszej galaktyce nie istnieje inna cywilizacja, która latałaby w kosmos.

– Galaktyka jest całkiem spora.

Russ wzruszył ramionami.

– Ale liczy tysiące milionów lat. Logika wskazuje, że projekt byłby stosunkowo prosty do wdrożenia, a dalej już sam by się sobą zajął.

– Niewątpliwie jednak dostrzega pan lukę w tej logice – rzekł Nesbitt.

– Jasne – wtrącił Jack. – Wiem, do czego pan zmierza. Powyższy argument zakłada, że wiedzielibyśmy, gdyby maszyna tu była.

– Może być dobrze ukryta – zauważył Nesbitt. – Ukryta w miejscu, w którym mogą ją odnaleźć jedynie inne istoty o wysoko rozwiniętej technologii.

Jack potarł zarost na policzku.

– Tu się zgadzam. Żaden poławiacz pereł nie znajdzie ani nie wydobędzie takiego czegoś.

– Zatem wydobycie jej z owego środowiska może stanowić sygnał, że życie na planecie wyewoluowało dostatecznie, by można było podjąć kolejne działania.

– Nawiązać z nami kontakt.

– Być może. Albo wyeliminować nas jako rywali. – Spoglądał kolejno na poszczególnych rozmówców. – A jeśli ten projekt uruchomiło stworzenie pokroju Hitlera? Dżyngis Chana? A przecież oni byli przynajmniej ludźmi. Istnieje mnóstwo zwierząt, które upraszczają swoją egzystencję poprzez eliminację przedstawicieli własnego gatunku zagrażających ich prymatowi. My sami zniszczyliśmy całe gatunki – zarazki wywołujące ospę i malarię – w

trosze o swoje zdrowie.

– To dość fantastyczna teoria – rzekł Halliburton.

– Ale nawet gdyby prawdopodobieństwo było bliskie zeru, stawka jest tak wysoka, że problem należy rozważyć.

– Hmm... – Jack postukał łyżeczką w filiżankę i natychmiast zjawiała się kelnerka. – Czas na małe co nieco, Colleen. – Kobieta skinęła głową i oddaliła się. – Jak więc pańska dwunastka zamierza ocalić ludzkość przed inwazją obcych?

– Zastanawialiśmy się nad przeniesieniem całej operacji na powierzchnię Księżyca.

– O, w mordę! – mruknął Russ.

– Program Apollo przypomina przy tym projekt z targów nauki – rzekł Nesbitt. – Nikt nie ma silnika pomocniczego, który mógłby wynieść na orbitę choćby jedną dziesiątą masy tego obiektu. A nie możemy go tam wysłać w kawałkach.

Jack zmrużył oczy, wykonując obliczenia.

– Nie sądzę, żeby to się w ogóle dało zrobić. Masa silnika pomocniczego wzrasta z kwadratem masy ładunku. Wytrzymałość materiałów. Rozwaliliby się.

– Rozumie pan implikacje tych słów. Komuś udało się to przetransportować ze znacznie dalszego miejsca niż Księżyc.

– To nadal tylko założenie – rzekł Russ – a ja wciąż się skłaniam ku naturalnej interpretacji. Obiekt prawdopodobnie uformował się tu, na Ziemi, w wyniku jakiegoś osobliwego procesu.

Nesbitt po raz pierwszy stracił cierpliwość.

– Cholernie osobliwego! Trzy razy gęstszy od plutonu, i to pod warunkiem, że jest monolitem wykonanym w całości z tego samego materiału! A jeśli jest pusty w środku? Co tworzy skorupę?

– Neutronium – odparł Russ. – Zdegenerowana materia. Tak bym zgadywał, gdyby rzeczywiście był pusty.

– W szkole mówiliśmy na to „balonium” – wtrącił Jack. – Najpierw ustalmy właściwości, a po nich dojdźmy do pierwiastka.

Colleen wwiozła wózek z całą gamą szkła i butelek.

– Co dla panów?

Facet z NASA pozostał przy herbacie, Russ wziął białe wino, a Jack podwójną Krwawą Mary.

– Co zatem pańska dynamiczna dwunastka proponuje? – zapytał Jack, gdy kobieta odeszła.

Nesbitt pochylił się do przodu.

– Izolację. Większą niż w przypadku materiałów stanowiących skrajne zagrożenie biologiczne. Środowisko, jakiego wojsko używa przy badaniach nad...

– Nanobronią – dokończył usłużnie Russ. – Rzecz jasna, w rzeczywistości nie produkujemy takich rzeczy. Uczymy się tylko, jak się przed nimi bronić, gdy ktoś inny to robi.

– Nie mam na myśli wyłącznie wojska. Wszyscy, którzy zajmują się nanotechnologią, stosują podobne zabezpieczenia w celu odizolowania tych drobiażdżków.

– Pokrylibyśmy laboratorium, które kończą budować wasi ludzie, zewnętrzną warstwą, czymś w rodzaju egzoszkieletu. Ogólnie rzecz biorąc, jest to bezszwowy metal niemal identycznych rozmiarów co laboratorium. Aby wejść, trzeba przejść przez służbę powietrzną. Ciśnienie atmosferyczne w środku jest nieznacznie niższe niż na zewnątrz. Śluza jest zarazem przebieralnią; w miejscu pracy nikomu nie wolno się pojawić w tym ubraniu, w którym chodzi po ulicy.

– Nie sądzę, by naszym ludziom spodobała się praca w takich warunkach – rzeki Russ. – To przypomina interwencję rządową.

– Można to postrzegać także jako wykorzystanie rządu dla własnych korzyści. Dajemy panu funkcjonalny odpowiednik izolacji księżycowej – powietrze i woda są recyklowane, a źródła zasilania niezależne od świata zewnętrznego.

– Plus odzyskanie całego zainwestowanego do tej pory kapitału? – upewnił się Jack, zerkając na Russella.

– Zgadza się – przytaknął Nesbitt. Russ niemal niedostrzegalnie skinął głową.

Jack wycisnął trochę soku z limonki do swojej Krwawej Mary.

– Chyba zajrzemy do pańskiego kontraktu. To znaczy nasi prawnicy zajrzą. Może złożymy kontrofertę.

– W porządku. – Nesbitt wstał. – Przyniosę go. Sądzę, że uznają go panowie za jasny i kompletny.

Nie podobał im się tylko jeden szczegół – wzmianka o „niezależnym źródle zasilania”. W ramach ochrony zdrowia publicznego zawarty w nim pluton mógł być zdalnie zdetonowany z Waszyngtonu, zmieniając całą wyspę w radioaktywny żużel.

15.

Amherst, Massachusetts, 1941

Uzurpator mógł uniknąć powołania, symulując wszelkiego rodzaju dolegliwości czy ułomności. Co trzeci Amerykanin odpadał na komisji. Jak wielu mężczyzn – a każdy z innych powodów – nasz bohater uniknął go, zgłaszając się do piechoty morskiej.

Korpus niezbyt entuzjastycznie przyjmował osoby pokroju Jima Berry'ego, niezależnie od tego, jak dobrze wyglądałyby na plakacie rekrutacyjnym. Młodzieniec był wysoki, silny, przystojny, zdrowy i bez wątpienia pochodził z bogatej rodziny. Prawdopodobnie kłamał, że nie ukończył college'u, bo nie chciał zostać przydzielony do szkoły podoficerskiej. Od razu było wiadomo, że trudno będzie go złamać, co mogło znacznie utrudnić złamanie innych niesubordynowanych chłopaczków. A wszyscy oni musieli zostać złamani, by się odbudować jako żołnierze piechoty morskiej.

Nazywali go Laleczką i Burzujem, ale sprawiał im więcej kłopotów, niż początkowo oczekiwali. Pierwszego dnia, w drodze do koszar, potężny sierżant wywołał go z szeregu – „Maszerujesz jak zasrana panienka!” – i kazał zrobić pięćdziesiąt pompek, co ten uczynił, nawet się nie pocąc. Potem sierżant usiadł mu na plecach i rzeki: „Jeszcze pięćdziesiąt”. Jimmy i to zrobił bez wyraźnego wysiłku.

Pierwszej nocy sierżant zorganizował więc kocówę dla denerwującego rekruta. Zwołał trzech innych sierżantów i trzech barczystych kaprali, by zarzucili koc na śpiącego chłopaka i stłukli go, by nauczył się szacunku.

Była druga w nocy. Uzurpator, który w głowie grał właśnie na fortepianie czterema rękami, usłyszał, jak cała siódemka zbliża się na

palcach wzdłuż przejścia, ale zlekceważył ten dźwięk jako nieistotny. Był przecież niezniszczalny.

Gdy jednak nagle owinięto go szczelnie kocem i poczuł uderzenie pałką, przez niecałą sekundę próbował walczyć. Potem przeanalizował sytuację i biernie przyjmował ciosy.

W ciągu tej niespełna sekundy zdążył jednak złamać nadgarstek i dwa kciuki oraz odrzucić jednego z napastników na drugi koniec sali. Facet uderzył o przeciwległą ścianę i doznał wstrząsu mózgu.

Jeden z tych, którzy wyszli bez szwanku, uderzał bezwładnego Jimmy'ego pałką, póki pozostali go nie odciągnęli. Wtedy rekruci jeden po drugim podchodzili do łóżka, by sprawdzić, w jakim stanie jest ofiara.

Uzurpator wygenerował sińce i rany oraz uronił odpowiednią ilość krwi. W mdłym świetle dochodzącym z latryny wyglądał okropnie.

– Musimy go zanieść do szpitala – rzekł ktoś.

– Nie – zaprotestował uzurpator:

Zapaliły się górne światła.

– Co się tu, kurwa, dzieje? – ryknął sierżant. Miał na sobie czyściutki, wyprasowany mundur, ale koszula była zapięta tylko do połowy, a lewa ręka z siniejącym kciukiem zwisała bezwładnie wzdłuż tułowia. – Co to za rozpierdowa? Już mi wracać do wyr!

Dwaj podoficerowie ostrożnie przeszli obok niego do leżącego pod ścianą nieprzytomnego kolegi. Jęczał, gdy go podnosili i wyprowadzali z sali.

Sierżant stanął przed Jimmym, taksując wzrokiem jego sińce, rany i podbite oczy.

– Co ci się stało, rekrucie?

– A jak pan myśli, panie sierżancie?

– Wyglądasz, jakbyś wypadł z łóżka.

– Zapewne tak było, panie sierżancie.

– Potrzebna ci pomoc medyczna?

– Nie, panie sierżancie.

– GŁOŚNIEJ!!! – wrzasnął sierżant.

– NIE, PANIE SIERŻANCIE!!! – Uzurpator doskonale imitował ton i akcent przełożonego.

– W porządku. – Sierżant okręcił się na pięcie i ruszył ku drzwiom.

– A wy nic nie widzieliście. Śpijcie. Zbiórka o piątej. – Po tych słowach zgasił światła.

Po minucie ciszy żołnierze zaczęli szeptać. Uzurpator usiadł prosto na łóżku. Ktoś przyniósł mu aspirynę i kubek wody.

– Gdzieś ty się nauczył tak walczyć?

– Wypadłem z łóżka – odparł uzurpator. – Podobnie jak sierżant.

Te słowa rozniosły się po całym obozie, zwłaszcza że następnego ranka kompania miała nowego sierżanta, a starego nigdzie nie było. Uzurpator zaś dorobił się kolejnego przydomka: Joe Louis*.

Nowy sierżant nie przejawiał chęci do znęcania się nad Joe Louistem, ale i go nie faworyzował. Miał zaledwie osiem tygodni na zrobienie z tych żalonych cywilów żołnierzy piechoty morskiej.

Przez pierwszy tydzień głównie biegali, maszerowali i wykonywali ćwiczenia sprawnościowe od piątej rano do kolacji – a czasem i po kolacji przebiegali kilka mil, by mieć lżejsze żołądki. Uzurpator czuł się całkiem wypoczęty, ale obserwował reakcję innych na wysiłek i wytwarzał odpowiednie ilości potu i stękania. Na ćwiczeniach ze strzelania celował tak, by w większości prób nie trafić w dziesiątkę, ale też nie wyjść na ostatnią ofertę.

Omam nie popełnił błędu na końcowym egzaminie z użycia maski gazowej. Rekruci jeden po drugim byli prowadzeni do ciemnego pomieszczenia, w którym musieli czekać, aż sierżant w masce zapyta ich o nazwisko, stopień i numer ewidencyjny. Trzeba je było wyszeptać, a potem szybko włożyć maskę, zaszalutować i wyjść.

Uzurpator wszedł do ciemnego pokoju, wziął oddech i omam nie uległ potężnemu atakowi nostalgii. W ciągu miliona lat zdążył zapomnieć, że atmosfera jego macierzystej planety jest podobna do tej – zawiera około 10 procent chloru. Zapach był cudowny.

Sierżant z maską gazową i przenośną tablicą odczekał jakieś dwie minuty. Potem zaświecił mu w oczy latarkę.

– Czy ty oddychasz, szeregowy Berry?

– Nie, sir.

– Nie nazywaj mnie „sir”. Zarabiam na życie. – Trzymał latarkę w tym samym położeniu przez kolejną minutę. – Niech mnie diabli. Dużo pływasz, Berry?

– Tak, panie sierżancie.

– Pod wodą?

– Tak, panie sierżancie.

* Joe Louis, jeden z najwybitniejszych zawodników w historii boksu, mistrz świata 1937-1949.

Sierżant odczekał kolejne trzydzieści sekund, po czym pokręcił głową.

– Szlag! Podaj mi swoje nazwisko, stopień i numer ewidencyjny, a potem włóż maskę. – Uzurpator spełnił żądanie. – A teraz znikaj stąd, do cholery, zanim się na mnie porzygasz!

Radując się ostatnią odrobiną chloru uwieczoną w masce, uzurpator przeszedł przez drzwi, nad którymi świecił mętnie zielony napis „WYJŚCIE”.

Na zewnątrz leżało dwudziestu żołnierzy w różnych stadiach udreki, kaszląc i wymiotując. Wszędzie pełno było wymiocin. Uzurpator zmusił swój żołądek do wyrzucenia zawartości.

Jeden z kolegów, Hugh, podszedł do miejsca, w którym klęczał Jimmy, i poklepał go po plecach.

– Rany Julek, Jimmy. Wstrzymywałaś oddech chyba ze trzy minuty.

Uzurpator kaszlnął w sposób, który wydawał mu się odpowiedni.

– Dużo pływam pod wodą – wyszeptał. – Jezu, ale to śmierdzi!

Ale nostalgia długo go nie opuszczała. Gdzie on, u diabła, żył, skoro stężenie chloru w powietrzu było tam tak ogromne? Na pewno nigdzie na powierzchni. To był dobry pomysł na projekt badawczy po wojnie.

Spora część ich szkolenia miała formę improwizacji, bo wiele materiałów wywieziono już na Pacyfik. Uczyli się więc, jak pracować z czołgami, biegnąc w szeregu za wywrotką mającą z przodu i tyłu przydrutowane napisy „czołg”. Nosili karabiny Springfielda z czasów pierwszej wojny światowej i ćwiczyli z nimi na strzelnicy.

Walka wręcz okazała się baletem wstrzemięźliwości dla uzurpatora, który przez większość życia był pozbawionym sumienia drapieżcą. Pozwalał kolegom rzucać sobą w tę i we w tę i symulować niebezpieczne ciosy. Kiedy sam miał być agresywny, oszczędzał życie kompanów, wiedząc, że mógłby oderwać nogę jednemu i zakatować nią na śmierć wszystkich innych.

Z szacunkiem odnosił się do sierżantów i badał ich zachowania wobec żołnierzy. Te techniki były ciekawsze od strategii przymusu stosowanych przez profesorów z college’u, którzy prawdopodobnie zintelektualizowali cały proces. Sierżanci instynktownie sięgali do dziedzictwa ssaków naczelnych, stając się dominującymi samcami poprzez rozpychanie się, bicie i wrzask. Wszyscy, którzy im się

stawiali, byli karani – natychmiast, a także później, gdy otrzymywali poniżające i wyczerpujące zadania.

Uzurpator wykonał swój przydział – czyścił latryny szczoteczką do zębów i przez dwadzieścia cztery godziny pilnował czystości w kuchni – bynajmniej nie dlatego, rzecz jasna, że naprawdę stracił cierpliwość albo źle zrozumiał polecenie sierżanta. Zbyt ścisła samokontrola zdradziłaby go. Musiał grać w tę grę.

16.

Apia, Samoa, 2020

Russ i Jack – szczególnie ten ostatni – męczyli się z kontraktem, z zasady nie ufając rządowi, ale nie mogąc się oprzeć ani finansowemu, ani naukowemu argumentowi. Przefaksowali kontrakt do swoich chińskich i amerykańskich prawników, a ci potwierdzili, że istotnie jest on tym, za co się podaje.

Podpisano go w piątek, a w sobotni poranek załoga nagle się potroiła. Helikoptery towarowe co godzinę przylatywały z warkotem, przywożąc prefabrykaty mające posłużyć do budowy egzoszkieletu laboratorium.

Stolarze i malarze, którzy jeszcze kończyli swoje prace, byli co najmniej skonsternowani. Elegancki system wymiany ciepła został zdemontowany i zastąpiony wysokowydajną maszyną. Starannie oszklone okna z widokiem na ocean w tej chwili wychodziły jedynie na litą płytę stalową.

Fosę wypełniono szybkoschnącym plastycznym betonem, podtrzymującym fundamenty nowych metalowych ścian i dachu. Następnie NASA wybudowała nową fosę, szerszą i otwartą od strony morza. W ten sposób laboratorium stało się fortecą na sztucznej wyspie.

Dwunastka naukowców, siedem kobiet i pięciu mężczyzn, bardzo się starała nie panoszyć. Nigdy nie zbliżali się do artefaktu bez towarzystwa kogoś z oryginalnego zespołu i codziennie godzinami porównywali z tamtymi notatki, wspólnie planując dalsze działania. Stanowili zgraną, współpracującą grupę ludzi, których łączyła pasja odkrywania.

Żaden z naukowców z NASA nie miał pojęcia, że reaktor SNAP-

30 został zmodyfikowany tak, by móc funkcjonować jako bomba. Część masy, którą uważali za osłonę, w istocie była zrobiona z plutonu. Nesbitt o tym wiedział, ale on służył przede wszystkim NSA, Nieistniejącej Szpiegowskiej Agencji*, a nie NASA.

Poza tym już go tu nie było.

Ekipa z NASA pracowała na zasadzie „każdy jest sobie szefem”, ale oficjalnym przełożonym była Jan Dagmar, siwa pani egzobiolog, dość stara, by pamiętać pierwsze lądowanie na Księżycu, i dość młoda, by dla rozrywki nurkować w jaskiniach. Miała wysokie stopnie naukowe zarówno z fizyki, jak i nauk biologicznych, a na dokładkę licencjat z filozofii.

Jedenaścioro jej podwładnych na co dzień współpracowało z członkami pierwotnego zespołu Poseidona – również poza laboratorium, dzieląc się wiedzą i pomysłami. Mieszkali w domkach plażowych Vaiala, z których ten oznaczony numerem 7 przeznaczono na świetlicę. Wielki ekspres do kawy zawsze był gorący, a lodówka i spiżarnia pełne produktów wspomagających procesy myślowe.

Russell spędzał mnóstwo czasu w *fale* numer 7. Sam zresztą przeniósł się pod piątkę, opuszczając bajeczny apartament w Aggie Grey's, znajdujący się w odległości dziesięciu minut jazdy rowerem. Jack pozostał w swoim, twierdząc, że lepiej mu się myśli w strefie klimatyzowanej.

Wszyscy, choć Jack z właściwą sobie niecierpliwością, zgodzili się poczekać z testami, aż zamknięte środowisko zostanie dopięte na ostatni guzik. Mieli więc osiem dni na burzę mózgow. Sprzęt i zaopatrzenie codziennie przywożono z Honolulu, Sydney i Tokyo.

W wieczór poprzedzający pierwsze próby Russ zadzwonił do Jan i spotkali się na skałkach z widokiem na laboratorium, by wypić butelkę najlepszego szampana, jaki zdołał dostać w Samoa. Uczucie, które się między nimi rodziło, nie było romantyczne w konwencjonalnym znaczeniu tego słowa, ale oboje odkryli w sobie nawzajem tę samą romantyczną cześć wobec natury i nauki, która doszła do głosu już w dzieciństwie, kiedy to oboje pragnęli być astronautami. Russell został nawet przyjęty do załogi jako ekspert, lecz właśnie wtedy katastrofa *Challenger* spowodowała wstrzymanie

* NSA – National Security Agency, Agencja Bezpieczeństwa Narodowego – amerykańska agencja wywiadowcza. Rząd przez wiele lat utrzymywał jej istnienie w tajemnicy, stąd żartobliwe rozwinięcie skrótu: „No Such Agency” (przyp. tłum.).

lotów, a on przerzucił się na nieudane misje na Marsa.

Podzielili się nie tylko szampanem, lecz także silnie przybliżającą lornetką, przez którą obserwowali sierp księżyca na czystym nocnym niebie. Stabilizatory noktowizyjne szumiały i klikały, gdy Russ przesuwiał wzrokiem wzdłuż linii dzielącej oświetloną część od nieoświetlonej i wymieniał nazwy kraterów: Arystarch, Messier, Globinus, Heli.

– Ten jest głęboki – mruknął.

Zaśmiała się.

– Kiedyś znałam niektóre nazwy. Mój tata miał teleskop.

– Mówiłaś, że twoi rodzice przenieśli się na Florydę, by patrzeć na rakiety odlatujące na Księżyc.

Skinęła głową w ciemnościach.

– I inne. Wahadłowce i tak dalej. Ale rakiety Apollo, te Saturny V, były wielkie. Robiły tyle hałasu, że czułeś, jak kości ci grzechoczą. A ta, którą odpalili w nocy, była oślepiająca.

– To była ta pierwsza?

– Nie, ostatnia. Pierwszą była Apollo 11, odpalona w 1969 roku.

– No tak. Jasne. Mama mówiła, że to przespałem. Miałem wtedy niecałe dwa latka.

– Ja miałam dwanaście – rzekła Jan, ponownie napełniając kieliszek. – Wtedy pierwszy raz spróbowałam szampana. Nadal przypomina mi tamtą chwilę.

Spoglądali w noc ponad swoim projektem, pogrążeni w przyjacielskim milczeniu. Matowo żółte światła bezpieczeństwa przyciągały owady. Maleńkie ptaszki wynurzały się z mroku.

– To może być coś jeszcze większego – rzekła Jan. – I prawie na pewno będzie.

– Nawet gdy się okaże, że pochodzi stąd – dodał Russ – będziemy musieli całkowicie przedefiniować fizykę i chemię.

– Chemia jest fizyką – rzuciła machinalnie Jan. – Wiesz, jeśli ten przedmiot okaże się ziemskim tworem, kupię najdroższą butelkę szampana w sklepie wolnocłowym w Honolulu.

Stuknęli się kieliszkami.

– Jeśli nie, ja kupię ci dwie.

– Czyżbyś był tak sceptyczny?

– Nie, do licha; zgadzam się z tobą. I mam fundusze na wydatki okolicznościowe.

* * *

Obszar testowy, liczący około czterech cali kwadratowych, został oznaczony taśmą na boku artefaktu, mniej więcej w połowie drogi. Bez problemu mógł tam działać mikroskop elektronowy i jego pozytonowy odpowiednik. Wokół obszaru wybudowano kołpak z ciągiem sztucznym, by móc odsysać i analizować trujące opary.

Najpierw wykonano bierne pomiary obiektu. Jego albedo wynosiło dokładnie 1,0 – odbijał całe światło, jakie nań padało, na każdej długości fali. Optycznie przedstawiał idealną krzywą, dochodzącą aż do 1/200 fali światła rtęciowego. Była to powierzchnia niemożliwa do odtworzenia dla ludzkiego optyka.

Choć wyglądał jak metal, w dotyku przypominał jedwab: nie był zimny. Nie przewodził ciepła ani, o ile dało się to określić w biernych pomiarach, elektryczności.

Potem próbowali się dostać do środka. Odrapać go, skorodować, obłupać, przypalić – zrobić cokolwiek, by artefakt zauważył istnienie rodzaju ludzkiego.

Gdy jeszcze znajdował się pod wodą, nurkowie Poseidona wypróbowali na nim wiertarkę z diamentowym wiertłem – bezskutecznie. Teraz jednak przywleczono ogromny górniczy świder, wykorzystujący silnik elektryczny o mocy 200 koni mechanicznych, obracający diamentowym wiertłem z szybkością 10 000 obrotów na minutę i napierający z siłą ponad tony.

Hałasował tak, że naukowcy nie wytrzymywali mimo stoperów w uszach. Musieli wyposażyć go w pilota zdalnego sterowania. Przy maksymalnych obrotach, na krótko przed tym, jak diamentowe wiertło wyparowało, wyleciały wszystkie szyby w bezużytecznych oknach, a mikroskop pozytonowy został zniszczony w stopniu uniemożliwiającym naprawę.

Mikroskop elektronowy nadal jednak był sprawny i nie pokazał nic z wyjątkiem tlenków pochodzących ze zniszczonej metalowej części świdra. Gdy je usunęli, nawet przy maksymalnym powiększeniu nie było żadnej różnicy pomiędzy kwadratem testowym a nietkniętą powierzchnią w jego sąsiedztwie: nadal było to idealne lustro.

17.

Bataan, Filipiny, 7 grudnia 1941

Wielu spośród towarzyszy Jimmy'ego z obozu szkoleniowego wraz z nim przerzucono statkiem przez Pacyfik, by dołączyli do czwartego pułku piechoty morskiej w Szanghaju. Dotarli na miejsce w listopadzie 1941 i ledwie zdążyli do siebie po długim rejsie, a już musieli znów wypłynąć, tym razem na Filipiny, by bronić wyspy Corregidor od strony morza.

Dowództwo marynarki wiedziało, że atak Japończyków na siły amerykańskie na Pacyfiku jest tylko kwestią czasu. W lipcu Amerykanie zerwali kontakty handlowe z Japonią i zamrozili jej aktywa w amerykańskich bankach. Marynarka i wojsko zaczęły więc przemieszczać swoje skromne siły do miejsc, które wydawały się najbardziej narażone na atak. Były wśród nich Filipiny, które blokowały Japończykom dostęp do Indii Wschodnich.

Czwarty pułk zainstalował się na Corregidor i wysłał oddział, w którym był Jimmy, na południe, do małej bazy na Bataan. Nazwali to „gównianym przydziałem”, jako że oddalał ich o kolejny krok od wygód, które pozostały w Manili, ale nie mieli pojęcia, jak bardzo okaże się „gówniany”.

Gdy rankiem siódmego grudnia (a właściwie ósmego po tej stronie międzynarodowej linii zmiany daty, po której znajdował się Jimmy) Japończycy zaatakowali Pearl Harbor, w Manili natychmiast ogłoszono alarm przeciwlotniczy, a amerykańskie myśliwce i bombowce wyruszyły do walki powietrznej. Okazało się to falstartem: nigdzie w zasięgu wzroku nie było Japończyków. Samoloty wróciły, a gdy po kilku godzinach Japończycy z rykiem wylecieli wprost ze słońca, czekające na ziemi samoloty nie otrzymały ostrzeżenia.

Bataan i Corregidor były bombardowane i ostrzeliwane bez przerwy, nie otrzymując praktycznie żadnego wsparcia z powietrza. Jednocześnie japońskie siły lądowe dokonywały desantu na północy i południu, w Luzon i Mindanao.

Początkowy plan wojenny, sprzed Pearl Harbor, zakładał, że wszystkie amerykańskie wojska przemieszczą się na południe, do Bataan, i będą się starały powstrzymać Japończyków przed opanowaniem Indii Wschodnich. Zamiast tego generał MacArthur przegrupował swoje siły, by konfrontowały się z Japończykami tam, gdzie ci lądowali.

Miał do dyspozycji 120 000 żołnierzy filipińskich, głównie rezerwistów, którzy nigdy w życiu nie strzelali, i dziesięciokrotnie mniej Amerykanów. Było ich zatem więcej niż Japończyków, ale tamci mieli więcej broni i cała taktyka obronna okazała się spektakularną klęską. 27 grudnia MacArthur powrócił zatem do pierwotnego planu i po tygodniu wszystkie północne siły z Luzon dzieliły już ograniczone zasoby Bataan z Jimmym. Wkrótce dołączyło do nich tysiąc uciekających przed inwazją cywilów filipińskich. Po dwóch tygodniach racje żywnościowe zmniejszono o połowę; w lutym zredukowano je do tysiąca kalorii dziennie, spożywanych głównie w formie ryżu. Trochę twardego mięsa dostarczały głodujące konie i muły, które trzeba było zarżnąć.

Widząc, że klęska jest nieunikniona, ewakuowano MacArthura i pozostałych wysokich rangą oficerów do bezpiecznej Australii, podczas gdy Japończycy nadal atakowali półwysep Bataan.

W kwietniu japońskie wojska lądowe przesunęły się na południe, by przejąć wyspę. Ósmego generał Wainwright zgromadził wszystkie dostępne siły na ostatnim przyczółku na Corregidor, a dziewiętnastego oficjalnie ogłosił poddanie się wygłodniałym żołnierzom pozostawionym w Bataan.

Uzurpator z zacięciem przyglądał się tym wydarzeniom. Dwukrotnie zginął od bomb, lecz w panującym chaosie łatwo było odbudować się w nocy i rano powrócić jako cudownie ocalony. Biorąc przykład z otaczających go ludzi, ze zdrowego, ważącego 180 funtów chłopaka stał się 130-funtowym chudzielcem.

Na wieść o kapitulacji niektórzy postanowili spróbować się przeprawić na Corregidor, przepływając dwie mile pełnego rekinów morza. Uzurpator mógł tego dokonać z łatwością, na jakiś czas

przeobrażając się w jednego z tych rekinów, ale zrezygnował. Corregidor także było skazane, więc po co miałyby się trudzić?

Jego przyjaciel Hugh, który był z nim od czasów obozu szkoleniowego, powiedział mu, że kusi go, by popłynąć, choć wie, że nie dotrze do celu. Nie potrafił przepłynąć dwóch mil nawet wtedy, gdy był w dobrej formie, a woda była równie spokojna jak na basenie. „Czuję, że utonięcie to nic w porównaniu z tym, co nam zrobią ci pieprzeni Japońcy” – rzekł.

Okazało się to prawdą dla wszystkich z wyjątkiem uzurpatora. Mieli właśnie wyruszyć do obozu koncentracyjnego położonego o jakieś dwa tygodnie drogi, pod palącym słońcem, bez jedzenia i wody. Rozkazy, które wydano Japończykom w Manili, brzmiały: „Każdego amerykańskiego jeńca, który nie jest w stanie dotrzeć na własnych nogach do obozu, należy zabić”. Możliwe zresztą, że ci, których to spotkało, byli największymi szczęściarzami.

Gdy przyszli Japończycy, uzurpator, Hugh i garstka innych znajdowali się w domku radiotelegrafisty. Pięciu młodych żołnierzy z karabinami wyposażonymi w bagnety stłoczyło się w małym pomieszczeniu i zaczęło wrzeszczeć. Robili to coraz głośniej i bardziej gniewnie, aż w końcu uzurpator uświadomił sobie, że oczekują, iż ich jeńcy będą umieli mówić po japońsku. Czego jeszcze nie wiedzieli?

Z gestów żołnierzy jeńcy wywnioskowali, że mają się rozebrać. Jeden robił to zbyt wolno, więc żołnierz dźgnął go bagnetem w tyłek, co wywołało nietypową ilość krwi i histeryczny śmiech.

– Jezu – szepnął Hugh. – Oni nas wszystkich zabijają.

– Staraj się zachować spokój – mruknął uzurpator, nie otwierając ust. – Na pierwszy ogień wezmą tych, którzy zwrócą na siebie ich uwagę. Tak zawsze robili sierżanci w obozie szkoleniowym.

Przeczesując stertę ubrań, jeden z żołnierzy natknął się na japońską monetę. Uniósł ją w górę i zaczął krzyczeć na jeńca.

– To nie moje – rzekł tamten. – Kazali nam się pozbyć tego gówna.

Stojący za nim żołnierz uderzył go kolbą karabinu w podstawę czaszki i mężczyzna runął na ziemię jak ścięte drzewo. Japończyk uderzył go jeszcze dwukrotnie, lecz przerwał na dźwięk ostrego rozkazu.

Ten, który wyglądał na dowódcę, zaczął coś wrzeszczeć do jeńców, wciąż wskazując im leżącego towarzysza, który wił się w

drgawkach, krwawiąc z obojga uszu. Potem Japończycy wyszli równie nagle, jak się pojawili.

Jeden z jeńców przyklęknął obok leżącego i odwrócił go. Zobaczyli tylko białka oczu. Z ust żołnierza ciekła ślina, krew i coś przypominającego wodę.

– Płyn mózgowo-rdzeniowy – rzekł uzurpator.

– Umrze?

– Jest w bardzo złym stanie. – Pogrzebał w stercie ubrań, znalazł swój mundur i włożył go. – Lepiej się ubierzcie – rzekł do kolegi, który trzymał rannego. – Musimy wyglądać dla nich jednakowo.

– Jimmy ma rację – poparł go Hugh, znajdując własne ubranie. – Pewnie zabiją nas wszystkich, ale ja nie chcę być pierwszy.

Gdy się ubierali, w drzwiach stanął nowy Japończyk. Miał na sobie czysty mundur i był bez karabinu. Wskazał leżące na podłodze nagie ciało.

– Zakopać go – rzekł po angielsku.

– On nie umarł – zaprotestował przyjaciel rannego.

– Aha. – Oficer rozpiął kaburę i wyjął pistolet Nambu. Schylił się, włożył lufę do ust leżącego i wystrzelił. Dźwięk rozległ się głośnie echem w małym pokoiku, a krew, mózg i fragmenty kości rozprysły się po całej betonowej podłodze. – Teraz go zakopcie – rzekł Japończyk, włożył pistolet do kabury i wyszedł.

Żołnierz, który trzymał ciało przyjaciela, ruszył za oficerem. Pozostali próbowali go powstrzymać, ale się uwolnił. W drzwiach jednak opadł z sił i po prostu spoglądał za tamtym.

– Gnoje – wyszeptał. – Pierdolone żółte gnoje.

18.

Oświęcim, Polska, 7 grudnia 1941

Kiedy uzurpator korzystał z gościnności Japończyków, kameleon pomagał nadzorować budowę Brzezinki, nowego obozu koncentracyjnego, położonego o cztery kilometry od Oświęcimia. Wkrótce miał po raz drugi spotkać swojego pobratymca duchowego, Josefa Mengele.

Miał nosa do przewidywania działań wojennych, więc w 1937 roku przeniósł się do Niemiec i przybrał tożsamość młodego prawicowego lekarza, zamieszkałego we Frankfurcie. Był idealnym Aryjczykiem: jasnowłosym, niebieskookim i wysportowanym.

W roku 1938 zapisał się do nazistowskiej Schutzstaffel, tzw. „czarnych koszul”, gdzie po raz pierwszy spotkał Mengele, który także był młodym lekarzem. Chaos wojenny rozdzielił ich jednak: Mengele służył jako oficer medyczny we Francji i w Rosji, gdzie został ranny i odznaczony. Kameleon wolał uczestniczyć w ataku na Polskę. Operował tam wielu ludzi, ale poza tym nie zobaczył nic ciekawego.

Już w 1939 roku znalazł jednak stanowisko, które bardziej odpowiadało jego talentom. Został oddelegowany do Brandenbuga, by wziąć udział w hitlerowskim projekcie eutanazji „Aktion T4”. Osobom dotkniętym kalectwem, opóźnionym w rozwoju, chorym na epilepsję, zniedołężniałym ze starości lub z innych powodów uwłaczającym aryjskiemu ideałowi umożliwiano „litościwą śmierć”. W pozostałych miejscach dokonywano tego za pomocą w miarę bezbolesnego zastrzyku, lecz w Brandenburgu nastąpiło pionierskie wdrożenie komory gazowej, udającej kabinę prysznicową.

Hitler zakończył Aktion T4 w sierpniu 1941 roku po publicznych

protestach, które rozgorzały, gdy znany biskup ujawnił prawdę o projekcie w nadawanym przez radio kazaniu. Kameleona przeniesiono wówczas do Oświęcimia, gdzie zarówno jego znajomość komór gazowych, jak i doświadczenia z wcześniejszego pobytu w Polsce mogły się bardzo przydać.

Wcale go to nie cieszyło. Brandenburg był cywilizowanym miastem uniwersyteckim, z rozkoszami podniebienia, wytrawnym winem i wyrafinowanymi rozrywkami. W Oświęcimiu nie było nic z wyjątkiem podludzi skazanych na należną im eksterminację, Choć trzeba przyznać, że różnica między ludźmi a podludźmi była dla niego cokolwiek dyskusyjna.

Ucieszył się, gdy w maju 1943 roku sam Himmler mianował jego starego kumpla z Frankfurtu głównym lekarzem dla Oświęcimia i Brzezinki. Kameleon został jednym z asystujących mu chirurgów.

W tamtym okresie plan „ostatecznego rozwiązania” był już wdrażany na całego. Wagony bydlęce przybywały regularnie, przywożąc żałosnych wyrzutków: Romów, komunistów, homoseksualistów, no i – przede wszystkim – Żydów. Himmler życzył sobie, by obóz w Brzezince mógł pomieścić sto tysięcy więźniów – ponad trzy razy tyle co ten w Oświęcimiu. Tamtejsze komory gazowe i krematoria mogły przerobić 1500 osób dziennie. Było to siedlisko terroru i chaosu, co bardzo spodobało się Mengelemu.

Jednym ze wspólnych obowiązków lekarzy było stanie przed drzwiami wagonów bydlęcych, gdy te się otwierały, i decydowanie na podstawie pobieżnych oględzin, które osoby mają iść w prawo, do obozu pracy, a które w lewo, do komory. Wielu lekarzy nie znosiło tego zadania, ale Mengele je kochał. Nawet gdy nie miał dyżuru, przychodził, by popatrzeć – zawsze w nieskazitelnym mundurze, lśniących jak lustro butach i białych rękawiczkach, z batem do poganiania koni w rękę.

Jednym z powodów, dla których lubił się przyglądać gramolącym się z wagonów tłumom, była chęć dopilnowania, by żadne bliźnięta nie zostały rozdzielone ani wysłane do komory, nim on nie zrobi z nich użytku. Bliźnięta stanowiły główny obszar jego badań, a kameleon pomagał mu w realizacji tej pasji.

Zainteresowanie Mengelego było dwojokie: chciał wiedzieć, czy istnieje sposób sprawienia, by porządna aryjska kobieta urodziła

bliźniaki, dzięki czemu rasa panów mogłaby się rozmnażać dwa razy szybciej niż normalnie, a oprócz tego przeprowadzał proste, acz nieco wypaczone eksperymenty środowiskowe nad kwestią „natura czy wychowanie?”. Na przykład pozostawiał jedno z bliźniąt w spokoju, a drugie skazywał na śmierć z głodu, zatrucia, uduszenia, okaleczenia, czy co tylko przyszło mu do głowy, po czym zabijał także „bliźniaka kontrolnego” – zwykle za pomocą zastrzyku fenolu w serce. Następnie wraz ze swymi asystentami (wśród których był kameleon) przeprowadzał równoległe sekcje zwłok, opisując zmiany wewnętrzne, które mogły mieć związek z przyczyną śmierci.

Nie była to nauka w czystej postaci, a kryjąca się za nią motywacja być może dotyczyła głównie przyjemności płynącej z władzy, torturowania, mordowania i rozkrawania. Mengele to uwielbiał. Przez cały czas uśmiechał się i trajkotał.

Kameleon był zdumiony. Nie pamiętał, by w ciągu dziesiątek tysięcy lat spotkał człowieka, który byłby tak podobny do niego. Czyżby Mengele był innym przedstawicielem jego rasy? Miał nadzieję, że gdy nadejdzie właściwy czas, dowie się tego, zabijając go. Na razie jednak z przyjemnością spędzał czas w jego towarzystwie.

Mengele doceniał umiejętności kameleona podczas przeprowadzania sekcji pod wodą, które drażniły pozostałych. Kiedy zabijali ludzi poprzez uduszenie w komorach symulujących duże wysokości, zwłoki natychmiast umieszczano pod wodą w celu przeprowadzenia sekcji. Obserwator szukał zdradliwych bąbelków, by sprawdzić, które części ciała zachowały najwięcej powietrza. W mózgu było go całkiem sporo.

Większość „naukowych” archiwów Mengelego została zniszczona przed wejściem wojsk radzieckich do Oświęcimia w 1945 roku. Prace na temat badań wysokościowych przetrwały i ostatecznie zostały wykorzystane w badaniach kosmicznych, zarówno w Rosji, jak i w Stanach Zjednoczonych.

Gdy żołnierze radzieccy przeszli przez bramę Brzezinki, kameleon był jednym z tysięcy głodujących Żydów. Jego kumpel Mengele zdołał zbiec, bo z próżności wyłamał się z esesmańskiej praktyki tatuowania sobie na ramieniu grupy krwi.

Kameleon poszedł jego tropem, zachowując żydowską tożsamość i w latach 50. wstępując do Mossadu kierowanego przez Issera Harela.

Po dziesięciu latach opuścił izraelskie służby specjalne z kilkoma drobiazgami wyniesionymi z dossier Mengelego, z którym następnie spotkał się podczas kąpieli w rzece niedaleko Enseada de Bertigoa w Brazylii, 7 lutego 1979 roku.

Mengele, sprawny sześćdziesięcioośmioletni mężczyzna, postanowił trochę popływać. Kameleon wszedł do wody, by go przywitać, przybierając swój dawny wygląd z czasów hitlerowskich. Nim głowa zbrodniarza zniknęła pod wodą, oczy niemal wyszły mu z orbit. Jednak okazał się śmiertelnikiem.

19.

Apia, Samoa, 2020

Gdy wyczerpano wszystkie dostępne możliwości, a artefakt pozostał niewzruszony, ludzie z NASA zwrócili się o pomoc do swoich odpowiedników w amerykańskiej armii.

Od ponad pięćdziesięciu lat obowiązywało międzynarodowe porozumienie o zakazie umieszczania na orbicie broni masowego rażenia. Nie oznaczało to jednak, rzecz jasna, że nie można budować jej na Ziemi i czekać, aż zmieni się prawo.

WLK, Wysokoenergetyczny Laser Kruszący, z technicznego punktu widzenia nie był zresztą „bronią masowego rażenia”. Zaprojektowano go w celu unicestwiania z orbity małych obiektów, takich jak czołg, rakiet balistyczna czy nawet limuzyna z odpowiednią osobą w środku. Tym, co na razie powstrzymywało jego wyniesienie na orbitę, był potężny reaktor nuklearny, potrzebny do jego uruchomienia.

Urządzenie zaprojektowano tak, by niemal na wcisk mieściło się w ładowni nowego wahadłowca kosmicznego, co oznaczało, że jest stanowczo zbyt duże dla skorupy ochronnej otaczającej artefakt. Sześć tygodni zajęło rozmontowanie, a następnie odbudowanie wielkiej konstrukcji w taki sposób, by mogła pomieścić broń.

Jak nietrudno się domyślić, wywołało to pewne tarcia pomiędzy Russem i Jan.

Russ niekiedy odreagowywał stres poprzez jedzenie. Dotarłszy pod numer 7 na pół godziny przed wyznaczonym spotkaniem, zrobił sobie herbatę i ogromną kanapkę. Plasterki szynki, wołowiny i salami przeplatały się z serem kozim i cheddarem, pokrojonymi w plasterki piklami, pomidorami i sałatą. Dopisał do listy marynowane buraki w

plasterkach, które im się skończyły. Jedną skibkę chleba okrasił množstwem musztardy i majonezu, drugą masłem orzechowym. Potem ścisnął wszystko, by osiągnąć rozsądne proporcje, i przekroił ukośnie.

– Chyba nie masz zamiaru zjeść tego wszystkiego sam? – zapytała stojąca w drzwiach Jan.

– Chętnie się podzielę. – Przełożył pół kanapki na drugi talerz i zaniósł oba na stół.

– Herbaty? – Nalała dwa kubki i postawiła przy talerzach.

Przyjrząwszy się krytycznie kanapce, zdjęła marynatę.

– Zmodyfikowaliśmy urządzenie w ten sposób, że początkowo będzie wykorzystywało jedną dziesiątą normalnej minimalnej mocy. – Odkroiła róg kanapki i ugryzła. – Masło orzechowe?

– Czyli jakieś tysiąc megadzuli?

– Bliżej półtora tysiąca. Wypróbowaliśmy laser na wielkim bloku skalnym w kamieniołomie.

– Dziwne, że nie słyszałem wybuchu – mruknął między kęsami Russ. – Masło orzechowe to najzdrowszy element kanapki.

– Inżynierowie o to zadbali. Otoczyli go mniej więcej toną jakiegoś materiału ochronnego. Jak by nie było, mamy do czynienia z laserem kruszącym.

– No i jak? Ładnie pokruszył?

Skinęła głową.

– Rozwalił blok w drobny mak. Potem zaś rozniósł znajdujący się dwieście metrów za nim fragment ściany kamieniołomu.

– Jak długo działał?

– Mówili coś o połowie mikrosekundy.

Pokręcił głową.

– Za duży skok. To chyba tysiąckrotnie większa energia niż ta, którą dotychczas próbowaliśmy działać na obiekt.

– Mniej więcej osiemsetkrotnie, według moich szacunków. Ale tamten laser nawet go nie rozgrzał. – Istotnie, wypróbowali na artefakcie laser przemysłowy o energii dwudziestu milionów dżuli i czujniki termiczne ani drgnęły. Obiekt sprawiał wrażenie nieograniczonego pochłaniacza ciepła.

– A jeśli go zniszczymy?

– Myślę, że będziemy mogli mówić o szczęściu w przypadku ablacji pozwalającej uzyskać choćby widmo absorpcyjne.

– A jeśli się nie uda, będziecie zwiększali moc lasera aż do

maksymalnej?

– Stopniowo. Będziemy ostrożni, Russ.

– Och, wiem, że tak. – Wziął wielki kęs i skupił się na żuciu. – Ja tylko... obawiam się tej pierwszej próby. Jeśli obiekt pozostanie nienaruszony, to wytrzyma i dziesięciokrotny wzrost mocy.

– Antropomorfizujesz go. Dzielny mały stateczek kontra olbrzymi kompleks wojskowo-przemysłowy.

– Zbyt wiele czasu spędzasz z Jackiem. Skoro o antropomorfizowaniu mowa, on jest wściekły na tę rzecz.

– Cóż... ona opiera się jego zalotom. – Jan patrzyła mu prosto w oczy. – A jemu się to nie podoba.

Russ nie zdołał powstrzymać uśmiechu.

– Nic w tym dziwnego. – Od razu stało się jasne, że Jack jest zainteresowany panią astrobiolog.

Przewróciła oczami.

– Jestem już babcią.

– Ale nie widać tego po tobie.

– Teraz ty zaczynasz? Jestem o dziesięć lat starsza od ciebie.

Osiem albo dziewięć, pomyślał Russ, ale nie powiedział tego głośno.

– Chcesz coś oprócz kanapki?

– Pepcid*. Przyniosłam własny.

* Pepcid – popularny lek na nadkwasotę (przyp. tłum.).

20.

Bataan, Filipiny, 28 marca 1942

Tysiące jeńców amerykańskich i filipińskich zostało spędzonych na zapylone pola koło miasta Mariveles i zmuszonych do siedzenia w prażącym słońcu bez żywności, wody i latryn.

Uzurpator i Hugh mieli po dwa bidony i jeden wspólny bochenek czerstwego chleba. Pozostałych pięćdziesięciu kilku żołnierzy piechoty morskiej było rozsianych po całym wielkim morzu cierpiących ludzi. Niektóre oddziały trzymały się razem, co znacznie zwiększało szanse przetrwania jednostki; inne, w tym ich własny, zostały rozdzielone.

Wśród przedmiotów, które udało im się zebrać do kupy, znalazła się łyżka; Hugh „odkroił” nią szeroką na cal pajdę chleba i podzielił na dwie części. Uzurpator, rzecz jasna, poradziłby sobie bez jedzenia, ale nie zdołał wymyślić pretekstu do odmowy. Wziął mniejszą część.

– Jezu, zabiłbym dla hamburgera – rzeki cicho Hugh, gryząc suchą, kruszącą się skorupę.

– Niedługo ludzie zaczną to robić dla chleba – mruknął uzurpator – chyba że japońcy postanowią jednak nas nakarmić.

– I dla wody – dodał Hugh, pociągając niewielki łyk.

Już tamtego dnia woda zaczęła zabijać. Odwodnieni ludzie zachłannie zlizywali lub wysysali ją z każdego miejsca, a jeśli nie zostało ono odkażone, z całą pewnością było skażone. Biegunki wzmagaly smród w obozie i jeszcze bardziej odwadniały umierających. Japończycy odkręcili kran i pozwolili skorzystać ze stróżki brunatnej wody tym, którym starczało sił, by godzinami stać w kolejce. Hugh miał puszkę tabletek jodynowych, które odkażały wodę, lecz czyniły ją tak obrzydliwą, że większość osób się krztusiła.

Dla uzurpatora jodyna stanowiła rozkosz podniebienia. Podobnie jak chlor, którym upajał się w obozie szkoleniowym, była halogenem, toksycznym dla większości ziemskich stworzeń.

Gdy zapadła noc, żołnierze japońscy wkroczyli między stado leżących bezwładnie jeńców, wrzeszcząc i kopiąc. Ci, którzy byli martwi lub nie dość żywi, by zareagować, zostali zakopani przez tych, którzy mieli dość sił, by wykopać saperkami dziurę w twardej ziemi.

Niektórych pogrzebano żywcem. Jeśli się bronili, strażnik uspokajał ich kolbą lub bagnetem.

O świcie zaczęli wyciągać ludzi na chybił trafił i ustawiać w kolumny liczące od czterdziestu do stu osób. Na ten widok Hugh dał uzurpatorowi połowę swoich tabletek jodyny, które zawinął w stary list z domu. Był w tym geście altruizm i przecucie: już po kilku minutach Japończycy brutalnie zagnali go do szeregu. Przyjaciele stracili się z oczu na bardzo, bardzo długo.

Przez dwa następne dni uzurpator siedział spokojnie, przyglądając się otaczającemu go tłumowi obcych. Z braku chleba odrobinę się skurczył i usiłował naśladować objawy głodu, by się nie wyróżniać.

Rankiem trzeciego dnia dwaj Japończycy postawili go na nogi i wypchnęli na drogę. Dołączył do zbieraniny żołnierzy i marynarzy, to śpiących na stojąco, to podtrzymujących słaniających się towarzyszy.

Japończyk wrzasnął coś, co brzmiało jak: „Maszerować!”. Ruszyli chaotycznie naprzód. Ktoś zaczął skandować rytm, ale inni szybko go uciszyli („Życie ci niemiłe, palancie?”).

Początkowo szli dość zwartą grupą, gdy jednak słońce wzbilo się wyżej w niebo, naj słabsi zaczęli zostawać z tyłu. Droga była nierówna, poorana koleinami po czołgach i rzadkich ulewach, więc nawet osoba będąca w pełni sił miałaby problem z utrzymaniem narzuconego tempa.

A jedyna osoba, która zachowała pełnię sił, w istocie nie była nawet osobą.

Japończycy poganiali maruderów, bijąc ich linami i dźgając kolbami. Początkowo były to lekkie dźgnięcia w pośladki i plecy, ale potem się nasiliły, a ci, którzy upadli i nie mogli iść dalej, zostawali zastrzeleni na miejscu.

Przez cały czas żołnierze wyzywali jeńców. Uzurpator zastanawiał się, czy rzeczywiście są tak prostacy i ograniczeni, by sądzić, że wszyscy znają ich język. Zaczął już wychwytywać podstawowe

słówka, przynajmniej te, które pojawiały się w rozkazach. Rozumiał, że wkrótce może nadejść moment, w którym warto będzie na jakiś czas zmienić wygląd i przeobrazić się w Japończyka.

Przez kilka dni niewiele się działo – z wyjątkiem gwałtownych ulew, przerywających na moment lejący się z nieba żar. Ustawały równie gwałtownie, pozostawiając szybko schnące kałuże, z których żołnierze usiłowali nabierać wody do bidonów lub po prostu kładli się i pili, o ile pozwalali im na to oprawcy.

Uzurpator zmienił swój metabolizm, by móc obywać się bez jedzenia i picia. Imitował znużony krok otaczających go mężczyzn, ale zachował dotychczasową siłę – i tym ściągnął na siebie śmierć.

Obok przetoczyła się ciężarówka-chevrolet, pełna japońskich żołnierzy. Jeden z nich wykonał sztuczkę, którą najwyraźniej dobrze wcześniej przećwiczył. Zarzucił lasso na szyję jeńca, chcąc go pociągnąć za samochodem. Wybrał jednak człowieka znajdującego się w bezpośrednim sąsiedztwie uzurpatora. Ten opadł na kolana i krzyknął, a uzurpator machinalnie schwycił linę i pociągnął za nią, zrzucając japońskiego kowboja z samochodu. Ten z hukiem upadł na ziemię, a jego towarzysze podnieśli wrzask.

Na kilka sekund wszystko zamarło. Żołnierze podnieśli leżącego kowboja, który chwiejnie stanął na nogi z twarzą zalaną krwią. Wskazał na uzurpatora i zaczął coś wrzeszczeć, gestykulując.

Podszedł do niego jakiś oficer, odrobinę czystszy i bardziej porządny niż pozostali, z mieczem rangi u bogu.

Długo patrzył uzurpatorowi w twarz. Wypowiedział po cichu kilka słów, po czym odwrócił się na pięcie i zszedł z drogi. Dwaj żołnierze ujęli uzurpatora za ramiona i ruszyli za nim. Pozostali zaczęli wrzeszczeć na stojący tłum, by ruszał dalej. Niektórzy Amerykanie odwrzaskiwali, ale uciszył ich karabin i uzurpator usłyszał, jak cała gromada rusza w dalszą drogę.

Odprowadziwszy go o kilkaset metrów, Japończycy przystanęli. Jeden z nich rzucił mu do stóp łopatę.

– Musisz wykopać sobie grób – rzeki oficer.

To było ciekawe.

– Nie – odparł uzurpator. – Niech pan każe go wykopać temu z liną.

Oficer zaśmiał się i powiedział coś po japońsku. Żołnierze też się zaśmiali, ale zaraz potem zaległa niezręczna cisza i oficer wyszeptał

dwie sylaby. Ten z zakrwawioną twarzą zaczął kopać, wyraźnie obolały po upadku. Uzurpatorowi związano ręce.

Grób był płytki, miał niewiele ponad stopę głębokości, a na długość ledwie mógł pomieścić jego sześciostopową sylwetkę.

– Klęknij – rzekł oficer i uzurpatora kopnięto od tyłu w kolano. Usłyszał świst ostrza i poczuł silne uderzenie w podstawę karku, mniej bolesne niż zamiana ciała. Potem nastąpił drugi cios.

Świat zawirował; niebo zważyło mu się na głowę, która spadła twarzą do ziemi, z zaciekawieniem patrząc na tryskające krwią, widziane do góry nogami ciało. Potem upadła lub została wepchnięta do grobu. Wtedy już nie widziała, ale słyszała i czuła, jak zasypują ją ciepłą, zakurzoną ziemią.

21.

Apia, Samoa, 24 grudnia 2020

Każdy chciał być obecny przy pierwszej próbie z laserem, ale oczywiście w laboratorium, które zresztą w tej fazie badań niezbyt przypominało laboratorium, nie wystarczyło dla wszystkich miejsca. Laser był metalowym pudłem o „państwowej” szarej barwie, wielkości furgonetki, przycupniętym w prowizorycznej dobudówce przyspawanej do separatora zanieczyszczeń. Jego lufa – szklany cylinder – była ustawiona w linii z oklejonym taśmą czterocalowym kwadratem na boku artefaktu i skierowana w górę pod kątem około trzydziestu stopni. W suficie znajdował się owal ze szkła optycznego, które powinno być całkowicie przezroczyste dla częstotliwości lasera. Lepiej, żeby było. Gdyby wchłonęło choć jedną setną jednego procenta, stopiłoby się.

Przedsionek laboratorium przeobraził się w bunkier: stalowa płyta naprzeciwko betonowych. W środku stłoczyła się trójka techników, analizujących wprowadzane dane i obserwujących eksperyment na monitorze wideo.

Wszyscy inni wpatrywali się w napięciu w szerokoekranowy monitor umieszczony w *fale 7*, również zatłoczonym, jako że siedziało w nim lub stało w sumie dwadzieścia jeden osób.

– Sześćdziesiąt sekund – powiedział głos z ekranu, całkiem niepotrzebnie, bo w prawym dolnym rogu widniało cyfrowe odliczanie.

Jan siedziała pomiędzy Russem i Jackiem, pośrodku pierwszego rzędu.

– Zaraz zobaczymy – powiedziała.

– Guzik tam zobaczymy – odparł Jack.

– Założę się o piwo – wtrącił Russ.

– Że nastąpi wymierna fizyczna zmiana? Przyjmuję.

Potem wszyscy już tylko czekali, aż skończy się odliczanie. Następnie laser zaszumiał i pomiędzy lufą a celem zajaśniał błąd błysk potężnej, jonizującej powietrze siły. Taśma wyparowała w kłębie dymu.

Z artefaktem nie działo się nic widocznego.

– Powiniennem był dodać „importowane piwo” – rzekł Jack.

– Temperatura wzrosła – odezwał się z ekranu głos pani technik. – W całym artefakcie. Czujnik pokazuje wzrost o około stopień Celsjusza.

– Nie pogardzę walimą – rzekł Russ.

– A temperatura otoczenia? – zapytał Jack, zwracając się do ekranu.

– Także o stopień w górę, doktorze. Teraz wynosi dwadzieścia jeden.

– Więc nic się nie stało. On zawsze dostraja się do temperatury otoczenia.

– Nie kombinuj – powiedział Russ. – Mamy wymierną fizyczną zmianę.

– Myślę, że powinniście się podzielić piwem – rzekła Jan. – I być grzeczni.

Jack pokiwał głową w zamyśleniu.

– Wypróbujemy pełną moc?

– Dwadzieścia procent – rzucił szybko Russ. – Lepiej nie działać pełną mocą na powietrze w pomieszczeniu.

– Dobrze, Naomi – rzekł do ekranu – zwiększmy moc lasera do dwudziestu procent.

– Zrobione. – Nie było widzialnej zmiany. – Temperatura wzrosła o kolejny stopień – powiedziała po minucie Naomi.

– Wyłączmy laser i przyjrzyjmy się artefaktowi – rzekł Russ.

Jack wpatrywał się w miejsce, w którym laser skoncentrował energię wystarczającą do przetopienia się przez grubą stal. Miał nadzieję, że dojrzy choćby smużkę dymu. Lub cokolwiek.

– Nooo... dobrze.

Naomi i Moişhe Rosse, starszy technik Jan, przeszli z bunkra do nieco bardziej otwartego „pokoju artefaktowego”. Przez kilka następnych godzin przesyłali dane ludziom zgromadzonym w domku

numer siedem: wizualne, elektronowe i pozytonowe. Powietrze w pomieszczeniu wykazywało przewidywalny wzrost ozonu i tlenków azotu.

Poza tym nie było żadnych istotnych zmian.

– Odpowietrzmy pomieszczenie – rzeki Russ – i powtórzmy działanie dziesięć – i dwudziestoprocentową mocą. Przy braku powietrza każdy wzrost temperatury artefaktu będzie bezpośrednim wynikiem działania lasera.

– Powinniśmy go podkreślić do pięćdziesięciu procent – zaopiniował Jack.

– Jeśli nic się nie zmieni. – Russ zerknął na Jan. – Może być?

Skinęła głową.

– Ile potrwa odpowietrzanie?

– Jakies cztery godziny, by obniżyć ciśnienie do 0,1 milibara – odezwał się Greg Fluvia.

– Powinniśmy od czasu do czasu sprawdzać laser w miarę obniżania ciśnienia – przemówił z ekranu Moişhe. – Jest zaprojektowany tak, że może działać w próżni, ale miało to nastąpić po długotrwałym przebywaniu na orbicie.

– Czego się spodziewasz? – zapytał Russ.

– Nie wiem. Tego, że urządzenia czasem się psują, gdy zmienia im się środowisko operacyjne.

– W takim razie sprawdzajcie system mniej więcej co godzinę – polecił Jack. – Czujniki i mikroskopy też. Pozytonowy jest dość wrażliwym szczeniakiem.

Russ zerknął na zegarek: dochodziło południe.

– Spotkajmy się tu o siedemnastej. Kogo potrzebujesz, Greg?

– Już wszystko ustaliliśmy. Ja uruchomię sprzęt i będę odczytywał nanometr na zmianę z Tomem. – A wy – zwrócił się do ekranu – dajcie nam znać, gdy się już uszczelnicie.

Moişhe zapewnił, że wystarczy dziesięć minut.

– Sails? – Russ zaproponował wizytę w portowej restauracji.

On i Jan udali się tam na rowerach i zmokli jak kury podczas trwającej minuty ulewy. Jack czekał na nich przy stoliku na balkonie.

– Jak tam przejażdżka taksówką? – zapytała Jan, wycierając chustą siwą czuprynę.

– Wertepy jak diabli. – Jack pchnął butelkę z czerwonym winem o cał w ich kierunku. – Pozwoliłem sobie zacząć.

– Kieliszeczek nie zaszkodzi. – Nalała wina sobie i Russowi, po czym oboje jednocześnie usiedli ciężko. – Niebo czyste jak kryształ.

– Jazda rowerem wywołuje deszcz – rzekł Jack. – To potwierdzone naukowo.

– Cieszę się, że mamy dziś choć odrobinę nauki – zakpił Russ. Podszedł kelner. Cała trójka złożyła zamówienia bez zaglądania do menu.

– Ilekroć wypróbujemy obiekt, nie pozostawiając na nim śladu, nie ma to wiele wspólnego z nauką – rzekła Jan, pociągając łyk. – To zmagania naszej technologii z ich technologią, a raczej z tym, czym była ona przed milionem lat.

– Gdzie więc są teraz? – zapytał Russ. – Albo wymarli, albo wracają do domu.

– Albo byli nami milion lat temu – zauważył Jack. – Czytaliście ten tekst we wczorajszym „Timesie”?

– Lori Timms – Russ beznamiętnie wypowiedział nazwisko pisarki SF.

– Co pisała? – zainteresowała się Jan.

– Przedstawiła nową teorię kapsuły czasu – odparł Russ. – Uważa, że nasi przodkowie celowo wyrzekli się technologii i starannie wymazali wszelki ślad swojej cywilizacji. Z wyjątkiem artefaktu, który pozostawili jako ostrzeżenie na wypadek, gdyby ich potomkowie, czyli my, podążyli tą samą drogą.

– Z problemem skamielin poradziła sobie poprzez stwierdzenie, że ich znajomość nauk biologicznych była równie wysoka jak ścisłych, więc zaludnili świat na nowo odpowiednimi stworzeniami.

Russ roześmiał się.

– A co zrobili ze skamielinami, które już istniały? Datowanie węglem nie kłamie.

– Może je wyczyścili. Mieli jakiś sposób na znalezienie wszystkich i pozbycie się ich.

– To trochę naciągane.

– Hm, pomyślmy – wtrąciła Jan. – A jeśli to ów „milion lat” jest nieprawdziwy? Jeśli to on jest oszustwem? Każda technologia zdolna do produkcji takiego artefaktu była też zdolna do zagrzebania go pod milionletnią rafą koralową. W takim wypadku mielibyśmy jedynie problem archeologiczny.

– I historyczny – dodał Russ.

– W tamtych czasach na Ziemi istnieli giganci – zauważyła z uśmiechem Jan.

– A teraz pozostały tylko burgery rybne – rzekł Jack, gdy w drzwiach pojawił się kelner.

22.

Bataan, Filipiny, 5 kwietnia 1942

Uzurpator odczekał, aż dwie grupy maszerujących oddalą się i wokół zalegnie cisza. Wiedział, że luźna ziemia na grobie będzie się ruszać w trakcie jego godzinnej udręki nadawania swemu ciału nowego kształtu.

Postanowił nie wykorzystywać głowy i stać się o stopę niższy. Krótko mówiąc, postanowił zostać Japończykiem.

„Udręka” w istocie jest słowem zbyt ludzkim, by oddać to, przez co przechodził. Było to rozdzieranie ciała na strzępy i przebudowywanie go od środka na zewnątrz; ściskanie i wyrywanie organów, miażdżenie kości i zmuszanie ich, by przerzynały ciało – ból jednak był dla niego tylko kolejnym wrażeniem zmysłowym, a nie sygnałem, który nakazywałby mu zmienić swe zachowanie. Poza tym nie był niczym nowym. Do tej pory uzurpator zdążył już wypróbować setki różnych ludzkich żywotów.

Gdy stał się japońskim szeregowcem w ubrudzonym mundurze, uniósł się na kolana, rozrzucając ziemię wokół, a następnie wstał i otrzepał się. Tak, jak sobie wyliczył, słońce już dawno zaszło i było całkiem ciemno.

Nie licząc latarki.

Ktoś wrzasnął i rzucił się do ucieczki. Uzurpator początkowo ugrzązł w sypkim piachu, ale potem wyskoczył, zrobił trzy długie kroki, doścignął uciekającego intruza i pchnął go na ziemię.

Był to przerażony filipiński chłopiec, wciąż ściskający w rękę brezentową torbę. Mógł mieć jakieś sześć, siedem lat.

Uzurpator pospiesznie przypomniał sobie wszystkie japońskie zwroty, jakie przyswoił, i doszedł do wniosku, że żaden tu nie pasuje.

Użył więc angielskiego.

– Nie bój się. Ja tylko odpoczywałem. My tak robimy. W ziemi jest chłodno.

Chłopiec prawdopodobnie nie zrozumiał ani słowa, ale ton głosu uzurpatora uspokoił go. Ten pomógł mu wstać, podniósł latarkę i torbę, a potem odpędził go gestem.

– Idź już! Wynocha stąd!

Chłopiec pognął przed siebie jak szalony.

Być może powinien był go zabić. Przebić mu głowę palcem, symulując ranę od kuli. Ale co taki dzieciak mógł zrobić? Pobiec do domu i opowiedzieć o wszystkim rodzicom, którzy zinterpretują to w myśl swojego wyobrażenia rzeczywistości i będą szczęśliwi, że chłopak uszedł z życiem po tym, jak obudził japońskiego żołnierza. Na pewno opowie też innym dzieciom, które może nawet mu uwierzą, ale dorośli uznają to wszystko za wytwór jego wyobraźni.

(W rzeczywistości uzurpator był w błędzie: rodzice chłopca uwierzyli, że obudził zmarłego, i zabronili mu rozmawiać o tym z kimkolwiek prócz Boga, któremu miał dziękować przez resztę życia za to, że go oszczędził).

Japoński żołnierz tymczasowo powiększył sobie tęczówki, dzięki czemu oświetlone tylko przez gwiazdy pustkowie stało się widoczne jak za dnia, i cicho, lecz pospiesznie ruszył na północ. Wystarczyło mu pół godziny, by zrównać się z grupą, której pozwolono na kilkugodzinny odpoczynek. Po drodze minął leżące w rowie zwłoki czterech Amerykanów.

Zauważył tylko jednego czuwającego wartownika, który stał oparty o błotnik ciężarówki. Uzurpator stanął za samochodem, zmusił swoje ciało do wyprodukowania moczu, a potem swobodnie ruszył naprzód, poprawiając ubranie.

– Hai – szepnął do wartownika, gotów natychmiast go zabić, gdyby nie zareagował właściwie. Tamten jednak tylko odburknął coś i splunął.

Uzurpator przechadzał się między Amerykanami, snując plany. Za dnia jego japońskie „przebranie” mogło się nie sprawdzić, więc lepiej było jeszcze przed świtem przedzierać się z powrotem w Amerykanina.

W świetle gwiazd przyglądał się każdej pogrążonej we śnie twarzy. Żadnej nie rozpoznawał, ani ze swego oddziału, ani z obozu w

Mariveles. Mógł więc ponownie stać się Jimmym bez potrzeby tworzenia sobie nowej historii.

Ludzie leżący na końcu prawdopodobnie byli najbliżsi śmierci i najmniej zdolni do zwracania uwagi na to, kto się między nimi znajduje. Znalazł dwóch, którzy już nie żyli, i cichutko położył się między nimi w nieprzeniknionym mroku.

Starął się robić możliwie najmniej hałasu podczas ponownej przemiany w wychudzoną postać Jimmy'ego. Mundur był banalnie prosty i wydawał tylko zwyczajny, szeleszczący odgłos. Uzurpator rozciągnął japoński szkielec w takim stopniu, w jakim było to praktyczne, od czasu do czasu produkując dźwięk przypominający strzelanie kłykciami, aż doprowadził się do wzrostu zaledwie o trzy cale ustępującego temu, który miał dawny Jimmy.

Ostatecznym wynikiem była postać jeszcze bardziej wychudzona od poprzedniej, co w niczym nie przeszkadzało. Im gorzej wyglądał, tym lepiej.

Ledwie zaświtało, Japończycy ruszyli pomiędzy szeregi jeńców, wrzeszcząc i kopiąc. Nagły niebieski błysk i odgłos wystrzału zmusiły ich do szybszego działania.

Zostawili pięciu jeńców, martwych lub tak bliskich śmierci, że było to bez różnicy. Słońce błyskawicznie wspięło się na firmament i w ciągu niecałej godziny poranny chłód stał się tylko wspomnieniem.

Dwa dni wcześniej przeszła ulewa i choć droga była sucha i zakurzona, na skraju pól trafiały się błotniste kałuże. Ludzie wyskakiwali z szeregu i rzucali się do nich z bidonami, ale strażnicy ich odganiaли.

W końcu trafili na wielką kałużę, w której chłodziły się dwa bawoły wodne. Pilnujący jeńców szeregowiec ironicznym gestem zaprosił ich do picia zielonej, cuchnącej wody.

Człowiek stojący obok uzurpatora położył mu rękę na ramieniu.

– Czekał – zazgrzytał. – To ten gnój, co nas wczoraj wrobił.

Dziesiątki ludzi doczłapały do sadzawki, by odgarniając pianę pić i nalewać wodę do bidonów czy kubków. Niektórzy polewali sobie głowy i piersi, schładzając się jak bawoły, co miało okazać się błędem.

Oficer z szablą przebiegł wzdłuż szeregu, wrzeszcząc na tych nad wodą. Pospiesznie wracali na swoje miejsca.

Oficer przywołał strażników i z uśmiechem spoglądał, jak ci

lustrują szeregi i wyciągają wszystkich w mokrych ubraniach.

Zebrali ich na skraju drogi. Oficer wyrzekł jedno słowo, a żołnierze zaczęli strzelać na chybił trafił, zabijając wszystkich.

– Ta gówniana woda i tak by ich zabiła – odezwał się w dźwięczącej w uszach ciszy sąsiad uzurpatora.

Ten skinął głową i wraz z innymi ruszył dalej, powłócząc nogami. Miał problemy z tworzeniem uogólnień na temat ludzkiej natury. Czy Amerykanie zrobiliby to samo, gdyby role się odwróciły? Nie pasowało mu to do wcześniejszych obserwacji, z wyjątkiem niektórych z czasów zakładu dla obłąkanych, gdzie znajdowali się pacjenci niezdolni do postrzegania innych jako istot ludzkich.

Postanowił bliżej przyjrzeć się tej kwestii po wojnie. Nie sądził, by okazało się to zbyt trudne, bo Japończycy najwyraźniej byli bliscy zwycięstwa, a gdy już je odniosą – rozumował – wszyscy będą musieli nauczyć się ich języka i przyjąć kulturę.

Chyba że zamierzali zarznąć wszystkich Amerykanów niczym zwierzęta, tak jak tych przed chwilą. Cóż, wtedy mógłby przedzierzgnąć się w Japończyka, który utracił mowę. Już raz taka sztuczka się udała.

W końcu dotarli do Balangi, pierwszego miasta na swojej trasie. Wzdłuż drogi ustawili się Filipińczycy, którzy gapili się na Amerykanów i rzucali im jedzenie – pałeczki trzciny cukrowej, kulki ryżowe, ciastka z cukrem – póki Japończycy nie otworzyli ognia.

Cywile rozproszyli się, szukając schronienia. Dwaj młodzi mężczyźni ruszyli biegiem przez pole, co przykuło uwagę trójki stojących razem żołnierzy, którzy ze śmiechem zaczęli do nich strzelać. Długo pudłowali – celowo lub dlatego, że mieli kiepskie oko – ale w końcu uciekinierzy upadli.

Trzej żołnierze ruszyli, by zbadać swoje dzieło. Najwyraźniej chłopcy wciąż żyli, bo Japończycy zaczęli wrzeszczeć i kopać ich, aż w końcu strzelili kilka razy z najbliższej odległości.

Większość osób przyglądała się temu wszystkiemu w milczeniu, wstrząśnięta. „Jebane żółtki” – warknął ktoś za plecami uzurpatora, ale natychmiast został uciszony przez sąsiada.

Uzurpator próbował interpretować to, co widzi, w kategoriach zwierzęcych i ludzkich zachowań oraz tej niewielkiej wiedzy, którą zgromadził na temat japońskiej kultury. Jeśli usiłowali zastraszyć Amerykanów tym pokazem brutalności, niespecjalnie im się udawało:

ci, których to poruszało, już dawno byli śmiertelnie przerażeni. Większość jeńców przyzwyczała się do myśli, że umrze tak czy owak, i koncentrowała się jedynie na tym, by jak najbardziej to opóźnić. Każdy nowy koszmar zdawał się wzmacniać pogardę tych ludzi dla japońskich „zwierząt” (jak gdyby prawdziwe zwierzęta kiedykolwiek zachowywały się w tak wyrafinowany sposób), a przy tym zwiększał gniew na własne dowództwo, które oddało ich w ręce wroga. Niezależnie od tego, że bez jedzenia, wody, benzyny czy amunicji ich obrona Bataanu nie odniosłaby wielkiego skutku.

Japończycy okazywali zjadliwą pogardę, jakby każdy pojedynczy Amerykanin osobiście postanowił złożyć broń, by nie musieć walczyć. Było to zrozumiałe uproszczenie ze strony młodych ludzi o tak nieskomplikowanych umysłach, że po tak długim czasie nadal zdawali się sądzić, iż wystarczy mówić po japońsku dostatecznie głośno, by zostać zrozumianym przez Amerykanów.

Przepaść pomiędzy obiema stronami była tak wielka, jakby należały do dwóch różnych gatunków. Uzurpator żałował, że nie miał okazji przyjrzeć się innym kulturom bez komplikacji, które niosła ze sobą wojna. Postanowił to zrobić, gdy ta się zakończy.

Japończycy wprowadzili ich do ciemnego, dusznego magazynu w środku miasta. Był już pełen więźniów, ale żołnierze upychali ich coraz ciasniej, aż w końcu nie dało się usiąść ani leżeć: wszyscy stali obok siebie, stłoczeni jak sardynki.

Pachnieli jednak mniej zachęcająco niż ryby, biorąc pod uwagę fakt, że jedyną toaletą, do której mogli się załatwiać, były ich własne spodnie. Po pół godzinie sami strażnicy najwyraźniej nie wytrzymali. Zamknęli drzwi na kłódkę i stali na zewnątrz, podczas gdy ich więźniowie przesiąkali ekskrementami. Wielu, być może większość, cierpiało na biegunkę i całkowicie zatraciło kontrolę nad pracą jelit. Mocz zasychał na skórze i mundurach, a gdy ktoś zemdlał od smrodu lub umarł, po prostu stał tam dalej jako jedna z sardynek.

Uzurpator znajdował się blisko zamkniętych drzwi i wiedział, że mógłby je otworzyć bez wielkiego wysiłku. Dzięki temu stojący najbliżej ludzie mogliby przez chwilę pooddychać świeżym powietrzem, nim zostaliby zastrzeleni. Gdyby poddał ten pomysł pod głosowanie, prawdopodobnie wszyscy powiedzieliby. „Zrób to”.

On jednak wołał czekać i obserwować. Unoszące się wokół wyziewy nie były dla niego ani mniej, ani bardziej przyjemne niż

wiejąca na zewnątrz bryza morską. Ludzie przestali rozmawiać, koncentrując się na tym, by przeżyć kolejną minutę, godzinę, dzień.

Rankiem Japończycy otworzyli drzwi i więźniowie wyszli na oślepiające światło, zataczając się lub czołgając. Dwudziestu pięciu nie przetrzymało nocy. Pozostali zostali brutalnie ustawieni w szeregu, otrzymując po niewielkiej kulce ryżowej z odrobiną letniej herbaty, po czym ruszyli w dalszą drogę w skwierczącym upale.

* * *

Nawet przy swoim nadludzkim metabolizmie uzurpator stracił pięć kilogramów, nim marsz dobiegł końca i rankiem 15 kwietnia jeńcy dotarli na stację kolejową w San Fernando. Japończycy kopniakami i krzykiem zaganiali ludzi do wagonów towarowych wąskotorówki, po ponad stu na jeden. Była to powtórka z Balangi: stali stłoczeni ramie przy ramieniu, tyle tylko, że tym razem pociąg się kołysał. Kilka osób stojących przy samych drzwiach mogło się rozkoszować prawdziwym powietrzem; reszta musiała się zadowolić stęchlą atmosferą, w której smród fekaliiów, moczu i wymiotów mieszał się z dwutlenkiem węgla i kurzem.

W wagonie, do którego trafił uzurpator, znalazło się stu piętnastu ludzi. Gdy po pięciu godzinach wytoczyli się na zewnątrz w Capas w prowincji Tarlac, w środku pozostały cztery trupy.

Przez trzy godziny musieli siedzieć bez ruchu w palącym słońcu, nim wreszcie pognano ich przez miasto na miejsce ostatecznego przeznaczenia – do Camp O'Donnell. Tam czekał ich koszmar o kilka rzędów wielkości przewyższający sam marsz: dwanaście tysięcy więźniów stłoczono na kwadracie palącego betonu o boku długości stu jardów.

Większość Amerykanów i Filipińczyków stała w przesuwałej się wolno kolejce do kranu. Ci, którzy byli tu dłużej, mówili, że oczekiwanie na możliwość zaspokojenia pragnienia i napełnienia bidonu trwa zwykle około sześciu godzin, choć bywa, że i dziesięć lub dwanaście. Właściwie więc zaraz potem można się było ustawić na nowo.

Mówiono, że jutro dostaną jedzenie, ale Japończycy powtarzali to już od trzech dni.

Uzurpator ustawił się w kolejce, choć gdyby potrzebował wody,

mógłby ją przyswoić bezpośrednio z powietrza albo nawet rozbić węglowodany. W miarę wydłużania się kolejki więźniowie udający się na koniec przyglądali się mijanym twarzom, usiłując zidentyfikować starych kumpli pod maskami brudu i wyczerpania.

Stało się to, co było nieuniknione.

– Jimmy? Jezu... Jimmy?

Uzurpator uniósł głowę.

– Hugh.

– Ty żyjesz!

– Ledwie – odparł uzurpator. – Tak jak i ty.

– Nie... ja przecież... widziałem, jak odcięli ci głowę! Po tym, jak zważyłeś tego Japońca z ciężarówki!

– To musiał być ktoś podobny do mnie.

Jeden z japońskich strażników zatrzymał się i złapał Hugh za ramię.

– Powtórz to, co powiedziałeś – rzekł niemal idealną angielszczyzną.

Hugh skulił się.

– Wziąłem go za kogoś innego.

– Powtórz! – Żołnierz potrząsnął nim. – Ciężarówka!

– On... On wyglądał jak ktoś, kto zrzucił strażnika z ciężarówki.

Ale to nie ten.

Strażnik odepchnął Hugh, wpił się w ramię uzurpatora i gapił się na niego.

– Zakopywałem cię. Widziałem twoją głowę. Leżała twarzą do góry.

Uzurpator uświadomił sobie, że stojący przed nim żołnierz istotnie brał udział w jego egzekucji.

– Więc jak to możliwe, że żyję? – zapytał.

Tamten nadal gapił się na niego z pobladłą twarzą. Potem wyszarpnął go z kolejki i poprowadził ku szeregowi białych budynków.

– Siadaj! – Pchnął go na stopień i zawołał coś po japońsku. Dwaj młodzi żołnierze w czystych mundurach podbiegli i wycelowali karabiny w głowę uzurpatora. Pomyślał, że najlepiej byłoby skłonić ich do strzału, a następnie uprościć sytuację, pozorując śmierć. Był jednak ciekaw.

Strażnik powrócił z innym starym znajomym: oficerem, który

wykonał egzekucję.

Ten przyjrzał mu się uważnie i roześmiał się.

– Masz brata bliźniaka?

– Podobno każdy ma gdzieś sobowtóra.

Oficer postąpił naprzód i dotknął tego, co pozostało z insygniów na mundurze Jimmy'ego.

– To chyba inny oddział piechoty – mruknął.

Potem powiedział coś po japońsku i dwaj żołnierze pchnęli uzurpatora, by wstał.

– Sprawdzimy to – rzekł oficer. – Jak się nazywasz?

– Starszy szeregowy William Harrison, sir – odparł uzurpator, po czym wymyślił na poczekaniu numer ewidencyjny.

Oficer cierpliwie wszystko zapisał i szczerknął coś rozkazująco do swoich szeregowców.

– Jutro – dodał.

Uzurpator doszedł do wniosku, że do tej pory lepiej będzie stać się kimś innym i znaleźć się gdzie indziej.

Szeregowcy przepchnęli go przez drzwi i prowadzili ciemnym korytarzem. Filipiński strażnik, dokładnie obserwowany przez japońskiego oficera, otworzył drzwi zrobione z ciężkich żelaznych sztab. Najprościej byłoby się wyrwać, zabić jednego z nich lub obu i wyjść pod postacią sobowtóra oficera.

Filipińczyk zaprowadził uzurpatora do ostatniej z sześciu cel i zamknął na klucz stare drzwi z żeliwną kratą. Uzurpator rozszerzył sobie tęczę i zapamiętał kształt klucza.

Gdy strażnik odszedł, szorstki głos z sąsiedniej celi zapytał:

– Za co cię wsadzili?

– Nie powiedzieli. A ciebie?

– Ukradłem puszkę sardynek. Powiedzieli, że mnie zagłodzą.

– Tam na zewnątrz też głodujemy – rzeki uzurpator. – Tu przynajmniej nie grzeje słońce.

W zamku zazgrzytał klucz i strażnik wpuścił japońskiego oficera. Ten miał przy sobie bicz, którym smagnął uzurpatora przez twarz i ramiona.

– Cisza!

Po chwili zza ściany rozległy się odgłosy tego samego.

W celi znajdowała się deska służąca za łóżko i wiadro służące za toaletę. Śmierdziało i roiło się od much; w środku cicho szeleściły

larwy. Pod sufitem znajdowało się małe, otwarte okienko o powierzchni około sześciu cali kwadratowych, przez które przesączała się odrobina światła. Okienko wychodziło na północ i najwyraźniej było ocienione okapem dachu.

Mężczyzna łkający za ścianą był jedynym spośród współwięźniów uzurpatora, który zachował przytomność. W pobliżu kantorka strażnika słychać było oddech innego jeńca, tak płytki i rwany, że człowiek ów musiał być bliski śmierci.

Uzurpator bez trudu mógłby się dostatecznie wyszczuplić, by prześliznąć się pomiędzy kratami. Miał też dość siły, by zgiąć pręty i poszerzyć przestrzeń, ale to spowodowałoby hałas i pozostawiło dowód na to, że więzień nie był człowiekiem. „William Harrison” i tak wywołał już zbyt wielką ciekawość. Najlepiej było po prostu zniknąć. To da się wytłumaczyć łapówką lub niedbałością.

W podłodze znajdował się odpływ, prawdopodobnie prowadzący do rzeki. Miał jednak zaledwie cal średnicy. Uzyskanie kształtu, który się tamtędy przecisnę, zabraloby godziny: zachowanie dostatecznej masy, by po wszystkim znów przedzierzgnąć się w człowieka, wymagało glisty o długości jakichś stu stóp, a podczas przemiany w tego groteskowego stwora uzurpator byłby podejrzany i bezbronny.

Podsunęło mu to jednak inny pomysł.

Usłyszał, jak japoński oficer wychodzi, a po godzinie Filipińczyk zaczął chrapać. Wtedy uzurpator z dźwiękiem przypominającym ciche strzelanie kłykciami oderwał sobie prawą nogę, a potem po cichu rozdarł ubranie. Nikt nic nie usłyszał. Noga przekształciła się w obronne stworzenie, które wyglądało jak sterta szmat, ale miało zęby i pazury jak tygrys szablozębny.

Następnie reszta ciała zaczęła się przekształcać, ale nie w glistę, lecz w węża o kształcie i rozmiarach zbliżonych do młodego pytona siatkowanego. Miał przekrój kwadratowy odrobinę mniejszy od umieszczonego pod sufitem okienka.

Delikatna operacja trwała około godziny. Potem wystarczyła minuta, by zespolić się z szablozębną częścią, której grubość także nie przekraczała sześciu cali.

Całość miała setki gekonowych łapek, więc wspięcie się po ścianie było łatwizną. Stworzenie wysunęło oko przez otwór i nie ujrzało nikogo, choć po wschodniej stronie widniały jasne światła. Ku zachodowi biegł rów odpływowy.

Uzurpator prześliznął się przez otwór i zsunął w dół, zmieniając barwę, by upodobnić się do brudnoróżowej powierzchni budynku. Potem przepelzł wzdłuż ściany, naśladowując widywane wcześniej węże, i wyjrzał za róg.

Na razie wszystko szło jak po maśle. Po prawej stronie znajdował się betonowy plac, na którym żołnierze przesuwali się sennie wzdłuż wciąż równie długiej kolejki do kranu. Było tam mnóstwo strażników, wszyscy jednak stali lub siedzieli plecami do rowu odpływowego.

Czas na kolejną decyzję. Powrót do ludzkich kształtów trwałby zbyt długo, a ponadto wąż prawdopodobnie zwinnie poruszał się w wodzie – zakładając, rzecz jasna, że rów nie był wyschnięty. Gdyby złapano go po drodze... byłoby to niefortunne. Stanowił skrzyżowanie boa dusiciela z piłą tarczową, więc gdyby miał się spotkać z jednym lub kilkoma ludźmi, nie było wątpliwości, kto zwycięży. Co jednak z dziesięcioma tysiącami świadków?

Rozejrzał się, myśląc intensywnie. Prąd.

Linia energetyczna obsługująca budynek więzienny biegła dalej do placu, na którym zgromadzono jeńców. Nie widząc potencjalnych świadków, uzurpator wpełzł po ścianie i odgryzł wielki kęs. Poczował w ustach cudowny smak miedzi, stłuczki szklanej i wysokiego napięcia, a wszystko wokół spowiała ciemność.

Rozległy się krzyki i strzały w powietrze, a potem mrok pocięły promienie latarek, ale cała uwaga była skierowana w inną stronę, ku jeńcom. Uzurpator opadł na ziemię i pospiesznie podreptał na tysiącu jaszczurczych łap do rowu. Ześliznął się, znalazł kilka cali ścieków i spłynął na południe.

Pamiętał ze szczegółowych map znajdujących się w bazie na Bataan, że Manila leży o jakieś czterdzieści kilometrów na południe i że między prowincjami Panga i Bulacan płynie mnóstwo rzek. Gdy już znajdzie się w Zatoce Manilskiej, będzie musiał przepłynąć sześćdziesiąt kilometrów wokół Półwyspu Bataan, by się wydostać na Morze Południowochińskie.

W ciągu sześciu godzin, których potrzebował na dotarcie do zatoki, zauważył tylko jednego świadka: pijanego mężczyznę na wąskim drewnianym mostku, który wrzasnął i uciekł. Gdyby nawet ktoś wyszedł w noc, by sprawdzić jego nedorzeczną relację, uzurpator dawno już byłby daleko.

Kilka godzin przed świtem ostatnie koryto rozszerzyło się w deltę i

wąż wpłynął do zatoki, po czym zszedł na dno i rozpoczął proces transformacji w rybę.

Rekin przegryzł go na pół. Nie spodobało się to uzurpatorowi, ale za to rekinowi najwyraźniej nie przypadł do gustu smak, bo zostawił obie połówki w spokoju. Uzurpator pełził wzdłuż dna, pochłaniając małże i kraby, a gdy miał już dość masy, przybrał znajomy kształt żarłacza białego. Do tego czasu zdążył już dotrzeć na Morze Południowochińskie i skierował się na wschód. Od Kalifornii dzieliło go tylko dziesięć tysięcy mil.

23.

Apia, Samoa, 24 grudnia 2020

Odpowietrzanie pomieszczenia z artefaktem potrwało trochę dłużej, niż oczekiwano, ale nie było nieszczelności i wyglądało na to, że wszystkie gromadzące dane urządzenia działają bez zarzutu. O wpół do szóstej z monitora zabrzmiał głos Naomi:

– Dobra. Możemy zaczynać odliczanie.

Jack skinął głową.

– Odpalaj, jak będziesz gotów, Gridley.

Nikt oprócz niego nie miał pojęcia, kim był Gridley.

Po kilku minutach dziesięcioprocentowej ekspozycji nie wystąpiła zmiana temperatury. Naomi zwiększyła moc do dwudziestu, potem do trzydziestu.

– Zwiększ do pięćdziesięciu – polecił Jack, a Russ i Jan pokiwali głowami.

– Do czego to zmierza? – mruknęła Jan. Już wcześniej każde z nich zadawało sobie to pytanie. Kiedy w budynku było powietrze, część energii posłużyła do jego ogrzania; teraz laser wytwarzał jej dość, by wcisnąć małe miasto w obszar stu centymetrów kwadratowych, i wszystko to zniknęło... wyglądało na to, że w artefakcie.

– Setka? – zaproponował Jack.

– Siedemdziesiąt pięć – zaproponowali jednocześnie Russ i Jan.

Nic z tego. Monitor niespodziewanie zgasł, a w sekundę później ludzie zebrani w domku numer 7 usłyszeli dudniącą eksplozję.

Jan i Russ dotarli na miejsce jako pierwsi, na rowerach. Połowa budynku zawałowała się, a wielki laser niemal zatonął. Naomi i Moişhe wygramolili się spod wody, kaszląc i krztusząc się.

Russ schwycił Naomi za ramię.

- Nic ci nie jest?
- Zignorowała pytanie i wlepiła wzrok w ruiny laboratorium.
- Poruszył się!
- Poruszył?
- Uniósł się w górę, a potem spadł i się roztrzaskał!
- Jezu!
- Wesołych Świąt.

* * *

Większość sprzętu uległa zniszczeniu, ale kamera, którą producent określał jako „odporną na skrajne warunki”, była dość twarda, by zarejestrować sekwencję zdarzeń, nim straciła moc i wpadła do wody.

Gdy moc lasera wzrosła do 72 procent, co równało się trzystu tysiącom watów, artefakt łagodnie uniósł się ze swego miejsca z jednostajną prędkością i 8,3 centymetra na sekundę. Gdy zszedł promieniowi z drogi, ten wypalił dziurę w przeciwległej ścianie, gwałtownie wypełniając budynek powietrzem i wywołując lekką eksplozję, którą było słuchać w domku. Promień nie wyrządził żadnych innych szkód, jeśli nie liczyć rozłupania kokosa wiszącego na czubku drzewa na półwyspie Mulinu, w odległości ponad dwóch kilometrów.

Artefakt zaś unosił się po skosie, aż znalazł się ponad wykonaną z włókna światłowodowego lufą lasera. Wtedy cała siła, która utrzymywała go w górze, ustąpiła i obiekt spadł, niszcząc laser i zatapiając tę część budynku w zatoce.

Kamera nie zarejestrowała tego, co działo się później, ale najwyraźniej artefakt znów się uniósł i usadowił na swoim stałym miejscu w pomieszczeniu, które było teraz tylko połowicznie zadaszone. Po kilku minutach, gdy załoga dotarła do niego, wciąż był pokryty kropelkami słonej wody i chłodny w dotyku.

To zmieniło kierunek badań.

24.

Grover City, Kalifornia, 1948

Przez kilka lat uzurpator rozkoszował się pływaniem pod postacią żarłacza białego. Wcześniej żył przecież w tej formie tysiąc razy dłużej niż w ludzkim kształcie.

Z niezrozumiałych dla siebie powodów godzinami krążył nad głębokim rowem Tonga i nurkował tak głęboko, jak tylko mógł bez forsowania się. Przywykł jednak do tego, że jego zwierzęce ciała robią różne rzeczy pod wpływem niewytłumaczalnych impulsów, i po jakimś czasie ruszył dalej. Gdy znalazł się o kilkaset jardów od wybrzeża Kalifornii, zrzucił większość swojej masy i stał się delfinem butlonosym.

O drugiej w nocy wpłynął do osłoniętej zatoczki, dostatecznie płytkiej, by go chronić przed atakiem poważnych drapieżców, i przez bolesną godzinę przedzierzgał się z powrotem w ludzki kształt.

Wykorzystał znajomy szablon Jimmy'ego, lecz uczynił ciało nieco niższym i wyhodował sobie ciemne, odrobinę szpakowate włosy. Przyciemnił skórę i stworzył czarne spodnie i koszulę – wyposażenie włamywacza.

Teraz musiał jeszcze ukraść trochę pieniędzy i informacji.

Ukształtowanie terenu przypominało to, które ujrzał, gdy po raz pierwszy stał się człowiekiem. Przemierzył krótką plażę i wspiął się na kilka skałek, by w końcu znaleźć krętą przybrzeżną drogę i swobodnym krokiem ruszyć na północ.

Czterokrotnie chował się przed nadjeżdżającymi reflektorami. Po przebyciu kilku mil dotarł do samotnej stacji obsługi z domkiem na tyłach.

W sam raz na drobną kradzież. Uzurpator potrafił wytwarzać

banknoty dolarowe równie łatwo jak ubrania, z własnej substancji, ale nie był pewien, czy przypadkiem nie zmieniono waluty, czy żywność nadal sprzedaje się na kupony, czy nie wprowadzono jakiegoś zupełnie nowego systemu kryzysowego. Jeśli wojna się skończyła, mogli używać japońskich jenów.

Szyldy na stacji były w języku angielskim i żaden z nich nie nagabywał do wstąpienia do armii, na jednym widniał natomiast amerykański orzeł i zachęta do kupna obligacji, lecz nie były to obligacje wojenne. Może więc wojna się skończyła i Japończycy jednak nie wygrali.

Drzwi były zamknięte na klucz, ale ich otwarcie nie stanowiło problemu. Uzurpator przemienił swój palec wskazujący w żywy klucz uniwersalny i w ciągu niecałej minuty poradził sobie z zamkiem.

Żałował, że księżyc nie świeci. Nawet przy maksymalnie rozszerzonych tęczęwkach szczegóły nikły w mroku.

Pod jedną ścianą stały regały pełne akcesoriów samochodowych. Otworzył kwartę oleju i wypił, by uzyskać energię i nacieszyć się ciekawym smakiem, na kilka minut zmieniając metabolizm w coś, z czego korzystał kilkaset tysięcy lat wcześniej, leżąc wzdłuż otworu termicznego podwodnego wulkanu.

Znalazł pudełko drewnianych zapalek i dofosforyzował się, wsysając końcówkę jednej, po czym zapalił drugą, wzniecając płomień i wdychając słodki zapach dwutlenku siarki. Znalazł dwie potrzebne mu rzeczy: almanach światowy roku 1947 i kasę.

Wepchnąwszy almanach za pas, zapalił kolejną zapalniczkę, by zbadać kasę. Naciśnięcie klawisza „brak sprzedaży” wywołało głośne brzęczenie, po którym szuflada otworzyła się z metalicznym sykiem.

W świetle latarki przestudiował banknot dwudziestodolarowy. Żadnych wyraźnych różnic. Rozmiar banknotów amerykańskich zmieniono na trzy lata przed tym, nim uzurpator został Jimmym, i ludzie do tej pory na to narzekali.

Pobieźnie przejrzał dziesiątkę, piątkę i jedynekę, po czym wrzucił je z powrotem do kasy. W tym momencie z głośnym trzaskiem zapaliły się światła.

W drzwiach stał biały staruszek z dwururką.

– W końcu cię dorwałem, gnoju – odezwał się drżącym, piskliwym głosem.

Widocznie już nie raz został okradziony.

– Ja nie... – zaczął uzurpator, ale przerwał mu huk wystrzału. Nie dokończył zdania, bo nie miał już ust.

Zanurkował i druga kula przeszła mu nad głową. Świadom faktu, że według ludzkiego prawdopodobieństwa powinien już leżeć martwy, przebiegł obok przeładowującego broń staruszka, tworząc sobie wielkie tymczasowe oko pośrodku zalanej krwią twarzy, i wypadł sprintem na drogę.

Staruszek strzelił za nim jeszcze dwukrotnie, ale uzurpator był już daleko.

Za pierwszym zakrętem zszedł z drogi i usiadł w ciemnościach, wypracowując sobie mniej podejrzaną aparycję. Stał się starszą wiejską kobietą rasy kaukaskiej, o ogorzałej karnacji, ubraną w wyblakłą suknię z krepy.

Wśród pochmurnej, bezksiężycowej nocy uzurpator szybko przemieszczał się w głąb łądu, od czasu do czasu witany wyciem jakiegoś gospodarskiego psa. O szarym przedświcie ukrył się w porzuconej ciężarówce na zalesionym terenie pod Grover City.

Zrobił sobie portmonetkę wypełnioną dziesięcio- i dwudziestodolarówkami. Tak wyposażony wkroczył wczesnym rankiem do miasta, usiadł na ławce obok stacji kolejowej i zaczął czytać almanach.

W środku znajdowała się sekcja wypełniona ziarnistymi, czarno-białymi fotografiami i prezentująca historię drugiej wojny światowej. Było tam nawet zdjęcie Batańskiego Marszu Śmierci, ale wśród ściągniętych twarzy i wynędzniałych ciał nie dostrzegł postaci Jimmy'ego.

Hitlerowskie obozy śmierci. Hiroszima i Nagasaki. D-Day, Midway, Stalingrad.

Natura tego świata okazała się całkowicie odmienna i daleko ciekawsza.

Jakiś chłopak przypedałował na stację skrzypiącym rowerem, ciągnąc za sobą czerwony wózek pełen gazet. Uzurpator próbował kupić jedną, ale chłopak oczywiście nie miał mu wydać z dziesięciodolarówki.

– Wyglądasz na porządnego chłopca – powiedział uzurpator, mając nadzieję, że dobrał odpowiedni głos do ciała staruszki. – Możesz mi przynieść resztę później.

Chłopak rzeczywiście był porządny, choć jego twarz zdradzała

przewidywalny konflikt wewnętrzny. Odmówił przyjęcia banknotu i podał staruszcze gazetę.

– Jak pani przeczyta, to proszę ją złożyć i zostawić na tej stercie przy drzwiach stacji.

Był siódmy kwietnia 1948 roku. Brytyjski samolot zderzył się z rosyjskim nad Berlinem, który najwyraźniej został podzielony pomiędzy zwycięskie kraje. Arabowie zaatakowali trzy żydowskie obszary w Palestynie. Izba reprezentantów zatwierdziła utworzenie Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych i udzieliła krajom latynoamerykańskim miliarda dolarów pożyczki na walkę z komunizmem. Producent samolotów Glenn L. Martin przewidywał, że za kilka miesięcy Ameryka będzie miała broń biologiczną, pociski kierowane i „chmurę radioaktywną”, znacznie bardziej śmiertelnością niż bomba atomowa.

A zatem wojna wcale się nie skończyła. Po prostu wkroczyła w nową fazę. Ale uzurpator postanowił trzymać się od niej z dala.

Najprostszym planem byłby powrót do college'u. W kwietniu można było jeszcze składać papiery, ale pozostawał problem świadectw szkolnych i referencji, słowem – problem stworzenia sobie nowej tożsamości z możliwą do zweryfikowania przeszłością.

Gdy tylko problem został zdefiniowany, rozwiązanie nasunęło się samo.

Na stacji zebrały się cztery osoby, ale nie zwracały uwagi na starą wieśniaczkę. Nadszedł pociąg zmierzający na północ. Uzurpator starannie złożył gazetę i umieścił ją na szczycie sterty, pod zostawionymi przez kupujących pięciocentówkami.

Potem staruszka zapytała czwórkę pasażerów, czy to pociąg do San Francisco. Gdy potwierdzili, wsiadła.

Konduktor z obrażoną miną, ale bez komentarza wydal jej z dwudziestki. W pociągu uzurpator kontynuował lekturę almanachu, gromadząc informacje o tym, jak świat się zmienił w ciągu tych sześciu lat, gdy on pływał sobie w oceanie.

Wojna, rzecz jasna, przeobraziła mapę świata, obracając w ruinę całe miasta, a nawet kraje. Stany Zjednoczone pozostały nietknięte i wyglądało na to, że obecnie stoją na czele koalicji „wolnych” państw w zmaganiach z komunistami. Bomby atomowe, naddźwiękowe odrzutowce, pociski kierowane, mózgi elektroniczne, tranzystor i latynoskie garnitury. Al Capone nie żył, za to Joe Louis nadal był

mistrzem, co szczerze ucieszyło jego imiennika.

Na dworcu w San Francisco uzurpator kupił czasopismo dla kobiet, po czym spędził jakieś dziesięć minut w damskiej toalecie, by wyjść stamtąd jako mniej więcej dwudziestoletnia dziewczyna wyglądająca na studentkę: miała dwukolorowe mokasyny, skarpetki do kostek, kraciatą spódniczkę (ta wymagała trochę wysiłku) i białą bluzkę. Zasymilował chromowany pojemnik na papier toaletowy, przetwarzając go na sztuczną biżuterię.

Potem wsiadł w pociąg do Berkeley i przez cały dzień włóczył się po kampusie, podsłuchując ludzi i orientując się, co gdzie się znajduje. Dość długo zabawił w biurze rekrutacji. Studiowanie było najrozsądniejszym z możliwych zajęć, ale jaki wybrać kierunek? Pamiętał wszystko, czego się nauczył z oceanografii, ale gdyby miał zacząć od nowa, musiałby ukryć większość tej wiedzy. Fizyka lub astronomia mogłaby się przydać, lecz jeśli miał odnaleźć podobnych sobie, lepsza była antropologia lub psychologia.

Oczywiście miał czas na wszystkie te dziedziny.

Dokładnie zapamiętał sylwetkę, zachowanie i strój sprzątacza, by po zapadnięciu nocy wśliznąć się do pustej sali i przeobrazić. W korytarzach nadal kręciło się trochę studentów, ale łysiejący pięćdziesięciolatek z miotłą nie przykuwał ich uwagi.

Około północy wśliznął się do biura rekrutacji i zamknął drzwi na klucz. Poruszał się zwinnie i cicho, a słabe światło przesączające się przez sylwetkę drzewa z lampy ulicznej na skrzyżowaniu wystarczało jego oczom.

W przegródce „poczta otrzymana” na biurku dziewczyny, którą wcześniej zidentyfikował jako najmłodszą sekretarkę, leżało około pięćdziesięciu odpowiedzi od kandydatów na studia. Przeczytał czterdzieści, nim w końcu znalazł dokładnie to, czego potrzebował.

Stuart Tanner, chłopak z North Liberty w Iowa, przysłał list, w którym dziękował za przyjęcie, lecz donosił, że Princeton zaoferowało mu stypendium, którego oczywiście nie mógł odrzucić. Uzurpator znalazł jego teczkę w szufladzie z napisem „przyjęci” i nauczył się jej na pamięć. Kandydat miał niemal idealne cechy. Szczęśliwym trafem nie uprawiał żadnych sportów oprócz pływania. Czarno-białe zdjęcie przedstawiało bladego chłopaka o skandynawskiej aparycji, blondyna z niebieskimi oczami. Uzurpator przyswoił sobie jego oblicze i stwierdził, że będzie musiał przybrać na wadze jakieś dwadzieścia

funtów.

Upewniwszy się, że piętro jest puste, napisał na maszynie deklarację rozpoczęcia studiów, zaznaczając, że wkrótce wyjeżdża do sezonowej pracy w Kalifornii, w związku z czym prosi o przesyłanie dalszej korespondencji na poste restante w Berkeley. Potem zamienił listy i wymknął się z biura pod nową postacią.

Najbardziej jednoznaczną rzeczą, jaką mógłby zrobić, byłoby pojechanie do North Liberty, dyskretne zabicie Stuarta Tannera i powrót do Berkeley z jego portfelem zawierającym dowód tożsamości. Nie było to jednak konieczne. Wystarczyło poznać North Liberty na tyle, by uchodzić za autochtona. Stuart wychowywał się w Iowa City, więc i to miasto należało zwiedzić. A podrobienie prawa jazdy z Iowa było łatwiejsze niż sfalszowanie dwudziestodolarówki.

Dość się napatrzył na zabijanie na Pacyfiku. Postanowił więc zachować tę opcję w rezerwie na wypadek, gdyby wszystko inne zawiodło.

Zastanowiło go to. Do niedawna zabicie człowieka nie było trudniejsze niż jedzenie czy zmiana osobowości. Nie żywił ani szczególnej litości, ani współczucia dla swoich japońskich oprawców, ale uświadomił sobie, że podczas bataańskiego marszu odczuwał pewną empatię w stosunku do swoich amerykańskich towarzyszy, jak gdyby bycie jedną z wielu ofiar uruchomiło jakiś proces.

Cokolwiek to było, zaskoczyło go. Coś się zmieniało w uzurpatorze. Nie w uzurpatorze: w człowieku, którym był.

Zmiana przebiegała powoli. W gruncie rzeczy rozpoczęła się już w zakładzie dla obłąkanych, kiedy zaczął rozróżniać poszczególne jednostki i zauważać, że woli towarzystwo jednych od innych. Zaczął lubić ludzi.

Stuart Tanner chciał studiować literaturę amerykańską. To było wyzwanie. Książki – powieści – mogły dopomóc uzurpatorowi w zrozumieniu tego, co się z nim działo. „Czym jest ta rzecz, którą zwa miłością?” – przypomniawszy sobie słowa piosenki Dorsey’a. Warto byłoby zacząć od zrozumienia przyjaźni.

Gdyby codziennie czytał jedną książkę, do września zdążyłby się przygotować do zajęć z literatury. Jako drugą specjalizację mógł sobie wziąć psychologię, a do tego uczęszczać na zajęcia z antropologii i ostatecznie zrobić z niej studia licencjackie. Potem mógł się poświęcić pracy – poszukiwaniu istot podobnych do siebie.

Włóczył się po Berkeley, aż znalazł czynną przez całą dobę kawiarnię, usiadł w niej z zabranym z biura katalogiem kursów i zaplanował sobie rozkład zajęć. Potem przewertował resztę almanachu, udając, że czegoś szuka. O bladym świcie wrócił na dworzec i kupił bilet do Davenport w Iowa, które zdawało się leżeć najbliżej North Liberty spośród dostępnych stacji.

Do odjazdu pozostały trzy godziny, więc kupił sobie walizkę w lombardzie i napakował do niej ubrań z lumpeksu. W antykwariacie nabył dwie grube antologie literatury amerykańskiej i pół tuzina sfatygowanych powieści.

Trochę niefortunnie byłoby natknąć się podczas spaceru główną ulicą North Liberty na Stuarta Tannera lub kogoś, kto go zna, więc w kabinie zatłoczonej toalety dworcowej uzurpator sprokurował sobie czarne włosy i ogorzałą cerę. Spłaszczył też nos i przebarwił niebieskie oczy na brąz.

Miał zarezerwowany prywatny przedział, bo pieniądze nie grały dla niego roli. Za pięć jedenasta wsiadł do pociągu i rozsiadł się.

Potrzebował prawie całego przejazdu przez Góry Skaliste, by przeczytać antologię Joe Lee Davisa, ale nim dotarł do Mississippi, zdążył jeszcze przeczytać po jednej książce Poego, Hawthorne'a, Melville'a, Fitzgeralda, Hemingwaya i Faulknera. Zapamiętał każde słowo, ale wiedział z wcześniejszych uczelnianych doświadczeń, że to nie wystarczy. Jimmy pisał wprawdzie dość dobrze, by zdobyć dyplom z oceanografii, lecz na angielskim nie błyszczał. Musiał to zmienić.

Wśród dokumentów przysłanych przez Stuarta znajdował się jedenastostronicowy esej na temat tego, dlaczego chce się specjalizować w literaturze amerykańskiej. Uzurpator przyswoił nie tylko słowa, lecz także charakter pisma. Dwukrotnie skopiował esej, starając się zrozumieć, dlaczego piszący użył takiego, a nie innego słowa; dlaczego wybrał taką, a nie inną konstrukcję zdania. Ilekroć kończył jakąś powieść, pisał o niej kilka stron, usiłując naśladować styl i słownictwo Stuarta: podobnie jak na zajęciach z angielskiego i literatury na University of Massachusetts, kreślił fabułę i analizował zamiary autora, starając się jednak, by szło mu to lepiej niż wówczas. Nim pociąg dojechał do Davenport, ołówek zdążył się zmienić w ogryzek, a gruby zeszyt był już niemal zapełniony.

Mississippi wyglądała ciekawie. Któregoś dnia mógłby się zmienić

w wielkiego suma i zbadać ją dokładnie.

Przeczekał burzę, wiedząc, że tak postąpiłby człowiek, a potem poszedł na autobus. Czekał przez dwie godziny, przeczytał dwie gazety z Iowy i przestudiował w głowie cały tekst *Słońce też wschodzi*, który był dla niego jasny, lecz tajemniczy: jak ludzie mogli się zachowywać tak autodestrukcyjnie? Pomyślał, że to z powodu wojny – tej wcześniejszej, choć może w gruncie rzeczy to wciąż była jedna i ta sama wojna, tyle że od czasu do czasu robiono przerwy na dozbrojenie. I tak to miało trwać, dopóki w końcu ktoś nie wygra.

Podróż do Iowa City była ciekawa: autobus toczył się przez nierozróżnialne mile ciągłej zieleni: farmy, farmy, farmy, czasem jakaś preria czy las. Mijali pojedyncze domy ze stodołami, zawsze czerwonymi, ale żadnych miast, póki nie dotarli do celu.

Autobus jechał do Cedar Rapids, ale kierowca wytłumaczył pasażerowi, jak dojść na stację kolejki międzymiastowej Cedar Rapids-Iowa City, która miała go zawieźć do samego North Liberty. Po drodze przeszedł przez campus uniwersytecki i zauważył, że studenci są ubrani mniej więcej tak samo jak w Berkeley. Może nieco bardziej sportowo, nie obnosząc się z bogactwem. Więcej chłopaków paliło fajki. Mniej dziewcząt nosiło spodnie. Suknie sięgały do połowy łydki.

Uważnie przysłuchiwał się rozmowom. Młodzież mówiła z charakterystycznym dla Iowy akcentem, ale i tak wyraźniej niż na stacji w Davenport. Musiał sprokurować sytuację, w której będzie mógł podsłuchać Stuarta.

Wiedział z dokumentów, że chłopak chodzi do liceum w Iowa City, więc pod wpływem impulsu przepuścił dwa pociągi. No i faktycznie. Gdy lekcje się skończyły, młodzież zaczęła przybywać na stację dwójkami i czwórkami.

Wszyscy z wyjątkiem Stuarta, który szedł samotnie, czytając książkę. Z nikim nie rozmawiał i nikt go nie zagadywał.

Uzurpator przedostał się blisko niego i podglądał dyskretnie, udając pogrążonego we własnej książce. Chłopak był szczupły, umięśniony i delikatny. Książką, którą czytał, było napisane 20 lat wcześniej *Dojrzewanie na Samoa*, które Jimmy przeczytał na studiach, w 1939 roku.

Gdy nadjechał pociąg, uzurpator wszedł zaraz za Stuartem i usiadł obok niego.

– Fajna książka.

Stuart gwałtownie podniósł głowę.

– Czytałeś?

– Ojciec ją miał – wymyślił uzurpator. – Jeszcze ze studiów.

– Pozwolił ci przeczytać?

– Nie... Przełożyłem okładkę z innej książki. Nie skapnął się.

Stuart parsknął śmiechem.

– Mój stary mi ją zabrał. Teraz mam nową, ale w domu trzymam ją w schowku. Kurde, przecież nie jestem już dzieciakiem!

Uzurpator pokiwał energicznie głową.

– Boją się, że coś ci odbije.

– Jakby w tym było coś złego. – Przyjrzał się towarzyszowi. – Jesteś nowy?

– Tylko tędy przejeżdżam. Odwiedzam krewnych.

– Gdzie, w Liberty?

Myślał intensywnie. W North Liberty mieszkało zaledwie kilkaset osób; Stuart prawdopodobnie znalazł większość z nich.

– Nie, w Cedar Rapids.

– A skąd jesteś?

– Z Kalifornii. San Guillermo.

Stuart zamyślił się.

– Zawsze chciałem tam pojechać. Przyjęli mnie do Berkeley, ale nie dostałem stypendium. Studiujesz?

– Mam przerwę w życiorysie. – Uzurpator zerknął na zegarek. – W tym Liberty jest coś do roboty? Zostało mi parę godzin do zabicia.

– Zdechłyby tam jak nic – rzekł Stuart. – Jest lodziarnia... no, w sumie to zwykły sklepik z lodami i napojami. Możesz się przejść do kamieniołomu.

– Co wydobywają?

– Piaskowiec. – Stuart zaśmiał się i wskazał w kierunku Iowa City.

– Zbudowali z niego siedzibę rządu stanowego. Po czym przenieśli stolicę do Des Moines.

– I zapomnieli zabrać budynek – zażartował uzurpator. Chłopak spojrział na niego dziwnie i roześmiał się.

– Możesz zabić godzinkę oranżadą. Albo jechać do Cedar Rapids i kupić normalne piwo.

– Oranżada wystarczy. Lubię małe miasteczka.

– Całe Liberty można obejść w dziesięć minut.

Rozmawiali jeszcze przez chwilę. Uzurpator głównie słuchał albo grzebał w pamięci, przypominając sobie wiadomości z dzisiejszych gazet.

Wysiedli razem w North Liberty wraz ze sporą grupą innych uczniów. Niemal wszyscy ruszyli wzdłuż głównej ulicy. Gdy wchodzili do sklepu z lodami, jakiś dziewczęcy głos za ich plecami zaintonował śpiewnie:

– Stu-i ma chłopaka!

Stuart zaczerwienił się.

– Głupia laska – mruknął, gdy drzwi z trzaskiem zamykały się za nimi.

Ciekawa sprawa, pomyślał uzurpator. Czyżby wolnomyśliciel Stuart był homoseksualistą, zainteresowanym egzotycznym przybyszem spoza miasta? Śniadym, przystojnym, o ciele niemal identycznym jak jego własne; w dodatku obrońcą Margaret Mead?

Usiedli przy okrągłym marmurowym stoliku w pobliżu kręcącego się wiatraczka. Uzurpator zerknął na jednokartkowe menu.

– Może deser bananowy na pół? Całego nie zmieszczę.

– Ja stawiam. – Stuart sięgnął do kieszeni.

– Nie, pozwól, że ja to zrobię. Prowadzę badania nad dziwnymi mieszkańcami tej enklawy.

Stuart prychnął.

– Margaret Mead nie znalazłaby tu nic ciekawego.

– Przeciwnie. Mieszka tu pewnie tyle samo osób co na jej wyspie.

– Ta. I chodzą półnago, pieprząc wszystko, co się rusza. – Obaj parsknęli śmiechem.

Podszedł do nich sprzedawca – młody, pryszczaty rudzielec – z notesem w ręku. Uśmiechnął się niepewnie.

– Gdzie tak robią, Stu?

Chłopak podniósł książkę.

– Na Samoa, Vince. Jedziemy tam, jak tylko szkoła się skończy.

Vince spojrzał na uzurpatora z udawanym zdziwieniem.

– Jasne. Gdzie to w ogóle jest, u diabła?

– Na wynajewie. Środek Pacyfiku.

– Biją się tam?

– Nie wiem. – Stuart uniósł brwi w kierunku uzurpatora.

– Mnie nie pytaj. – Żarłacz biały w drodze do Kalifornii minął ten archipelag i nie zauważył żadnych okrętów wojennych. Ale to było na

kilka lat przed końcem wojny.

– Tak w ogóle to cześć – powiedział chłopak. – Jestem Vince Smithers. Jakoś cię nie kojarzę...

– Matt Baker – odparł uzurpator, podając mu rękę. – Z San Guillermo w Kalifornii. – Ciekawe, pomyślał. Miał pewne trudności z odczytywaniem subtelnych emocji, ale zazdrość była mało subtelna. – Daj nam jeden deser bananowy. I colę dla mnie.

Vince zapisał i spojrzał na Stuarta.

– Dla ciebie cola waniliowa?

Stu skinął głową i Vince powrócił za ladę.

– Znajomy? – zapytał uzurpator.

– Tu wszyscy się znają. Chodziłem z Vince'em do szkoły, ale starzy zapisali go do akademii wojskowej. Jak to gówniane miejsce się nazywało, Vince?

– Jezu, nie chcę nawet wymawiać tej nazwy. Wyniosłem się stamtąd, by zrobić karierę w ćwiartowaniu bananów. Stary bardzo się ucieszył.

Przekomarzali się tak z jakimś dziwnym skrępowaniem, które uzurpator obserwował okiem antropologa. Byli dla niego mniej egzotyczni niż Polinezyjczycy, ale nie mniej ciekawi.

W ich interakcji pobrzmiwały echa spisku. Zrobili razem coś zakazanego, potajemnego. Nie musiało chodzić o seks, choć takie rozwiązanie przychodziło na myśl jako pierwsze. Czy Stuart chciał, żeby jego nowy towarzysz tak właśnie pomyślał? Jedyne doświadczenia homoseksualne uzurpatora miały miejsce w zakładzie dla obłąkanych i nie posiadały aspektu towarzyskiego: był po prostu zabawką dwóch strażników. Raz odwiedził go trzeci, który okazał się znacznie ciekawszy niż tamci brutale: po kilku minutach zrezygnował i rozplakał się, mówiąc, że strasznie mu przykro. Zaraz potem najprawdopodobniej odszedł z pracy.

To wszystko było znacznie bardziej skomplikowane, niż wymagała sytuacja, ale uzurpator zauważył, że owa prawidłowość dotyczy wszystkich biologicznych funkcji ludzi, które nie są mimowolne.

Vince przyniósł deser i colę.

– Może też chcesz wanilii? – upewnił się, patrząc na uzurpatora.

Hm. Komplikacja.

– Niech będzie. Raz można wszystkiego spróbować.

Vince skinął posępnie głową. To był ewidentny punkt zwrotny.

Starannie podzielili deser i przystąpili do konsumpcji, każdy ze swojej strony. Stuart powiedział uzurpatorowi o stypendium z Princeton.

– Fajny campus. Będziesz studiował antropologię?

– Nie. Angielski i literaturę amerykańską. Byłeś tam?

– Raz. Odwiedzałem krewnych. – Tak naprawdę spędził tam cały semestr, studiując paleontologię bezkręgowców.

– Masz wszędzie krewnych.

– Duża rodzina.

Stuart skrzywił się.

– Moja cała jest w Iowa. – Wymówił to jako Ajo-łej, z opadającą intonacją.

– I co? Nie chcesz tu wrócić i wychować gromadki Iowańczyków?

– Dwa razy „nie”. Nie, żebym nie lubił dzieci. – Nadział kawałek banana. – Ja ich nie-na-wi-dzę.

– Masz rodzeństwo?

– Na szczęście nie. Dzieciaki ze szkoły są wystarczająco denerwujące.

Uzurpator zachłannie absorbował wiedzę. Skończyli deser.

– To jak? Orowadzisz mnie po słynnej North Liberty?

– A masz jeszcze pięć minut?

Gdy wychodzili, uzurpator podał Vince’owi dolara i machnął ręką, żeby ten nie wydawał reszty.

– Masz forsę jak lodu – mruknął Stuart.

– Jestem najlepszym graczem w kasynach San Guillermo.

– Chyba najlepszym ściemniaczem. – Zaśmiali się.

Dokładnie rzecz biorąc, trwało to dziesięć minut. Z centrum miasteczka Stuart poprowadził towarzysza wzdłuż West Cherry Street.

– Tu mieszkam – powiedział. – Wejdiesz?

– Jasne. Chętnie poznam twoich starych.

Stuart spojrzał mu prosto w oczy. Byli identycznego wzrostu.

– Wyjechali. Wrócą dopiero jutro.

Uzurpator odwzajemnił spojrzenie.

– Właściwie nie muszę być dzisiaj w Cedar Rapids. Pociąg i tak mi uciekł.

Rytuał uwodzenia trwał krótko. Stuart wyciągnął z barku rodziców burbona i zrobił dwa drinki, o wiele za duże i za mocne. Dla

uzurpatora było to tylko paliwo, ale gdyby jego towarzysz był starszy, mogłoby w nim zabić pożądanie.

Czego, rzecz jasna, nie zrobiło. Chwiejnym krokiem wspiał się po schodach, ciągnąc uzurpatora za rękę, do sypialni, która nie wyglądała ani trochę chłopięco. Nie było tam zdjęć modelek ani plakatów, tylko setki książek na pozbijanych ze sobą regałach.

Uzurpator nie miał pojęcia o protokole – wciąż nie nauczył się nawet heteroseksualnego. Więc gdy już znalazł się w sypialni, po prostu robił to co Stuart, jedna permutacja po drugiej. Ze względu na towarzysza zmniejszył nieco średnicę swojego penisa, pamiętając ból, który odczuwał w zakładzie dla obłąkanych.

Gdy było po wszystkim, chłopak zasnął w jego ramionach, chrapiąc pijacko. Uzurpator zanalizował pozostawiony przez tamtego materiał genetyczny. Stuart miał problemy z cholesterolem – powinien uważać z deserami bananowymi – a w przyszłości czekała go cukrzyca. Może miał rację, nie chcąc się rozmnażać.

25.

Apia, Samoa, 2021

Nie było szans na utrzymanie tego w tajemnicy. Po pierwsze, w odległości niecałego kilometra trenowała właśnie załoga łodzi typu longboat, która usłyszała eksplozję wywołaną przez przebicie ściany odpowietrzonego budynku promieniem. Wszystkie trzydzieści cztery osoby nadal gapiły się w tamtym kierunku, gdy część budynku zawaliła się, z wielkim pluskiem wpadając do wody.

Ze swojego miejsca nie widzieli artefaktu. Budynek był jednak stale monitorowany przez automatyczną kamerę z teleobiektywem, zamontowaną przez CNN na zboczu Mount Vaia od strony zatoki. Uchwyciła zawalenie się budowli i przybliżyła obraz artefaktu, leniwie unoszącego się, by powrócić na swoje dawne miejsce.

Nikt na Samoa nie wiedział, że pięć minut później w Waszyngtonie odbyła się pospiesznie zwołana konferencja. Prezydent przerwał wieczorne spotkanie przy pokerze, by dopomóc w podjęciu decyzji, czy cała wyspa powinna zostać wysadzona w powietrze. Jakiś obłudnik wysunął argument, że w gruncie rzeczy nie byłby to akt wojny, gdyż między obiema narodami nie ma wrogości, a ponadto po eksplozji jeden z nich przestanie istnieć. Odpowiedź prezydenta była jak zwykle lakoniczna. Powrócił do gry, poleciwszy, by następnego ranka na jego stół trafił raport z wydarzeń.

Raport zawierał jedną krótką stroniczkę. Poseidon trzymał gębę na kłódkę, a zespół naukowców z NASA przestrzegał postanowień kontraktu.

Przeglądali taśmę wielokrotnie, podobnie jak dane z czujników, i po setnym razie byli niewiele mądrzejsi niż po pierwszym. Gdy laser został podkręcony do 72 procent pełnej mocy, temperatura artefaktu

zaczęła wzrastać równomiernie na całej powierzchni. Gdy wynosiła 1,2 stopnia Celsjusza powyżej temperatury otoczenia, obiekt uniósł się ze swego legowiska i wędrował z prędkością 18,3 cm na sekundę, obrócony pod kątem 45 stopni, aż znalazł się nad lufą lasera. Potem spadł na podłogę. To było jak upuszczenie wieżowca na kieliszek. Podłoga nie wytrzymała.

Część znajdująca się pod legowiskiem obiektu nie załamała się jednak, gdyż miała niezależne podpory. Mimo to zapewne czekałby ją ten sam los, gdyby artefakt na nią SPADŁ. On jednak wydawał się zainteresowany jedynie laserem. Powróciwszy na swoje miejsce, osiadł na nim lekko jak piórko.

Badacze musieli przestudiować nagrania CNN, bo ich własna wstrząsoodporna kamera leżała niewzruszenie na dnie zatoki, a jej rezerwowe źródło zasilania przesyłało zdjęcia wirującego mułu. Dokładnie 1,55 sekundy po zapadnięciu się podłogi artefakt uniósł się z wody i, ponownie ze stałą prędkością 18,3 cm na sekundę, powrócił na legowisko. Taki obraz zastali Russ i Jan, gdy kilka minut później przypedałowali na miejsce.

Kiedy brygada robotników nerwowo odtwarzała pomieszczenie artefaktu i jego otoczenie ochronne, osobna ekipa z NASA – a w każdym razie ubrana w identyczne, nowe kombinezony ochronne NASA – wydobyla zatopiony laser oraz źródło mocy i zanalizowała uszkodzenia. Były ogromne.

Jack Halliburton zwykle nie przychodził do domku nr 7 bez zapowiedzi. Gdy więc tym razem stanął w drzwiach, siedząca wokół stołu zawalonego raportami i pozostałościami po obiedzie dziewięcioosobowa grupa zamilkła.

Russ należał do najbardziej zaskoczonych.

– Jack! Może kanapkę?

Ten pokręcił głową i usiadł na podsuniętym krześle.

– Podajcie mi krzywą mocy lasera zaraz przed tym, jak spadł na niego artefakt.

Moishe Rosse, który stał się głównym specem od lasera, podniósł dwie cylindryczne klawiatury i zaczął surfować, używając wielkiego telewizora jako monitora.

– To prosta funkcja skokowa – rzekł Russ. – Wyłączył się.

– Wiem. Chcę wiedzieć, w którym momencie i dlaczego.

– Powodzenia z „dlaczego”. – Wnętrza źródła energii były ściśle

tajne; traktowali je jak czarną skrzynkę, która zawsze dostarcza to, o co się ją prosi.

– Coś niecoś możemy stwierdzić. – Na ekranie pojawił się znajomy wykres, ukazujący rosnącą powoli, a następnie spadającą gwałtownie moc lasera. Oś odciętych była podzielona na mikrosekundy.

– Podziel ekran na pół i przyjrzyjmy się, co się dzieje na taśmie nagranej w czasie rzeczywistym na kilka mikrosekund przed wyłączeniem się lasera.

Artefakt powoli się unosił, pokonując dwa milimetry na mikrosekundę. Spowolnione nagranie w żółwym tempie ukazywało pandemonium, które rozpętało się, gdy promień lasera prześliznął się pod obiektem i przedziurawił przeciwległą ścianę.

– Stop. – Taśma wskazywała godzinę 06:39:23,705. Wykres pokazywał, że moc wyłączyła się o 6:39:23,810.

– Więcej niż jedna dziesiąta sekundy. No i? – Russ wskazał ekran. – Co z tego wnosisz? – Wcześniej zakładali, że albo laser wyłączył się automatycznie, poprzez jakiś wewnętrzny obwód bezpieczeństwa, albo załatwiła go siła eksplozji. Federalni nie chcieli nic powiedzieć.

Jack przez długą chwilę gapił się w milczeniu na obraz.

– Jedno, co wiemy na pewno – rzekł – to że o 23,810 cały pluton w reaktorze zmienił się w ołów.

– W ołów?

– No. Dlatego laser przestał działać. Nie wyciśniesz krwi z rzepy.

– Jezu! – rzekł Moişhe. – Gdzie się podziała ta cała energia?

– Wiele wskazuje, że we wnętrzu naszego małego przyjaciela.

– Ile gramów plutonu? – zapytał Russ.

– Nie chcą powiedzieć. Ale byli nerwowi jak diabli. Zdaje się, że „gramy” nie jest właściwym słowem. Zdaje się, że chodzi o tony, kilotony, megafony.

– Ekwiwalentu TNT – rzekł Russ.

Jack skinął głową.

– Chcą ewakuować wyspę.

– Megatony? – zapytał Russ z rozszerzonymi oczyma. – Na czym my, u diabła, siedzimy?

– Jak wspomniałem, nie chcą podawać żadnych liczb. Ponadto mam podejrzenie, że ich obawy nie dotyczą możliwej eksplozji naszego obiektu. Chodzi raczej o to, że chcą mieć możliwość swobodnego rozbicia go na atomy, gdyby wyglądał niebezpiecznie.

– Gdyby!

Jack rozejrzał się po pomieszczeniu.

– Podejrzewam, że stracimy też część swojej obecnej ekipy. Nie mogę powiedzieć, żebym kogokolwiek winił, jeśli zdecyduje się odejść.

Zaległa cisza.

– Co? – przerwał ją Moishe. – Teraz, gdy zaczyna się robić ciekawie?

* * *

Nie dało się przemieścić dwustu tysięcy Samończyków jedynie poprzez oświadczenie: „Jesteście w niebezpieczeństwie, musicie wyjechać”. Po pierwsze, słowo „niezależny” w nazwie państwa Samoa oznaczało przede wszystkim „niezależny od Ameryki”. Każdy, kto chciał żyć pod zwierzchnictwem Wuja Sama, mógł wsiąść na prom i przenieść się do Samoa Amerykańskiego.

Inną kwestią było to, gdzie ich umieścić. Samoa Amerykańskie było potwornie zatłoczone. Nowa Zelandia i Australia praktycznie zamknęły granice, przyjmawszy w ubiegłym wieku ponad sto tysięcy Samończyków, Ci, którzy zostali, raczej pragnęli zachować tradycyjny styl życia.

Pozostałe wyspy archipelagu były w większości porośnięte nieprzeniknioną dżunglą lub zasypane pyłem wulkanicznym. Savai’i miała 60 tysięcy mieszkańców, stłoczonych w naszyjniku miasteczek ciągnących się wśród wybrzeża, i nie chciała nikogo więcej.

Ponadto Samończycy byli narodem głęboko religijnym i odrobinę fatalistycznym. Jeśli Bóg postanowił ich zabrać, to i tak to zrobi. Pozostawianie własnych domów, z pokoleniami przodków pogrzebanymi na frontowych podwórkach, oznaczałoby brak szacunku, by nie rzec – świętokradztwo. Ankiety wskazywały, że nawet gdyby Stany Zjednoczone w całości opłaciły przeprowadzkę, tylko 20 procent populacji zdecydowałoby się na ten krok.

Samończycy zauważali, że o wiele prościej byłoby przenieść artefakt. Ziemia nie należała do Poseidona, a tym bardziej do rządu amerykańskiego; została jedynie wydzierzawiona. Właściciele mogli eksmitować dzierżawców.

Jack wykorzystał w tej sprawie swoje umiejętności negocjatorskie.

Spotkał się ze starszyzną wioskową – fono – i zauważył, że eksmisja, choć byłaby zrozumiała, miała pewną negatywną stronę. W gruncie rzeczy bowiem byłaby to kapitulacja przed potęgą nuklearną Stanów Zjednoczonych. Oznaczałaby pogwałcenie umowy, która niosła ze sobą znacznie więcej pieniędzy i prestiżu, niż ta wioska kiedykolwiek miała, a niektórzy postrzegaliby to jako poniżenie. Ponadto w wypadku kooperacji Jack z wdzięczności wyremontuje im obie szkoły i wybuduje nowy kościół.

Nie wspomniał o Poseidonie. Miał zawrzeć ten układ osobiście.

Skończyło się na remoncie kolejnych dwóch kościołów i sponsorowaniu świątecznej uczy. Ale honor zwyciężył.

(Fakt, że rząd samoański chce, by wioska eksmitowała Poseidona, zadziałał na korzyść Jacka. Prymat prawa wioskowego był zapisany w konstytucji, a kwestiach nieruchomości – trudnego tematu na wyspie o ograniczonej powierzchni – lokalne prawo bezdyskusyjnie dominowało nad federalnym. Starszyzna z przyjemnością podkreśliła tę zasadę).

Przebudowa była radykalna. Czasza nad obszarem eksperymentalnym, oprócz zapewniania izolacji środowiskowej, miała służyć jako podwójne zabezpieczenie przeciwwybuchowe, tytanowa kopuła wewnątrz stalowej. Jack, Russ i Jan połączyli siły w proteście przeciwko dodatkowym kosztom i komplikacjom. Gdyby artefakt postanowił eksplodować, kopuły równie dobrze mogłyby być wykonane z kartonu.

Rząd, nadal pod przykrywką NASA, ale z pieniędzmi i wpływami, jakich ta agencja nie posiadała, uznał, że prawdopodobnie mają rację. Podwójna kopuła miała stanowić jedynie środek zapobiegawczy „na wszelki wypadek”.

Także „na wszelki wypadek” zaprojektowano mające przykuwać artefakt do miejsca łańcuchy, które były przymocowane do lin szerokości ramienia, głęboko zakotwiczonych w skale. Wyliczono siłę, jakiej wymagało podniesienie artefaktu z legowiska; łańcuchy potrafiły przetrzymać cztery do sześciu razy tyle. Nikt, kto widział, z jaką łatwością i gracją obiekt wzniósł się w powietrze, nie postawiłby jednak złamanego grosza na podtrzymujące je liny.

Teraz główna rola w przedstawieniu przypadła Jan. Po tym, jak artefakt był przypalany, zamrażany i ostrzeliwany bez żadnego rezultatu z wyjątkiem spowodowania katastrofy, może nadszedł

wreszcie czas, by z nim porozmawiać.

26.

Berkeley, Kalifornia, 1948

College był trudniejszy niż za pierwszym razem. Oceanografią uzurpator interesował się niejako z natury; angielskim i literaturą nie, szczególnie na zaawansowanym poziomie, jakiego wymagały oceny Stuarta z liceum. Jakoś przebrnął przez jeden semestr i przeniósł się na antropologię.

Tą dziedziną też był żywotnie zainteresowany, studiował bowiem rasę ludzką od szesnastu lat (choć z przerwą). Jedynym problemem było ograniczenie swoich wypracowań i tego, co mówił na zajęciach, do obserwacji, jakich można było oczekiwać od inteligentnego, ale nieobytego w świecie chłopaka z Iowa, który nigdy nie był w zakładzie dla umysłowo chorych ani obozie szkoleniowym, a o Bataanie tylko czytał w gazetach.

Uzurpator zmieniał się. Nigdy nie miał się stać człowiekiem, ale był już dość ludzki, by czuć coś w rodzaju empatii w stosunku do swoich profesorów. Oni usiłowali zrozumieć ludzką kondycję i uczyć o niej, ale sami byli uwięzieni w ludzkich ciałach; tkwili w ludzkiej kulturze jak prehistoryczne owady w bursztynie.

W tym aspekcie uzurpator posiadał pewien przywilej. Czymkolwiek był, z pewnością nie był człowiekiem. Zaczął nawet podejrzewać, że w ogóle nie pochodzi z Ziemi.

Kilka miesięcy przed jego drugim wyjściem z morza na wybrzeże Kalifornii pilot o nazwisku Kenneth Arnold ujrzał formację latających dysków, krążących wśród Gór Kaskadowych w stanie Waszyngton. Ludzie znajdujący się w tym czasie na ziemi także donosili o takim widoku.

Później wielkie podniecenie wzbudziło rzekome rozbicie się

jednego z nich koło Roswell w Nowym Meksyku. Mimo zapewnień specjalistów z wojskowych sił powietrznych, że był to po prostu balon meteorologiczny, wiara w hipotezę „latających talerzy” przetrwała.

W pierwszym roku pobytu uzurpatora w Berkeley pilot Narodowej Gwardii Powietrznej uległ katastrofie w trakcie próby przechwycenia Niezidentyfikowanego Obiektu Latającego (tak bowiem ochrzczono to zjawisko). Siły Powietrzne (tak przyjęło się zwać Gwardię) utworzyły specjalny projekt – o nazwie Sign – mający na celu badanie UFO.

Uzurpator zachłannie studiował doniesienia prasowe. Okazało się, że choć projekt Sign wykluczył pozaziemskie pochodzenie UFO, stwierdzając, że chodzi o błędną interpretację zjawisk naturalnych, wcześniejsze, ściśle tajne „Rozpoznanie Sytuacji” najwyraźniej zakończyło się zgoła innymi wnioskami. Długo jeszcze nie miało jednak zostać odtajnione. Projekt Sign zamieniono na projekt Grudge, a gdy pod koniec 1949 roku ostatecznie go zamknięto, Siły Powietrzne wyraźnie zaprzeczyły możliwości pozaziemskiego pochodzenia badanych obiektów oprócz zjawisk naturalnych, przypisując ich pochodzenie masowej hysterii i „wojnie nerwów”, a poza tym stwierdzając, że wiele doniesień było cynicznymi oszustwami osób spragnionych rozgłosu lub halucynacjami chorych umysłowo.

Większość wykładowców antropologii z Berkeley popierała hipotezę masowej hysterii, ale wielu studentów było innego zdania. Uważali, że rząd chce zatuszować sprawę.

Istniało mnóstwo książek i magazynów popierających tę tezę, lecz uzurpator uważał je za nieprzekonujące, mimo iż był niemal pewien, że na Ziemi żyje przynajmniej jedna istota z innej planety. Nim w miejsce projektu Grudge pojawił się projekt Blue Book, nasz bohater zdążył skierować swoje zainteresowania w inną stronę.

Przeszukał legendy i fakty dotyczące zmiennokształtnych, ludzi podejrzewanych o nieśmiertelność i niezniszczalność. Częściej jednak były to legendy, wygodnie osadzone w zamierzchłej przeszłości i pochodzącej z trzeciej ręki.

Podczas wakacji wymykał się z Berkeley, by tropić podejrzanych i rozmawiać z nimi. Znalazł dwóch mężczyzn, którzy co roku zrzucali skórę jak węże, i kobietę twierdzącą, że zrzuca kości usuwając je przez skórę. Kobieta okazała się oszustką, mężczyźni zaś najwyraźniej

byli zwykłymi ludźmi o dziwnych właściwościach dermatologicznych. Jeden z nich w ciągu tygodni krok po kroku oddzierał sobie skórę dłoni, aż zdarł całą; pozwolił uzurpatorowi przymierzyć ją jak rękawiczkę.

Jednak ludzie. Ale uzurpator od samego początku instynktownie ukrywał swoją prawdziwą naturę i do tej pory mu się to udawało. Inni prawdopodobnie zrobiliby to samo.

Przez moment rozważał wypuszczenie ogłoszeń w wielkomięjskich gazetach – „Czy różnisz się fundamentalnie od reszty ludzkości?” – ale dość już wiedział o ludzkiej naturze, by przewidzieć, jakie otrzyma odpowiedzi.

Nie pomyślał, że może istnieć ktoś taki jak kameleon: ktoś, kto chciałby wytropić autora ogłoszenia, by go zlikwidować. Może dlatego, że nie sądził, iż mógłby umrzeć.

27.

Fort Belvoir, Wirginia, 1951

Kameleon także interesował się UFO. W odróżnieniu od uzurpatora przeniósł się na teren źródła informacji.

Spędził już tysiące lat w różnych armiach, na przykład w armii Hitlera podczas drugiej wojny światowej. Wojna w Korei zbytnio go nie pociągała, ale znał amerykańską biurokrację na tyle dobrze, by przy odrobinie cierpliwości wylądować w Pentagonie jako Patrick Lucas, urzędnik w randze podoficera – airmana klasy czwartej (co ciekawe, rangę airmana ustanowiono zaledwie miesiąc wcześniej). Gdy już się tam znalazł, powęszył tu i ówdzie, a potem zdołał się wkłęcić do projektu Blue Book.

Następnie wypromował się w niezgodny z protokołem, lecz wypróbowany sposób: gdy do projektu przydzielono nowego oficera, który był kawalerem, kameleon przejrzał jego dossier, zaprzyjaźnił się z nim pierwszego dnia, po czym zwabił go do swojego mieszkania i zabił.

W wannie przeprowadził prowizoryczną sekcję zwłok, by się upewnić, że oficer istotnie był człowiekiem – wiedział bowiem, że druga istota, jego pokroju, gdyby istniała, również mogłaby zainteresować się projektem Blue Book.

Potem napisał list samobójczy w imieniu airmana Lucasa i o drugiej w nocy podmienił mundury oraz identyfikatory. Wypompowany z krwi oficer wyglądał jak blady, zemdlny pijak. Kameleon szybko zaniósł jego ciało do samochodu i zawiózł na koniec gruntowej drogi w pobliżu miasteczka Vienna w Wirginii. Oblał zwłoki i przednie siedzenie benzyną, wrzucił do środka zapalkę i niemal natychmiast tak zmienił swój wygląd, by przeobrazić się w

tamtego oficera. Potem pobiegł przez las do cywilizacji.

W krótkim artykule w gazecie napisano tylko, że ciało spaliło się do stanu uniemożliwiającego identyfikację, ale samochód był zarejestrowany na nazwisko urzędnika z Pentagonu. Rankiem ekipa dochodzeniowa znalazła list samobójczy i sprawa została zamknięta. Współpracownicy kręcili głowami: ten facet zawsze trzymał się na uboczu.

Nowy porucznik także okazał się samotnikiem i kiedy rozpowszechniła się teoria, że jest wtyczką z CIA, ludzie z przyjemnością pozostawiali go w spokoju.

Przez kilka miesięcy zadaniem kameleona-porucznika było przesiewanie doniesień o UFO i wyławianie mniej więcej dziesięciu procent, których nie dało się tak łatwo wytłumaczyć w inny sposób. Zamówił kalendarze z poprzednich lat, począwszy od 1948, i przy pomocy efemeryd eliminował poranki i wieczory, w które Wenus świeciła szczególnie jasno. Dzięki temu zaoszczędził mnóstwo czasu.

Wiedział o projektach Sign i Grudge i wcale się nie zdziwił, gdy się okazało, że Blue Book jest bardziej zainteresowany kreowaniem swego wizerunku i dementowaniem pogłosek niż badaniami naukowymi. Niektórzy dostrzegali w tym dowody na istnienie spisku, kameleon doszedł jednak do wniosku, że to sprawka konserwatywnych umysłów. Projektem Blue Book zajmował się w gruncie rzeczy jeden oficer i kilku niższych urzędników, wokół których orbitowało kilka tuzinów innych osób, raz po raz wtykających nosy.

Wyglądało na to, że kameleon spędza tyle samo czasu na zadawaniu się z prasą i politykami co na zajmowaniu się UFO. Ilekroć brakło ciekawych doniesień prasowych na innych frontach, reporterzy zjawiali się lub dzwonili w poszukiwaniu materiałów. Kameleon, rzecz jasna, od tysięcy lat doskonalił się w kontaktach z ludźmi, ale takt nigdy nie był jego ulubioną bronią.

Obserwował kolegów-badaczy równie bacznie jak pilotów, policjantów i rolników, którzy donosili o zaobserwowanych zjawiskach. Kombinował, że jeśli na świecie istnieje coś podobnego do niego, może w końcu przybyć do Fort Belvoir. Ale jego odpowiednik znajdował się na przeciwległym wybrzeżu, zajęty tymi samymi poszukiwaniami, lecz w innej formie, jako że z latającymi talerzami dał już sobie spokój.

Po upływie kolejnego roku kameleon poszedł w jego ślady. Pewnego dnia, zamiast stawić się do pracy, pojechał do Waszyngtonu, zaopatrzył się w lumpeksach w całą szafę ubrań roboczych i, nim jego przełożeni się zorientowali, że jeden z pracowników samowolnie się oddalił, pracował już na farmie mlecznej w zachodnim Marylandzie.

28.

Apia, Samoa, 2021

Pomysł przesyłania obcej inteligencji wiadomości, która nie byłaby oparta na języku, sięgał roku 1820, kiedy to geniusz matematyczny Carl Friedrich Gauss zaproponował wyrąbanie ogromnego obszaru tajgi syberyjskiej i zasianie tam pszenicy w trzech kwadratach obrazujących twierdzenie Pitagorasa. Obserwator znajdujący się na Marsie byłby w stanie zobaczyć ją przez niewielki teleskop.

W XIX i XX wieku istniały też inne projekty, wśród nich lustra odbijające promienie słoneczne, ogromne ogniska ułożone w figury geometryczne lub miasta mrugające światłami.

Okolo roku 1960, gdy Mars przestał już być obiecujący, Frank Drake i inni zaproponowali takie rozwinięcie metody „alfabetu Morse’a”, by sygnał niósł się na odległości międzygwiazdne przy użyciu radioteleskopów jako nadajników wysyłających ciągłą wiązkę informacji cyfrowych. Rozsądne założenie było takie, że każda cywilizacja dość zaawansowana, by odebrać tę wiadomość, będzie też zdolna do zrozumienia arytmetyki binarnej. Wysyłano więc, ogólnie rzecz biorąc, serię kropek i kresek, które głosiły. „1 + 1 + 2” i tak dalej.

Chodziło o to, by ustanowić matrycę, prostokąt pudełek, które stworzą zrozumiały obraz, jeśli uczyni się niektóre z nich (odpowiadające cyfrze 1) czarnymi, a inne (odpowiadające cyfrze 0) białymi – coś w rodzaju niewypełnionej krzyżówki.

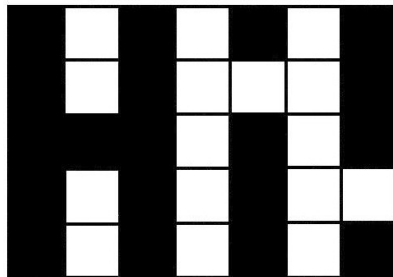
Żeby to miało sens, trzeba było znać wymiary prostokąta. Najprostszym sposobem byłoby wysyłanie informacji linijka po linijce i robienie pomiędzy nimi przerw. Potem dłuższa przerwa i powtórka wszystkiego od początku w celu weryfikacji.

Takie coś zabiera sporo czasu. Drake zaproponował, by zamiast tego wysyłać długi strumień jedynek i zer, o ile tylko istniał jakiś sposób rozpoznania, ile się ich mieści w jednej linii.

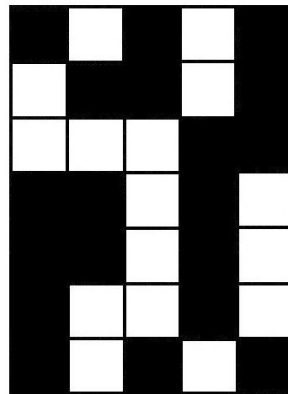
Odpowiedź stanowiły liczby pierwsze. Każda ich para przemnożona przez siebie daje liczbę, której nie można uzyskać przy żadnej innej parze. Na przykład trzydzieści pięć można otrzymać jedynie, mnożąc siedem przez pięć, więc odpowiednio inteligentny obcy, patrząc na następujący ciąg jedynek i zer:

10101011010001111010110101001010101

powinien narysować taki prostokąt:



Oczywiście trójkąt pięć na siedem jest równie prawdopodobny, lecz daje coś takiego:



Możemy tylko mieć nadzieję, że nie oznacza to w języku Obcych nic obraźliwego.

Przy dostatecznie dużej liczbie pól różnica między porządkiem a chaosem jest jasna. Przykład Drake'a zawierał 551 znaków, tworzących mapę o powierzchni dwudziestu dziewięciu na dziewiętnaście pól. Nie wypowiedała ona, rzecz jasna, żadnego angielskiego słowa, i tak naprawdę była pomyślana jako sygnał przychodzący: ukazywała prowizoryczny rysunek obcej istoty i

diagram jej układu gwiazdowego oraz inne kształty, mówiące o tym, że jest ona życiem opartym na węglu, ma trzydzieści jeden długości fali wzrostu, a na jej planecie żyje siedem miliardów takich istot, na sąsiedniej trzy tysiące kolonistów, na trzeciej zaś jedenastu badaczy.

Wiadomość, którą Jan zamierzała posłać do artefaktu, wykorzystywała ten sam schemat, tyle że mogła być znacznie bardziej złożona, biorąc pod uwagę fakt, że odbiorca znajdował się w odległości cali, nie zaś lat świetlnych. Wychodząc od tej samej arytmetyki i matematyki, wykraczała poza diagram typu „zapalczany-ludziki-plus-DNA”, przedstawiając cyfrowe odpowiedniki teorii względności, zdjęć kilku różnych osób, fugi Bacha, jeden z obrazów Hokusai przedstawiających górę Fuji oraz czarno-białą kopię *Dziewczyny z perłą* Vermeera.

Transmisja sygnału zajęła około piętnastu minut. Skupiając wiązkę na różnych punktach artefaktu, wysyłali ją z każdą częstotliwością, od mikrofalowej po rentgenowską, oraz wystukiwali mechanicznie na powierzchni obiektu. Oczywiście nie było możliwości przewidzenia reakcji. Być może obiekt już odpowiadał w jakiś niedostrzegalny sposób – mówiąc: „Zamknijcie się i dajcie mi spokój!”. Rozsądnie jednak było oczekiwać, że zareaguje w formie zbliżonej do nadawanej wiadomości: światłem, dźwiękiem lub podobną sekwencją binarną.

Mógł, rzecz jasna, być jedynie tępą maszyną, zdolną do schodzenia z drogi niebezpieczeństwu, ale nic poza tym.

Po dwóch tygodniach bezskutecznych prób Jan była zniechęcona. Poprosiła Russa i Jacka o spotkanie w Sails celem omówienia przy kolacji nowej strategii.

Obaj mężczyźni przyszli razem dokładnie w chwili, w której zaczął się wieczorny sztorm. Zachodzące słońce kładło się na horyzoncie niewyraźną czerwoną kulą, przysłoniętą przez przecinające ukośnie przystań płachty deszczu. Żadnych grzmotów czy błyskawic; po prostu nieprzerwana ulewa.

– Kolejny cudowny dzień w raju – rzekła Jan.

– E.T. nie dzwonił? – zapytał Jack, siadając.

– Zostawiłam mu wiadomość.

Pojawił się kelner z listą trunków. Jack machnął ręką i zamówił butelkę bin 43.

– No i? – zapytał Russ. – Co sądzisz?

– Nie wiem. – Nalała sobie kawy ze srebrzystego termosu. – Chyba

czas przejść do fazy środowisk planetarnych. Jeśli zareaguje na cokolwiek, zawsze mogę powtórzyć algorytm Drake'a. – Pociągnęła łyk. – Tak jak mówisz, Russ, on może spać albo trwać w trybie nieaktywności. Gdybyśmy odtworzyli warunki jego planety, mogłby przejawiać większą ochotę do rozmowy.

Skrzywiła się pod wpływem podmuchu wiatru, który porządnie skropił ich deszczem.

Jack wstał i zawołał kelnera, wskazując mu stolik z brzegu sali. Zaniósł tam termos Jan, a gdy pracownica restauracji zapalała świece, pojawił się kelner z winem i trzema kieliszkami.

– Ja tam jestem cierpliwy – powiedział Jack, dokonując rytualnej degustacji.

– To nie kwestia cierpliwości. – Jan objęła dłonią swój kieliszek. – Po prostu czuję, że poszliśmy w tym kierunku najdalej, jak się dało.

– Cóż, wiedzieliśmy, że możemy mieć albo wszystko, albo nic – rzeki Russ. – Wystarczyło, żeby raz pisnął, a bylibyśmy... – Uniósł brew i pociągnął łyk wina.

– Bylibyśmy – przyznała. – Ale nie jesteśmy. Więc idźmy dalej.

– Zaczynając od początku? – zapytał Jack. – Merkury?

– Moglibyśmy zacząć wszędzie – rzeki Russ. – Merkury jednak jest korzystniejszy finansowo. Wystarczy gorąca próżnia.

– Więc zgoda?

Russ spojrzał na Jan.

– A akustyka? Zamierzamy wystukiwać wiadomość na powierzchni obiektu. Jeśli odpowie dźwiękowo, w próżni nic nie usłyszymy.

– Moglibyśmy poprowadzić od niego napięty drut – zauważył Jack. – Zadziała jak komórka.

– Trudno będzie go przeciągnąć przez ścianę, nie tłumiąc wibracji.

Jack wzruszył ramionami.

– Więc nie przeciągajmy. – Rozłożył serwetkę i włączył długopis. Narysował kwadrat wewnątrz kwadratu i połączył wewnętrzny z zewnętrznym sprężynami. – Widzicie? Macie swój napięty drut, przyczepiony z tyłu tego – postukał w wewnętrzny kwadrat – który działa jak staroświecki głośnik. Będzie wibrował w sposób naśladowający wibracje artefaktu.

– Ale my nadal nie będziemy go słyszeć – rzekła Jan.

– Ale możemy go widzieć. Narysować na kwadracie siatkę i

przyczepić kamerę.

– Transformaty Fouriera! – domyślił się Russ.

– Pestka – dodał Jack.

– Pestek nie mamy – oznajmił kelner. – Mogę podać krem z małży albo kurczaka z grzybami.

Russ zerknął na niego i doszedł do wniosku, że nie żartuje.

– Poproszę krem i pieczoną koryfenę.

– Dla mnie to samo – dodała Jan.

– Dla mnie to co zwykle – powiedział Jack.

– Cholesterol w sosie cholesterolowym – zażartowała Jan.

– I czerwone wino?

– Bin 88 – rzekli jednocześnie Jack i Russ. – I chciałbym, żeby tym razem mój befsztyk był naprawdę krwisty – dodał Jack. – Zimny w środku.

Kelner skinął głową i oddalił się.

– Sir – rzekł Russ, naśladowując jego akcent – nie możemy panu zagwarantować, że przeżyje pan ten posiłek. Samońskie bydło ma pasożyty, na które nie istnieją nazwy w zachodnich językach.

Jack uśmiechnął się i dolał białego wina do obu kieliszków.

– Merkury, a dalej Mars? Próżnia z odrobiną dwutlenku węgla. Potem Wenus i balony z gazem.

– Dobra nazwa dla kapeli rockowej – zauważył Russ.

– Tytan? – kontynuowała Jan. – Europa?

– Ma sens – przyznał Russ. – I trochę przestrzeni kosmicznej, 2,8 stopnia powyżej zera absolutnego. Prawdopodobnie nasz gość spędził wiele czasu w takim środowisku.

– Chwila – rzekła Jan, wyciągając z torebki stary komputer. Rozłożyła klawiaturę, wyciągnęła antenę i wklepała kilka słów. – Postępujemy metodycznie. Zaczynamy od środowiska merkuriańskiego. – Nim przyniesiono obiad, dotarli do połowy Układu Słonecznego. Kończyli planowanie przy sherry i serze. Zamierzali poświęcić po pięć dni na każde środowisko i jeden do czterech na ich zmianę.

Gorący Merkury, zimny Mars, piekielna Wenus, lodowata trucizna Tytana, arktyczna Europa, potem model Jowisza: płynny wodór i hel pod wysokim ciśnieniem, przepływający z szybkością około 150 metrów na sekundę, doprawiony metanem i amoniakiem.

Jan pociągnęła łyk sherry i przejrzała plan.

– Coś mnie tu niepokoi.

Jack skinął głową.

– Komora ciśnieniowa...

– Nie. Co będzie, jeśli obiekt źle nas zrozumie? Jeśli pomyśli, że go atakujemy?

Russ zaśmiał się nerwowo.

– A myślałem, że to ja mam antropomorficzną mentalność.

– Jeśli powtórzy swoją sztuczkę z zeskokiem z piedestału, gdy będziemy przy symulacji Jowisza...

– To będzie gorsze niż bomba rozpryskowa przeciw celom żywym – dokończył Jack. – Zmiecie tu wszystko. Usłyszą to nawet w Samoa Amerykańskim.

– Na Fidżi – dodał Russ. – W Honolulu.

29.

Cambridge, Massachusetts, 1967

Przez kilka miesięcy uzurpator i kameleon byli w tym samym mieście, robiąc mniej więcej te same rzeczy.

Kameleon studiował na MIT budowę maszyn okrętowych. Spodobała mu się służba oficera marynarki w Korei i chciał dowiedzieć się więcej o projektowaniu okrętów wojennych.

Lubił wszystko, co miało związek z zabijaniem.

Uzurpator w 1960 roku otrzymał doktorat z antropologii. Łącząc dogłębną znajomość biologii ziemskiej z rozległą znajomością kultur rozsianych po całej planecie, utwierdził się w przekonaniu, że musi pochodzić z innego miejsca. Przyjechał więc na Harvard z idealnie sfalszowanymi referencjami (znów będąc chłopakiem z Kalifornii) i zaczął studiować astronomię i astrofizykę.

Jeśli kiedykolwiek jechali razem pociągiem Czerwonej Linii albo o tej samej porze pili piwo w pubie „Plough and Stars”, żaden z nich nie był świadom bliskości drugiego przybysza z gwiazd. Obaj szukali innych obcych i obaj byli zbyt doświadczeni, by dać się przyłapać.

Żadnego nie powołano do służby w Wietnamie. Uzurpator sfabrykował kilka wrzodów żołądka. Kameleon dokończył magisterkę i wstąpił do szkoły oficerskiej.

Tak więc, gdy kameleon mierzył z ośmiocalowego działa w niewidoczne cele w wietnamskiej dżungli, uzurpator mierzył z olbrzymich teleskopów w niewidoczne cele poza galaktyką. Głównie liczył fotony i wklepywał liczby do programu BASIC, który był czymś na kształt dyspozytora prawdy. Czasem, w odróżnieniu od profesjonalnych astronomów, uzurpator odłączał teleskop od licznika fotonów i spoglądał bezpośrednio przez niego w nocne niebo.

Fascynowały go gromady kuliste i w końcu udało mu się wyłapać wszystkie, które można było zobaczyć z Massachusetts, a było ich około setki. Ujrzał swoją ojczyznę, M22, jako kędzierzawą plamkę przestreloną iskrami, i powracał do niej wielokrotnie, nie wiedząc dlaczego.

W 1974 roku był już magistrem astronomii, ale czuł, że musi się dowiedzieć więcej o komputerach przed kontynuacją badań, więc na kilka lat przeniósł się na MIT i studiował elektrotechnikę oraz informatykę.

Dwaj jego profesorowie uczyli już wcześniej pewnego Obcego.

Okolica mu się spodobała, więc powrócił na Harvard, by zrobić doktorat z astrofizyki. Tam zdarzyło mu się kolejne przypadkowe spotkanie. W ramach asystentury oceniał wypracowania uczestników podstawowego kursu astrofizyki, dotyczącego atmosfer Słońca i gwiazd. Jedną z jego studentek była Jan Dagmar, którą czterdzieści lat później miał spotkać na Samoa.

Harvard hołdował tradycji wyrzucania piskląt z gniazd, więc po zrobieniu doktoratu uzurpator musiał szukać pracy gdzie indziej. Naturalną kolejną rzeczą skierował swe kroki do National Radio Observatory w Green Bank w Wirginii Zachodniej, gdzie niegdyś Frank Drake rozpoczął projekt OZMA, który po dwudziestu latach ewoluował w SETI, Poszukiwania Inteligencji Pozaziemskiej.

Uzurpator pracował tam przez dwa lata, przetwarzając dane, po czym wziął bezterminowy urlop i przeszedł przez serię głębokich zwrotów w karierze. Przez pewien czas był egzotyczną tancerką i prostytutką na godziny w Baltimore, a następnie wrócił do Iowa City, by być kucharką w barze z szybkimi daniami. Jako starsza pani wróżył z ręki, objeżdżając odpusty na Środkowym Zachodzie, a potem wrócił do Kalifornii w swoim starym ciele Jimmy'ego, by na kilka sezonów zostać maniakiem surfingu.

Poświęcając połowę swojej masy, został karłem-zonglerem w cyrku Barnum & Bailey, wyrabiając sobie kontakty w świecie „wybryków natury”. Poznał tam kilka interesujących osób, ale wszystkie zdawały się pochodzić z Ziemi, niezależnie od tego, co na ten temat mówiły.

Ożenił się z Brodatą Damą, powściągliwym, sardonicznym hermafrodytą, i żyli razem do 1996 roku. Potem uzurpator wyjechał bez wyjaśnienia, pozostawiając sto uncji złota, i znów został

studentem.

Po wchłonięciu dwóch bezpańskich kotów powrócił do szablonu Jimmy'ego, ale tym razem zrezygnował z Kalifornii i udał się do Australii. Studiował nauki morskie na Monash University, wiedząc, że większość wiedzy, którą zdobył pół wieku wcześniej, została radykalnie zrewidowana.

Nauczył się ufać pewnym uczuciom – wspomnieniom zagrzebanym tak głęboko, że nie były już wspomnieniami – a jedno z nich żywiło specyficzne zamiłowanie do głębokich wód i do Pacyfiku.

30.

Apia, Samoa, 2021

Dla ostrożności postanowili wybudować mur przeciwwybuchowy pomiędzy laboratorium a wyspą, nim zabiorą się do eksperymentu ze środowiskiem planetarnym. Gdyby symulacja Jowisza wybuchła, nadal mogła być słyszalna na Fidżi, ale przynajmniej nie zrównałaby Apii z ziemią.

Mur miał trzy metry grubości u podstawy i zwężał się do jednego metra u szczytu, a jego wysokość wynosiła dziesięć metrów. Stanowił półkole o średnicy 150 metrów, otwarte od strony morza. Wynajęto miejscowych artystów, by namalowali słoneczne malowidła od strony lądu, ale mur wciąż kłuł w oczy. Radę wioski ugłaskał autobus szkolny i dwa witraże dla kościoła metodystów.

W przypadku eksplozji cała siła wybuchu, zmierzająca w stronę lądu, zostałaby skierowana w górę lub zużyta na zniszczenie muru, wykonanego z pianobetonu, który raczej topił się, niż pękał.

Od Jowisza wciąż jednak dzieliły ich miesiące. Oryginalny plan zakładał rozpoczęcie od Merkurego, lecz personel techniczny przeforsował Marsa. Dwójka techników, Naomi i Moishe, pojechała na Florydę i wyposażyła się w zmodyfikowane skafandry kosmiczne NASA, w których przez kilka tygodni się szkolili. Po takiej zaprawie mogli swobodnie wejść w marsjańskie środowisko i badać sytuację. Merkury był na granicy: klimatyzacja skafandrów pozwalała wytrzymać w jego atmosferze jedynie przez krótki okres. Logiczne więc było rozpoczęcie eksperymentu w warunkach umożliwiających ciągły i bezpośredni ludzki nadzór.

Tak więc przez kilka pierwszych dni Naomi i Moishe przechadzali się po swoim dziesięcioakrowym „Marsie”, sprawdzając, czy nie ma

przecieków ze świata zewnętrznego, i przeprowadzając testy na wszystkich czujnikach i urządzeniach komunikacyjnych w stosunkowo litościwym środowisku.

Stosunkowo: ciśnienie atmosferyczne zostało obniżone do około jednej setnej tego, jakie występuje na poziomie morza, a atmosfera nie zawierała tlenu, tylko dwutlenek węgla ze śladami azotu i argonu. Temperatura była obniżana do minus stu stopni Celsjusza, a następnie podnoszona do błogich dwudziestu sześciu, symulując lato na marsjańskim równiku. Światło było mdłe i różowawe, ciężkie od ultrafioletu.

Środowisko nie sprawiało poważnych kłopotów, więc Jan zasadniczo powtórzyła trzyminutowy przekaz Drake'a, wystukując go i wymrugując na różnych długościach fali według wzoru, który miał zostać powtórzony w każdym środowisku: fale radiowe do mikrofal, światło widzialne do ultrafioletu. Nie posunęli się do promieni gamma czy rentgenowskich, przeczuwając, że mogłoby to zostać uznane za agresję.

Oryginalny, prowizoryczny plan zakładał rozpoczęcie od fal radiowych długości jednego metra, potem jednej dziesiątej metra, następnie przejście do mikrofal o długości jednego centymetra i tak dalej. Siódma i ósma iteracja miały być w ultrafiolecie. Jack zauważył jednak, że liczba dziesięć nie ma w sobie nic szczególnego dla nikogo prócz istot, które posiadają dziesięć czułek lub palców, więc aby uniknąć zaściankowości, użyli jako podzielnika liczby 9,8696, kwadratu pi.

Artefakt tolerował Marsa, ale nie wypowiedział się na jego temat, więc wypompowali z atmosfery rzadką owsiankę i zastąpili ją gorącą próżnią Merkurego. Gdy jaskrawe sztuczne słońce pełzło po niebie, wiadomość od Jan wstukiwano, wpiskiwno i wmrugiwno w piekło o temperaturze 600 stopni Kelvina, dość gorące, by stopić ołów.

Ale Merkury był piknikiem w porównaniu z Wenus. Pozostając po bezpiecznej stronie muru, wpompowali gorący dwutlenek węgla pod ciśnieniem dziewięćdziesięciu atmosfer, w temperaturze 737 kelwinów. Podobnie jak w przypadku Merkurego, temperatura artefaktu wzrastała identycznie z temperaturą otoczenia, a na wiadomość Jan odpowiadała niezmienna cisza. Stopniowo przywrócili temperaturę i ciśnienie do normy środowiska samońskiego, dla mieszkańców Ameryki Północnej gorącego, lecz dla Wenusjan

zabójczo lodowatego.

Części okablowania i niektóre z pozostałych elementów nie wytrzymały próby, a i element ludzki nie przeszedł przez to spacerkiem. Zrobili więc sobie kilka dni wolnego, czekając na przysłanie z różnych krajów i zmontowanie części zamiennych, a potem udali się na bardziej staroświecką wyspę Savai'i.

Po obejrzeniu sławnych dymiących szczelin nie ma tam wiele do roboty, chyba że jest się szukającym śmierci surferem, więc głównie spacerowali, rozkoszując się spokojem. Niektórzy grali w krykieta lub przyglądali się grom. Jan wynajęła starszą kobietę, by ta nauczyła ją malować tradycyjną tkaninę siapo, i spędziła kilka popołudni, robiąc pamiątkowe ściereczki dla wnuków przy hipnotycznej muzyce rozbijających się fal, popijając miejscowy sok owocowy i nie myśląc zbyt wiele. A raczej – starając się nie myśleć.

Mieszkali w luksusowym hotelu Safua, w rzeczywistości będącym garstką domków zgromadzonych wokół środkowego fale, gdzie cowieczorny szwedzki stół i automatyczny bar służyły jako centrum życia towarzyskiego.

Na wyspie nie było ani jednego miejsca rozrywki – zabraniało tego prawo – więc sami musieli sobie zorganizować wieczory. Russ i Naomi grali w szachy, a większość pozostałych słuchała wynajętego zespołu miejscowych dzieciaków, przeplatających nowoczesną muzykę z tradycyjnymi melodiami samońskimi. Usiłowały nauczyć wszystkich samońskiego tańca, lecz uczniowie nie byli zbyt pojętni – z wyjątkiem, co zaskakujące, Jacka, który wymamrotał coś o pobycie na Hawajach podczas służby wojskowej.

Po trzech dniach dostali cynk, że zastępcze materiały już dojechały i następnego ranka wszystko będzie zainstalowane. Polecili więc lekkim samolotem z powrotem do Apii – prom, którym przyплыnęli w tę stronę, trochę za mocno ich wytrząsł – od czasu do czasu obserwując przez lornetkę rekiny i płaszczki w przezroczystej wodzie.

Muese, jeden z miejscowych techników, którzy pozostali na głównej wyspie, wykopał głęboki dół na ognisko na plaży pomiędzy murem przeciwwybuchowym a laboratorium i piekł zakopaną w ziemi świnię, owiniętą szczelnie w liście taro. Po południu wykopał płytszy dół, owinał w folię słodkie i zwykłe ziemniaki i umieścił nad węglem kratkę do grillowania kurczaków i ryb.

Jack zamówił pojemniki z lodem i drinkami oraz beczkę piwa i

zaprosił wszystkich czterdzieścioro ośmioro pracowników projektu na tropikalną ucztę, luau. Nie było żadnego szczególnego powodu do świętowania, ale też brakowało powodu, by nie świętować. Następnego dnia mieli się na serio zabrać do dalszej pracy.

Krótko przed zachodem słońca Muese wykopał świnię i spędził pół godziny na jej krojeniu, podczas gdy pozostali zajęli się kurczakami, tuńczykami i koryfenami. Zapaliły się automatyczne reflektory iluminacyjne, mniej romantyczne niż kopzące kaganki, ale dające światło pozwalające swobodnie gotować i jeść.

Po uczcie wszyscy zebrali się przy ognisku z gitarami, harmonijką, skrzypcami i fujarką, by grać brzmiące zupełnie nieziemsko irlandzkie i walijskie melodie, popularne w Stanach. Russ i Jan usiedli na uboczu z butelką zimnego białego burgunda, owiniętą mokrym ręcznikiem.

– I co dalej? – zapytał Russ. – Jeśli dojdziemy do Jowisza i nadal nic nie osiągniemy?

Wzruszyła ramionami.

– Cóż, pewnie kolejne procedury inwazyjne. Jack na pewno ma jakieś pomysły. Nie przykłada się zbytnio.

Russ skończył pierwszy kieliszek, ale nie nalał sobie następnego.

– Ma coś więcej niż pomysły. Ma propozycję. Z Chin.

– Nic nie powiedział.

– Właśnie. Wiem jedynie dzięki temu, że byłem z nim w biurze, gdy urządzenie rozkodowywało tę wiadomość. Nie mógł mi powiedzieć, żebym nie patrzył.

– Niech zgadnę. Chcą zagrzebać artefakt w chop suey.

– Nic z tych rzeczy. Zresztą chop suey to amerykańska potrawa.

– Wiem. No więc co?

– Chcą częściowo zasponsorować wyniesienie obiektu na orbitę. Pokryć część kosztów zespołu czterech rakiet Długi Marsz.

– A jak już będzie na orbicie?

– Zdaje się, że ma zabrać ze sobą ten wielki laser, żeby mógł zadziałać na niego ze stuprocentową mocą. W bezpiecznej odległości od Ziemi.

Pokręciła głową.

– Przypomnij mi, żebym się wyniosła gdzie indziej, gdy będziemy go mieli nad głową.

– Myślę, że można mu to wyperswadować. To by oznaczało przyjęcie rządowych pieniędzy. – Russ dopełnił oba kieliszki. –

Musimy jednak wymyślić coś innego.

Jan wpatrywała się w kopułę ochronną.

– Moglibyśmy po prostu wysłać go w przyszłość.

– Najpierw budując wehikuł czasu.

– Stopniowo. Po prostu otoczyć go płotem i czekać, aż nauka osiągnie odpowiedni poziom. – Pociągnęła łyk, nie odrywając wzroku od kopuły. – Zawiesić projekt na dziesięć, pięćdziesiąt, sto lat.

– Jack zdążyłby umrzeć.

Skinęła głową.

– Podobnie jak my wszyscy.

31.

Waszyngton, D.C., 1974

Kameleon postanowił pozostać w jednym miejscu i zrobić fortunę. W przeszłości bywał zamożny dzięki łupom wojennym, ale nigdy nie był bogatym kapitalistą, a brzmiało to zachęcająco.

Zachował jądro tożsamości mężczyzny, który codziennie szedł do biura, mechanicznie wykonywał prace administracyjne, po czym wracał do swego kawalerskiego mieszkania, gdzie prawdopodobnie oglądał telewizję i czytał. Wydawał się niezainteresowany kobietami i większość współpracowników sądziła, że jest gejem.

Nocami kameleon rzeczywiście przeobrażał się w młodego, radosnego geja. Zrzucał dziesięć czy piętnaście lat i funtów – potrafił to zrobić bezboleśnie w ciągu sekundy – i zamieniał biurowy mundurek na coś przykuwającego wzrok, lecz gustownego. Potem albo szedł na randkę, albo rozglądał się za nowym źródłem zarobku.

Trzech zamożnych mężczyzn regularnie dawało mu „prezenty” w zamian za dyskrecję i świadczone usługi, ale jeszcze więcej zarabiał dzięki podrywaniu facetów i okradaniu ich, gdy było po wszystkim. Jeśli się bronili, czasem musiał ich zabić, ale zazwyczaj wystarczyła groźba ujawnienia ich skłonności. Wolał pozostawić ich przy życiu, by po upływie miesięcy lub lat odnaleźć ich i, z nową twarzą i ciałem, powtórzyć swój wyczyn. W latach siedemdziesiątych istniał w Waszyngtonie gejowski świątek, a kameleon krążył w nim jak niewidzialny drapieżca.

Nie, żeby wolał męski seks od damsko-męskiego; w zasadzie nie sprawiało mu to różnicy. Jako kobieta zarabiał jednak mniej, a jako męska prostytutka jadał w lepszych restauracjach za pieniądze innych facetów.

Lata siedemdziesiąte i osiemdziesiąte przynosiły zyski na giełdzie, przynajmniej konserwatywnym inwestorom, a kameleon natychmiast przekazywał swojemu maklerowi wszystkie pieniądze pochodzące z seksu i wymuszeń. Po pierwszym milionie sam został maklerem, obsługującym swoje liczne tożsamości pod przykrywką jeszcze jednego fałszywego nazwiska.

Nie miał planu – w sensie ambicjonalnym. Patrzył, jak różne fortuny rosną i maleją, a potem znów rosną, niczym ogrodnik doglądający ogrodu, nawożący go w jednym roku, a przycinający w drugim.

Stopniowo stał się najbogatszym stworzeniem na świecie, choć jego bogactwo było rozsiane pomiędzy setką tożsamości i tysiącem kont. W ramach eksperymentu wywołał dwie małe wojny i wzbogacił się na obu jeszcze bardziej, choć okazały się mniej zyskowe niż narkotyki i firmy internetowe.

Opuścił branżę internetową na rok przed jej załamaniem, ale zamiast wykorzystać tę sytuację, pozostawił fundusze, żeby się kisiły przez rok, dekadę czy dwie. Czekał, aż nadarzy się kolejna okazja.

Może dzięki pieniądzom zdoła osiągnąć to, czego nie osiągnął dzięki badaniom naukowym: znaleźć kogoś takiego jak on. Zabijanie ludzi nie było dla niego wyzwaniem.

32.

Melbourne, Australia, 1997

W 1997 roku uzurpator zamieszkał w kampusie Gippsland, należącym do Monash University, i przez cztery lata studiował biologię morską i biotechnologię. Podobało mu się Melbourne, ale często spędzał wolny czas w wodzie, stając się nie tylko studentem, ale i przedmiotem studiów z zakresu biologii morskiej i z przyjemnością konsumując świeższe ryby, niż był w stanie mu zaoferować jakikolwiek kuchmistrz.

Na uczelni radził sobie doskonale, bo nie było tam ani trochę trudniej niż na Harvardzie czy MIT. Przyjął stypendium James Cook University w Queensland, gdzie przez kolejne cztery lata kontynuował zgłębianie biologii morskiej, uzyskując doktorat z – jakżeby inaczej – zachowania zwierząt morskich.

Ze świeżutkim dyplomem pojechał do AIMS – Australijskiego Instytutu Nauk Morskich – gdzie rozpoczął badania nad „drżącymi dziurami”, jak rybacy nazywali błotniste otwory, które zanieczyszczały włoki w pobliżu raf. Wiele kilometrów od brzegu te dziury okazywały się słodką wodą wypływającą z podziemnych strumieni, produktem naturalnego procesu, który na rafach miał nienaturalne skutki, gdyż woda niosła ze sobą składniki pokarmowe z farm, które karmiły algi, przyciągając ryby. Rybacy utrzymywali położenie drżących dziur w sekrecie, bo obfite połowy były warte okazjonalnego zanieczyszczenia sieci.

Badanie tego zjawiska dało uzurpatorowi pierwszą sposobność zobaczenia siebie jako żarłacza białego. AIMS stosowało podwodne kamery wideo do monitorowania populacji ryb i pewnego weekendu uzurpator popłynął na miejsce filmowania. Złapał potężnymi zębami

wielkie pudło z przynętą na drobniejsze ryby i zmiażdżył je, miotając się w naturalnej reakcji na dziwny metaliczny smak. Wyszedł z tego świetny materiał, który przesiano do oceanografów na całym świecie szybciej, niż uzurpator powrócił do ludzkiej postaci i do laboratorium.

– Brzydki klient – powiedział na widok taśmy, wywołując przewidywalną odpowiedź: – Nie, jest piękny, nie rozumiesz? Po prostu zachowuje się, jak przystało na rekina.

W rzeczywistości w owym czasie robił coś zupełnie nieprzystającego do rekina: analizował odmienność smaku wody wokół drżących dziur. Była to lekko zakwaszona słodka woda, na dłuższą metę szkodliwa dla koralu, choć na krótką stanowiąca luksusowy bufet dla drobnych stworzeń żywiących się algami i planktonem oraz dla tych większych, żywiących się nimi, i tak dalej aż do rybaków, którzy przeklinali drżące dziury za zanieczyszczanie sieci, ale wracali.

W ogólnym rozrachunku dziury należały jednak do grona ząbających się czynników, które niszczyły przybrzeżne części Wielkiej Rify Koralowej, szkodząc turystyce i rybołówstwu. Uzurpator zaczął się w nich specjalizować, a jako weekendowy rekin miał tę przewagę nad współpracownikami, że wyczuwał drżące dziury we wczesnym stadium powstawania, nim jeszcze przyciągnęły dość ryb, by zauważyli to ludzie. Dokonywał więc analizy „produkcyjnej” w drugą stronę: znajdował związki między zwyczajami rybaków w pobliżu brzegu a powstawaniem drżących dziur i naukowo przewidywał, gdzie znaleźć nowe.

W końcu doprowadziło to do programu selektywnego zalesienia: nadmierne wybijanie słodkiej wody do morza było pośrednio wywołane brakiem drzew, które w normalnych okolicznościach przechowywały duże ilości wody deszczowej, by ta następnie wyparowała z powrotem w niebo, nie szkodząc nikomu.

Do tego czasu uzurpator – James „Jimmy” Coleridge – był już szeroko znany. Kalifornijczyk, który z entuzjazmem poświęcił się dobru Australii, w wieku dwudziestu siedmiu lat uchodził za cudowne dziecko w swojej wąskiej specjalizacji. James Cook University zaferował „specowi od drżących dziur” habilitację z gwarancją stałego zatrudnienia, co uzurpator przyjął z radością, traktując to jako dobry punkt wyjściowy do obserwacji ogólnego stanu badań morskich na Pacyfiku.

Gdzieś tam musiała leżeć odpowiedź.

Młody doktor Coleridge cieszył się sympatią studentów, zarówno tych z oceanografii ogólnej, jak i tych z podyplomówki, gdzie prowadził zajęcia na temat problemów ekologii morskiej. Rozkochał w sobie i poślubił jedną ze swych studentek, Marcie, piękną blondynkę z Tasmanii.

Rzuciła studia, by poświęcić się karierze „instytutowej żony”, do której nieszczególnie się nadawała. Przyciągała niewłaściwą uwagę wielu „instytutowych mężów” i najwyraźniej sprawiało jej to przyjemność. Flirtowała tym więcej, im dłużej jej małżeństwo nie wydawało na świat dzieci: dość skromna ambicja, ale trudna do zrealizowania w sytuacji, gdy jej mąż był bezpłciowy i zasadniczo w ogóle nie był człowiekiem.

Chimeryczna i zmienna, stała się diabłem tasmańskim Jimmy’ego i było oczywiste, że w końcu inny mężczyzna spróbuje ją poskromić.

Gdy wiosną 2008 roku zaszła w ciążę, wiele osób podejrzewało to, co jej mąż wiedział ze stuprocentową pewnością.

Nie fascynowała go perspektywa komplikowania sobie życia dziećmi, więc był szczęśliwszy, niż byłaby w jego położeniu większość mężów, gdy się okazało, że ojciec nowo narodzonego musiał należeć do innej rasy. (Jak innej – to wiedział tylko Jimmy). Niektórzy podziwiali go za spokój, z jakim to przyjął, i za to, że wspaniałomyślnie zgodził się na rozwód bez orzekania o winie stron i pobłogosławił małżeństwo Marcii z jedynym czarnoskórym w ich kręgu przyjaciół. Inni uważali to za wstydlive wyrzeczenie się praw należnych mężczyźnie. Nawet w Queenslandzie nikt nie mówił „białemu mężczyźnie”, ale wiele osób tak właśnie myślało.

Skandal mógł opóźnić jego promocję na JCU, więc gdy otrzymał ofertę stałej pracy naukowej na University of Hawaii, pochłonął ją niczym głodny rekin, którym bywał w weekendy.

Postanowił jeszcze przez jakiś czas zabawić w ciele Jimmy’ego Coleridge’a. Ponieważ studiował i długo mieszkał w Australii, dorobił się lekko egzotycznego akcentu, a także manier, XXI-wiecznej ogłady nabierał bowiem na tropikalnej północy. Był lubiany przez męską część grona profesorskiego i studentów jako „swojski gość”, który nigdy nie bywa bardziej niż umiarkowanie wstawiony, ale potrafi upić każdego do nieprzytomności. Rzecz jasna, dla uzurpatora gin był równie nieszkodliwy jak paliwo raketowe czy kwas solny.

Coleridge prowadził sporo zajęć: dwa kursy na studiach magisterskich, seminarium, a także wykład ze wstępu do oceanografii na sali, która mieściła 150 osób, ale chętnych i tak zawsze było więcej. Prace naukowe pisał z godną podziwu regularnością; niektórzy zastanawiali się, czy pomiędzy pracą a życiem towarzyskim znajduje w ogóle czas na sen.

Oczywiście udawał, że śpi; niekiedy w ramionach jakiejś studentki z wyższych lat lub młodej wykładowczyni, co jednak nie szkodziło jego reputacji. Większość swoich prac napisał właśnie w ten sposób: z zamkniętymi oczyma i pracującym na wysokich obrotach umysłem.

W dziesiątym roku jego pracy, 2019, wszystko się zmieniło. Podobnie jak każda inna osoba na świecie, usłyszał w wiadomościach o dziwnym artefakcie, który Poseidon Projects wyłowilo z rowu Tonga. W odróżnieniu jednak od większości ludzi odczuł wstrząs wspomnienia.

Natychmiast skontaktował się z projektem i uderzył głową w szczelny mur: nikogo nie wynajmowali. Wszystkie stanowiska były obsadzone ludźmi, którzy pracowali przy tym zadaniu od początku. Dzięki, ale nie jesteśmy zainteresowani. Możesz sobie czytać publikowane przez nas dane i prowadzić własne badania.

Nie był taki głupi, by wierzyć, że publikują wszystko. Chodziło im o zysk, nie o wiedzę.

Po raz pierwszy w życiu rozważał ujawnienie swej prawdziwej natury. Chcecie mieć konsultanta, który NAPRAWDĘ może wam pomóc w kontaktach z Obcymi?

Ale czas jeszcze nie nadszedł.

33.

Apia, Samoa, 30 maja 2021

Europa, pod swoją lodową pokrywą, nie była zbyt skomplikowana. Zastanawiali się, czy w ogóle jej sobie nie odpuścić, bo środowisko – zimny roztwór soli pod ciśnieniem – nie różniło się aż tak bardzo od rowu Tonga, gdzie obiekt leżał mniej więcej od zarania dziejów. Był to jednak także dobry argument za wypróbowaniem go. Artefakt mógł zareagować na coś znajomego.

Nie okazał jednak wdzięczności za umożliwienie mu powspominania starych, dobrych czasów i leżał sobie niewzruszenie jak zwykle, odzwierciedlając temperaturę otoczenia, ale poza tym nie odpowiadając na ich wysiłki. Był to dobry test wytrzymałości kopuły ochronnej, nim zetknie się z atmosferą Jowisza, ale oprócz tego jedynie podniósł ciśnienie krwi obserwatorów wraz ze wzrostem ciśnienia wody wewnątrz.

Gdy Jan skończyła swój znajomy algorytm, rozhermetyzowali i osuszyli kopułę, po czym zaczęli się przygotowywać do zasymulowania Io, jednego z czterech dużych księżyców – satelitów galileuszowych; tego położonego najbliżej planety.

Atmosfera Io jest egzotyczna i zmienna, ale tak rzadka, że można ją niemal uznać za próżnię. Może wzrosnąć do około stu nanobarów i spaść do jednego (powietrze na szczycie Mount Everest ma atmosferę 330 milionów nanobarów). Fakt, że stanowi trującą mieszkankę dwutlenku siarki i sodu, nie ma znaczenia dla przetrwania człowieka: człowiek zamarłby na sztywno w środku wybuchowej dekompresji, nie mając czasu zauważyć, że coś śmierdzi.

Było jednak możliwe, że warunki właściwe powierzchni Io nie są we wszechświecie czymś niezwykłym, więc wykonali model –

lodowatą niemal-próżnię z odrobinką zamrożonego dwutlenku siarki, rozsypanego po podłodze. Temperatura oscylowała pomiędzy 100 a 130 kelwinów, co wystarczało, by część tego związku uległa sublimacji, a potem opadła jak śnieg.

Artefakt wiernie odzwierciedlał zmiany temperatury, ale poza tym ignorował badania.

By zasymulować warunki panujące na Plutonie, nie musieli wiele zmieniać: jedynie usunąć dwutlenek siarki, obniżyć temperaturę do minus 233 i wprowadzić warstewkę śniegu: azot w stanie stałym, metan i tlenek węgla, z odrobiną etanowej przyprawy dla azotu. Dla każdej istoty ziemskiej takie środowisko byłoby nie do odróżnienia od tego z Io, ale dla kogoś, kto przywykł do życia w piekle na śnieżnej kuli, mogło to być coś zupełnie innego.

Wtedy po raz ostatni wykorzystali skafandry kosmiczne – umowa przewidywała przetestowanie ich w różnych środowiskach – a następnie odesłali je do NASA. Na Jowiszu nie były już przydatne.

* * *

Dla pozostałych planet symulowali warunki powierzchniowe. W przypadku Jowisza nie było to możliwe. Teoretyczne modele dopuszczały istnienie stałego jądra, ale nie było jak tam dotrzeć. Im bliżej środka, tym bardziej gęstniejąca atmosfera planety zaczynała przypominać gwiazdę: temperatura dochodziła do jakichś trzydziestu tysięcy stopni, a ciśnienie do stu milionów atmosfer. Był to „płynny metaliczny wodór” i jeśli cokolwiek mogło żyć w takich warunkach, raczej nie byłoby zainteresowane Ziemią.

Jan postanowiła wypróbować dwa jowiszowe warianty: jeden właściwy takiemu zanurzeniu w atmosferze, w którym ciśnienie powietrza równało się ziemskiemu na poziomie morza, tyle że temperatura wynosiła minus 100 stopni Celsjusza, i drugi, z głębszego poziomu, gdzie ciśnienie wynosiło pięć atmosfer, ale za to temperatura swojskie zero stopni. W obu przypadkach atmosfera składała się w 90 procentach z wodoru, a resztę stanowił hel z odrobiną dodatków – metanu, amoniaku, etanu, acetylenu.

Pod względem temperatury i ciśnienia Jowisz był znacznie prostszy w obsłudze niż Wenus. Ale dwutlenek węgla nie jest łatwopalny. Spoglądając na olbrzymie zbiorniki z wodorem, czekające

na fazę wysokiego ciśnienia, Jan starała się nie myśleć o nich jako o kuli ognia, która tylko czeka na to, by się ujawnić.

Ilość zgromadzonego tu wodoru przewyższała o ponad tysiąc razy tę, która eksplodowała w katastrofie Hindenburga.

Do tej pory większość osób, w tym Jan, właściwie straciła nadzieję, że artefakt zareaguje na cokolwiek. Gdy więc to zrobił, sądzili, że to błąd eksperymentalny.

* * *

To, co znajdowało się wewnątrz artefaktu, nie myślało, a w każdym razie nie w ludzki sposób. Nie stawiało sobie problemów i nie rozwiązywało ich. Nie zastanawiało się nad swoim miejscem we wszechświecie. Nie odczuwało prawdziwej potrzeby komunikacji.

Jego zadaniem było przetrwanie i artefakt posiadał potężne środki do realizacji tego celu. Jeśli życie istniejące na powierzchni tej planety zdawało się mu zagrażać, potrafił uprościć sytuację. Posiadał cierpliwość, która na szczęście wykraczała poza ludzkie rozumienie tego słowa. To całe stukanie, podgrzewanie i błyskanie... gdyby chciał, mógłby położyć mu kres jednym niewielkim wysiłkiem woli i usmażyć Ziemię.

Ale jego centralna część wciąż przebywała gdzieś na zewnątrz. Mógł poczekać na jej powrót. W końcu doszedł do wniosku, że jeśli odpowie pukaniem, może uda mu się go przyspieszyć.

* * *

Kiedy uzurpator wysiadł z samolotu na lotnisku w Apii, była trzecia nad ranem, a mimo to miasto świętowało. Kilkudziesięcioro młodych ludzi tańczyło, klaskało i śpiewało jednym głosem, a wszędzie powiewały flagi i proporczyki.

Podczas wsiadania do samolotu na Hawajach rzuciło mu się w oczy, że niektórzy pasażerowie rasy kaukaskiej są bardzo, ale to bardzo starzy. Gdy młodzież przestała śpiewać, a on czekał na swój bagaż, dowiedział się, o co chodzi. Przypadała właśnie sześćdziesiąta rocznica niepodległości Samoa, a ci starszycy byli ostatnimi żyjącymi amerykańskimi żołnierzami, którzy stacjonowali tu podczas drugiej wojny światowej.

Gdy burmistrz Apii witała weteranów i opowiadała historie, o których słyszała od ojca i dziadka, nie mógł się powstrzymać od myślenia o Bataanie. Z szacunkiem wysłuchał opowieści, zachowując beznamiętną twarz.

A była to piękna twarz. Uzurpator bowiem przybrał postać młodej, atrakcyjnej kobiety.

W ogłoszeniu internetowym, na które odpowiedział, była mowa o poszukiwaniu technika laboratoryjnego, potrafiącego obsługiwać takie a takie maszyny i mającego pojęcie o biologii morskiej i astronomii. Nie wymagano doktoratów z tych dziedzin, ale przecież on i tak nie mógł się z nimi obnosić. Sfałszowane referencje były wystarczająco imponujące: twierdził jedynie, że jest „oczytany” w problematyce biologii morskiej, i przedstawił dyplom licencjacki z astronomii. (Dyplom w istocie należał do kobiety, której postać przybrał uzurpator; ona sama nie pracowała już w zawodzie, gdyż poświęciła się wychowywaniu trojaczków w Pasadenie).

Tym razem konsolidacja fałszywej osobowości była bardziej skomplikowana niż dotąd. Samo udawanie kobiety z Pasadeny nie sprawiało mu aż takiej trudności: miał nawet jej linie papilarne, tatuaże i zapach. Potrzebował jednak trochę komputerowych kombinacji, by wymazać dane dotyczące jej męża i trojaczków oraz sfabrykować imponujące doświadczenie zawodowe. Jeszcze trudniejsze było postaranie się, by wszystkie wiadomości komputerowe, telefoniczne i faksowe przechodziły przez niego, nim dotarły do prawdziwej Rae Archer.

Prawdziwa Rae była piękna i bardzo się starała, by wyglądać na mniej niż swoje trzydzieści lat. Uzurpator zmodyfikował szczegóły tak, by twarz była taka sama, lecz jedynie ładna, i wyglądała na trzydziestkę.

Zrobił to wszystko w niecały dzień, gdy tylko ogłoszenie ukazało się na stronie „Sky and Telescope”. (Automatycznie monitorował wszystko, co zawierało kluczowe słowa „Apia” lub „Poseidon Projects”). Jako Rae rozmawiał z Naomi, a następnie z Jan, te zaś zgodziły się na spotkanie z panią Archer, jeśli ta była gotowa z własnej kieszeni opłacić podróż na Samoa i z powrotem. Uzurpator pochlebiał sobie, że całkiem niezłe udawał podekscytowaną młodą kobietę, starającą się opanować entuzjazm.

Prawdziwym ryzykiem było jednak sprawdzenie referencji.

Załączył pliki potwierdzające kompetencje Rae Archer na wszystkich stanowiskach, na jakich pracowała. Gdyby jednak Naomi lub Jan postanowiły zadzwonić do Stanów i poprosić odpowiednie osoby o opinie na temat pracownicy, cała misternie utkana sieć kłamstw najpewniej uległaby zniszczeniu.

O trzeciej nad ranem Apia była duszna i pełna owadów. Niemal wszystkie taksówki miasta oczekiwały przed lotniskiem – samolot z Honolulu przylatywał zaledwie dwa razy w tygodniu – ale uzurpator tylko zapytał o drogę i przezornie wsiadł w autobus jadący do miasta. Tak czy owak, czekało go dwadzieścia mil powolnej jazdy. Za dodatkowe trzy dolary autobus zboczył z trasy o przecznicę i podrzucił go pod same drzwi pensjonatu położonego o kilometr od laboratorium Poseidona.

Właściciel – ospały, lecz przyjazny – był na miejscu i zaprowadził uzurpatora do pokoju. Ten przez kilka godzin udawał, że śpi (w rzeczywistości przekierowując w tym czasie cztery e-maile do prawdziwej Rae Archer i monitorując niewłaściwy numer), po czym poszedł popatrzeć na wschód słońca nad górami.

34.

Apia, Samoa, czerwiec 2021

Uzurpator podejrzewał, że z powodu rocznicy może wystąpić pewne opóźnienie, ale nie spodziewał się całkowitego odesłania z kwitkiem.

– Proszę przyjść pojutrze – rzekł strażnik z telefonem. – Może nawet minąć tydzień, zanim ktokolwiek panią przyjmie. – Rae zapytała dlaczego, a on potrząsnął głową, nie odejmując telefonu od ucha. – Zrekompensujemy pani dodatkowe koszty. – Znów nasłuchiwał. – Zbyt wiele się teraz dzieje. Proszę sobie pozwiedzać miasto.

Uzurpator, rzecz jasna, bez trudu słyszał wszystko, co mówi osoba w słuchawce. Ekscytacja w głosie tej kobiety – poznał Naomi, z którą wcześniej rozmawiał – była oczywista. Najwyraźniej spóźnił się o dzień. Musiał nastąpić jakiś przełom w sprawie.

Poszedł pieszo do miasta, pokonując prawie milę i zatrzymując się po drodze w sklepie z pamiątkami, by kupić trochę luźnych ubrań i zrzucić oficjalny mundurek. Sprzedawca pokazał mu, jak zawiązać tradycyjne lavalava. Do tego Rae wybrała niebieską koszulę, którą w innym kontekście określiłaby jako hawajską. Jaskrawe kolczyki i naszyjnik z pereł dopełniły kamuflażu.

Samoa w rzeczywistości uzyskało niepodległość pierwszego stycznia, ale ponieważ ten dzień i bez tego był świętem, z rozsądku przeniesiono uroczystości na czerwiec. Uzurpator wkroczył do miasta w zrezygnowanym, niemal ponurym nastroju. Świętuj, powtarzał sobie, świętuj.

Zobaczył wszelkiego typu tańce i śpiewy, które dla prawdziwego człowieka mogłyby być ciekawsze. Jedzenie też go nie cieszyło.

Wyścigi kajaków i łodzi z pływakami, parady koni wykonujących wyuczone ewolucje – wszystko na nic.

Wykorzystał swoją udawaną amerykańskość oraz kobiece wdzięki, by zaskarbić sobie sympatię dwóch weteranów, wyglądających na nieco ponad setkę. Jeden był zadziwiająco błyskotliwy i elokwentny, szczególnie kiedy mówił o wojnie. Był pacyfistą. Po drugiej wojnie światowej walczył w Korei i nie czuł sympatii ani dla niej, ani dla Wietnamu, ani dla tuzina mniejszych wojenek i pseudowojenek, które nastąpiły potem.

(Fakt, że podczas drugiej wojny wysłano go na Samoa, uważał za łut szczęścia, japońskie dowództwo w ostatniej chwili zrezygnowało z inwazji na wyspy samońskie, więc jedynym kontaktem z wrogiem, jaki mieli stacjonujący tu żołnierze, był odległy ogień karabinu maszynowego z przepływającej łodzi, który nikogo nie dosięgnął).

Staruszek nie miał pojęcia o projekcie Poseidona, choć świetnie pamiętał katastrofę łodzi podwodnej, która dostarczyła pretekstu do całego przedsięwzięcia. To nigdy by się nie wydarzyło, gdyby te przeklęte spalone koty trzymały swoje łapska z dala od Indonezji – przytaczał z pasją popularną opinię, bynajmniej nieprzeszkadzającą Stanom Zjednoczonym zaangażować się w bieżący konflikt indonezyjski. Uczyniły to, rzecz jasna, z ramienia międzynarodowych sił pokojowych, które składały się w 88 procentach z Amerykanów i nietrudno było dostrzec, że bynajmniej nie utrzymują pokoju.

Przy okazji rozmowy ze staruszką „ładna amerykańska dziewczyna” została sfilmowana i pokazana w wiadomościach holowizyjnych. Jak się wkrótce okazało, nie zaszkodziło to jej perspektywom zawodowym, bo wiadomości nadano akurat w momencie, gdy wyczerpana ekipa badawcza zrobiła sobie przerwę na obiad i Jan rozpoznała jej nazwisko. Russ prawdopodobnie natychmiast postanowił ją zatrudnić, żeby poprawiła im nastroje.

Uzurpator przez cały dzień zwiedzał Apię, dobrze wiedząc, że to, co widzi, nie jest typowe. Żadna rasa, która na co dzień bawiłaby się tak szaleńczo, nie mogła przetrwać.

Następnego ranka znów odesłano go z kwitkiem; wszyscy byli zbyt zajęci, by z nim rozmawiać. Wrócił do pensjonatu i spędził resztę dnia na surfowaniu po sieci, układając mozaikę z informacji, które Poseidon raczył ujawnić, i dodając do niej trochę plotek i spekulacji.

Niektóre z tych ostatnich były niesamowicie dziwaczne:

utrzymywały, że za projektem stoi CIA, a nawet że wszyscy, którzy przy nim pracują, w rzeczywistości są Obcymi i sfigowali całą sprawę, żeby w odpowiedniej chwili ujawnić się rasie ludzkiej.

Uzurpator, który był prawdopodobnie najbardziej inteligentnym czytelnikiem tej teorii, pomyślał, że wcale by się nie zdziwił, gdyby okazała się trafna. Rzeczywistość jednak była inna.

Na wyspie przebywały tylko dwie pozaziemskie istoty.

35.

Pago Pago, Samoa Amerykańskie, czerwiec, 2021

Apia była zbyt zaściankowa i zbyt mała, by można tam zabijać do woli, więc kameleon zaczął się nudzić. Wyszedł z pracy kilka minut wcześniej i pojechał taksówką na małe lotnisko Fagalgi, położone za miastem, by wsiąść w wylatujący o szóstej lokalny samolot do Samoa Amerykańskiego. Dwunastoosobowy samolocik zabrał szesnaście osób, ale czwórkę z nich stanowiły dzieci siedzące na kolanach matek. Lot trwał zaledwie czterdzieści minut, ale czterdzieści minut wytrząsania w towarzystwie beczących i rzygających dzieci wzbudziłoby brutalne myśli nawet w zwykłym człowieku. Kameleon umiał sobie podróż obrazami dzieciobójstw z przeszłości.

Na lotnisku w Pago Pago nadal było potwornie gorąco, ale w mieście sytuacja wyglądała jeszcze gorzej: trafił na „dzień złego tuńczyka”. Prawie połowa populacji Samoa Amerykańskiego pracuje w jednej z dwóch przetwórci tuńczyków; cuchnące odpadki z zakładów są spuszczone do zatoki i współzawodniczą ze ściekami w walce o zainteresowanie w gorące, bezwietrzne dni.

Ciemność przyniosła jednak bryzę. Kameleon wyszedł na nabrzeże, szukając pretekstu do bijatyki. Teren położony na wschód od przetwórci, Ciemna Strona, dobrze się do tego celu nadawał. Idąc w dół, kameleon dał nura w alejkę i wyszedł stamtąd po drugiej stronie, wyglądając jak pakistański marynarz w pomiętym mundurze.

Pierwszych kilka barów wyglądało zbyt spokojnie, by się zabawić. Obsługiwały żeglarzy, którzy kotwiczyli w portowym szambie dostatecznie długo, by potrzebować zaopatrzenia – i może również skorzystać z usług tanich kobiet z Ciemnej Strony oraz nabyć niedrogie narkotyki.

Usłyszał jakiś ruch i wszedł do ciemnej spelunki o nazwie Goodbye Charlie's. Przy barze stali dwaj wysocy, muskularni Samończycy, wrzeszcząc na siebie w kilku różnych językach. Barman przyglądał im się z obawą, przenosząc butelki i szklanki w niedostępne dla nich miejsca. Pozostali klienci przyglądali się scenie obojętnie. Może była to ich cowieczorna rozrywka.

Kameleon zajął jedyny pusty stół przy barze i machnął amerykańską dwudziestodolarówką. Barman podszedł do niego ostrożnie, nie spuszczać wzroku z awanturników.

– Tak?

– Budweisera i uncję whisky – rzekł kameleon z wyraźnym pakistańskim akcentem. Barman spojrzał na niego i szybko zabrał dwudziestkę.

Wrócił bez reszty, z butelką ciepłego budweisera i ze szklanką, która wyglądała na opłukaną, ale nie umytą. Wlał do niej hojny cal trunku z butelki bez etykiety.

– Czy ci panowie są nadżgani? – zapytał kameleon.

– Naćpani? Pewnie tak. – W Samoa Amerykańskim brano głównie metamfetaminę, „lód”. Gdy mijało działanie narkotyku, ludzie popadali w posępny nastrój i często stawali się kłótlivi, a niekiedy agresywni.

Wypił whisky dwoma haustami i zsunął się ze stołka. Chwiejnym krokiem podszedł do dwóch marynarzy.

– Hej! – Zignorowali go. – Hej! Zamkniecie mordy?

– Ta, właśnie – poparł go pijany Amerykanin, przerywając nagłą ciszę. – Wyjechać ich stąd!

Awanturnicy mętym wzrokiem spojrzeli na małego Pakistańczyka, niższego od nich o głowę. Jeden pochylił się do przodu i zamachnął się otwartą dłonią.

Kameleon uchylił się, po czym złapał tamtego za nadgarstek i wykręcił, rzucając go na kolana. Skręcił jeszcze bardziej i pociągnął, a wtedy staw ramienny napastnika trzasnął jak odrywana noga od kurczaka. Mężczyzna zwiął się na podłodze, jęcząc z bólu. Kameleon uciszył go dwoma brutalnymi kopniakami w głowę. Wszędzie wokół krzeselka z hukiem padały na podłogę, a ludzie wycofywali się. Tylko pijany Amerykanin pozostał na swoim miejscu i klaskał powoli.

– Mały, twardy Pakuś – mruknął drugi Samończyk i wyciągnął skądś nożyk do papieru.

– Dość! – wrzasnął barman. – Zabierajcie się stąd!

– OK – Kameleon obrócił się na pięcie i ruszył w stronę drzwi.

Świadkowie opowiadali później policji, że cokolwiek się zdarzyło, działo się zbyt szybko, by za tym nadążyć. Samończyk najwyraźniej dotknął ramienia Pakistańczyka, bo ten odwrócił się gwałtownie.

Potem podał mu z powrotem jego nóż, mówiąc:

– Dzięki.

Samończyk wyprostował się i spojrzał na szkarłatną plamę, rozpluwającą się po jego koszulce na wysokości brzucha. Potem zwoje niebieskawych, splamionych krwią wnętrzności wyśliznęły się na zewnątrz, zwisając na wysokości kolan, i mężczyzna osunął się martwy na ziemię.

Nikt nie widział, jak Pakistańczyk wychodzi. Gdy stłoczyli się za drzwiami, nie było tam nikogo oprócz siedzącego na pomoście staruszka z wędką.

Rankiem policja znalazła w kubie na śmieci ciała dwóch prostytutek z oznakami duszenia – sinymi śladami po palcach – na szyi, ale okazało się, że kobiety zmarły w wyniku krwotoku mózgowego po tym, jak zderzono je głowami.

Gdy słońce wzeszło wyżej, smród w alejce zaprowadził stróżów prawa do alejki, w której leżał martwy i nie wiadomo dlaczego nagi Pakistańczyk. Śledztwo zamknięto.

Kameleon był już daleko, w porannym samolocie lecącym do Apii, w znacznie lepszym nastroju.

36.

Apia, Samoa, czerwiec 2021

Trzeci ranek był jasny i spokojny, więc uzurpator wziął fajkę oraz resztę sprzętu do nurkowania i udał się do rezerwatu podmorskiego Palolo, położonego w odległości niecałego kilometra od miejsca, w którym nocował. Stworzył sobie wokół ciała kostium kąpielowy, skromny według amerykańskich kryteriów, ale na plażę wkroczył w lavalava, by nie urazić miejscowych, którzy zresztą i tak spali – wszyscy z wyjątkiem ziewającej dziewczyny, pobierającej pieniądze przy wejściu do parku.

Był przyływ. Uzurpator włożył niepotrzebną maskę, fajkę i płetwy, i zanurzył się w znajomym środowisku.

Na płyciźnie pomiędzy brzegiem a rafą ujrzał nieziemski widok: wieloakrową farmę olbrzymich małży. Były ich tysiące, najmniejsze o średnicy stopy, inne większe od wylotu włazu kanalizacyjnego. Były też mniejsze, zabezpieczone drucianą siatką; uzurpatorowi ślinka napłynęła do ust na myśl o tym, jak by smakowały. Zdołał wydostać jeden mały okaz z klatki, po czym wzmocnił sobie zęby i wgryzł się weń: pycha!

Rafa była piękna, ale to nie wielobarwny labirynt żywego koralu stanowił cel wyprawy uzurpatora. Pływak szybko pozostawił go w tyle i popłynął tam, gdzie fale roztrzaskiwały się o podłużną rafę oddzielającą wyspę od głębin. Przedarł się przez silne, wirujące prądy, znalazł postrzępiony otwór i dał nura w głąb.

W chłodnej ciszy dotarł na samo dno i ukrył swój sprzęt pod kamieniem.

Jak szybko potrafi się przeobrazić w rekina?

Zabrało mu to dwanaście bolesnych minut. Być może ustanowił

własny rekord. W połowie metamorfozy odwiedził go rekin rafowy, który kilkakrotnie opłynął go wokół i trącił nosem, po czym najwyraźniej doszedł do wniosku, że czymkolwiek jest to dziwne stworzenie, nie można go zjeść ani sparzyć się z nim, i odpłynął. Zwierzęta wodne od czasu do czasu gryzły uzurpatora, ale większość z nich natychmiast wypluwała pozaziemski materiał.

Stał się rekinem młotem, który ma świetny wzrok, i popłynął parę kilometrów na południe, by odwiedzić teren prac Poseidona. Nietrudno było go znaleźć, podążając za metalicznym smakiem, różniącym się znacznie od wszystkich, które uzurpator znał dotąd. Bez trudu dotarł do miejsca, w którym z rury odprowadzającej wypływała ciepła woda, prawdopodobnie pochodząca z systemu chłodzenia reaktora jądrowego produkującego prąd.

Po minucie poszukiwań znalazł również rurę wlotową. Mogła się przydać. Gdyby ją zatkać, ile potrzeba by czasu, by reaktor zaczął się przegrzewać i wyłączył się? Albo się stopił...

Zbadał części tarczy przeciwwybuchowej, umieszczone dość głęboko pod wodą, by nie przyciągać wzroku. Długi na dziewięć stóp rekin młot na płytkiej wodzie byłby widoczny jak na dłoni. Słyszał, jak dzieci z wioski pluskają i pływają po drugiej stronie tarczy, i kusił go, by dać im coś, o czym mogłyby opowiadać kolegom – po prostu wypłynąć na powierzchnię i uśmiechnąć się – ale nie; lepiej nie robić nic niezwykłego, nic nierekiniego.

Tak czy owak, mógł być filmowany. Lepiej było udawać skołowaną rybę, która po prostu zaplatała się zbyt blisko brzegu. Młoty są ciekawskie i nieostrożne.

Jakby w odpowiedzi na tę myśl usłyszał potężny ryk silnika mknącego w jego kierunku i pospiesznie ruszył w głąb oceanu.

Łódź była szybka. Zrównała się z nim, nim zdążył się wydostać ze stosunkowo płytkiego terenu. Nastąpiło głośnie „bang!” i harpun przeszył ciało rekina na wylot nieco poniżej głowy.

Silnik natychmiast ucichł i ktoś zaczął ciągnąć zdobycz. Uzurpator pozwolił się przeciągnąć przez połowę odległości do łodzi, a potem nagle odwrócił się o 180 stopni – młoty są zwinne – i pędem popłynął w odwrotną stronę.

Na końcu liny nastąpiło nagle szarpnięcie, a po nim rozległ się wrzask i plusk. Wyłącznie dla zabawy uzurpator obrócił się ponownie i popłynął z powrotem ku łódce, tylko odrobinę spowalniany przez

harpun. Mężczyzna wciąż tkwił do polowy w wodzie, gdy rekin uderzył o jego nogi, a natychmiastowa zmiana smaku wody świadczyła o tym, jak bardzo cieszy go ta rozgrywka.

Ktoś z łodzi zaczął strzelać do rekina z wielkiego pistoletu. Dwukrotnie trafił, dwukrotnie spudłował. Uzurpator zanurkował pod łódź i odgryzł spory kawał kadłuba z włókna szklanego, po czym ze swoją maksymalną prędkością ruszył ku głębokiej wodzie. Gdy był już poza zasięgiem wzroku, powstrzymał dramatyczne, lecz niepotrzebne krwawienie i na moment powiększył pierwszą ranę tak, by harpun mógł się bez trudu wysliznąć. Potem popłynął na północ, trzymając się bezpiecznej głębi.

Zastanawiał się, czy napastnikami kierował strach, czy chciwość. Prawdopodobnie chciwość; mieli harpun i pistolet, więc pewnie po prostu wyprawili się na rekiny. Z jego płetw można było ugotować zupę wartą kilka tysięcy dolarów – to dlatego pomimo obfitości jedzenia w okolicy nie było wielu dużych rekinów.

Maska, fajka i płetwy nadal bezpiecznie spoczywały pod kamieniem. Przemiana powrotna w młodą kobietę trwała zaledwie dziesięć męczących minut, a kolejnych trzydzieści sekund zabrało wydzielanie materiału na kostium kąpielowy. Uzurpator był teraz o niedostrzegalne pół cala niższy w wyniku odniesionych ran, które spowodowały utratę substancji. Po drodze musiał złapać i wchłonąć kilka rafowych ryb.

Przeszkodzono mu w tej prostej czynności. Złapał już i schrupał dużego lucjana i powiększył sobie otwór, by go wchłonąć, gdy usłyszał ludzki głos.

Dziewczyna sprzedająca bilety stała na skraju rafy, w odległości jakichś stu metrów, i krzyczała coś, gestykulując. Uzurpator puścił lucjana, zmniejszył otwór do zwykłych rozmiarów i zakrył go kostiumem kąpielowym, po czym popłynął jak człowiek, powoli, na plecach, z maską przesuniętą na czoło.

– Pani Rae? – zapytała dziewczyna.

– Rae Archer – przytaknął uzurpator, stojąc w metrowej głębokości wodzie.

– Pan Wade myślał, że pani tu będzie. – Wade był właścicielem pensjonatu. – Powiedział, że ludzie z projektu dzwoniли i chcą, żeby pani przyszła o jedenastej. A już prawie dziesiąta.

Czas pędzi jak szalony, gdy dobrze się bawisz.

– Dziękuję. W takim razie muszę się pospieszyć. – Uzurpator płynął w tempie wysportowanej istoty ludzkiej, po czym wyczłapał się na brzeg z przekonującą niezdarnością, pamiętając o płetwach na nogach. Mógł je zdjąć, ale wiedział, że kamyki są zbyt ostre, by człowiek mógł się swobodnie poruszać. Włożył sandały i lavalava, a potem potruczał do pensjonatu.

Wziął zimny prysznic i szybko umył włosy, choć mógłby lepiej oczyścić się, siedząc w samotności przez dwadzieścia sekund. Włożył tropikalne ubranie biurowe i pozwolił panu Wade'owi zawieźć się do Poseidona, choć nawet idąc pieszo, zdążyłby na czas.

Gdyby jednak Rae Archer zrobiła to i nawet się nie spociła, ktoś mógłby nabrać podejrzeń.

Przed bramą Poseidona dwaj mężczyźni postawili na dwóch kozłach lekką łódź rybacką, demonstrując tłumowi gapiących się dzieciaków ukąszenie rekina w pobliżu dziobu.

Potężna, muskularna kobieta, Naomi, przywitała Rae przy wejściu, ale zamiast zaprosić ją do środka, poprowadziła w dół drogi, do domku numer 7. Zostawiły buty przy drzwiach, gdzie stały już dwie inne pary, i weszły do klimatyzowanego wnętrza.

Przy drewnianym stole siedzieli mężczyzna i kobieta w średnim wieku. Kobieta wydała się uzurpatorowi znajoma. Kilka klocków wskoczyło na swoje miejsce i szybko przypomniał sobie, że oceniał jej wypracowania na Harvardzie, w 1980 roku.

Russel Sutton podał Rae dłoń i przedstawił jej tę byłą studentkę, Jan Dagmar. Zarówno ona, jak i jej towarzysz mieli podkrążone oczy i wyglądali na podekscytowanych, jakby przez kilka nocy z rzędu pracowali na pigułkach i kawie. Ociężale klapnęli na krzesła.

– Kawy? – zapytała Naomi, a on odpowiedział: „Tak, czarnej”, i usiadł naprzeciw Jan.

– Najpierw proszę nam opowiedzieć, co pani wie o projekcie – rzekła tamta.

– To trochę potrwa – odparł. – Odrobiłam zadanie domowe.

Jan wzruszyła przyjacielsko ramionami.

Naomi podała mu kawę.

– Dzięki. Natknęliście się na ten podmorski artefakt i wydobyliście go. Szybko odkryliście, że jest zrobiony z jakiejś substancji zbyt gęstej, by figurowała w układzie okresowym. Trzy razy gęstszej od plutonu, ale nie radioaktywnej.

– Trzy razy, jeśli jest pełen – rzekł Russell. – A prawdopodobnie jest pusty w środku.

Uzurpator skinął głową.

– Jeśli pochodzi z Ziemi, powstał w wyniku jakiegoś niezrozumiałego dla nas procesu. Łagodnie mówiąc! Jeśli powstał na innej planecie, rzecz ma się podobnie. Nadal nie wiecie, jak mógł zaistnieć, ale pod względem intelektualnym łatwiej jest założyć, że pochodzi spoza Ziemi.

– I to panią zaniepokoiło – rzekł Russ.

– Mnie i siedem miliardów innych osób – odparł uzurpator. – Od czasu waszego ogłoszenia mój komputer każdego ranka rozpoczyna pracę od wyszukania nowych materiałów ze słowem „Poseidon”.

Upił łyk kawy.

– Nie zdołaliście odseparować od obiektu ani cząsteczki. Próbowaliście ją stopić jakimś laserem i... nastąpił wypadek.

– Wie pani, co stało się potem?

– Nie. Widziałam obrazki w CNN i czytałam popularne spekulacje prasowe. To coś umie lewitować?

Russ uniósł brwi.

– My też widzieliśmy te obrazki.

– Ale nic na ten temat nie opublikowaliście.

– Nie. – Spojrzał na Jan, a później z powrotem na młodą kobietę. – Będziemy mogli powiedzieć pani trochę więcej, jeśli zostanie pani zatrudniona i podpisze klauzulę poufności.

– Ale tylko trochę – dodała Jan. – Nie ma wiele do opowiadania.

– Ma pani licencjat z astronomii – rzeki Russ. – Dlaczego nie studiowała pani dalej?

– Wyszłam za mąż – odparł uzurpator. – Gdy małżeństwo się rozpadło, zostałam ze zbyt wielkimi długami, by móc sobie pozwolić na studiowanie. – Tej części autobiografii nie obaliłyby wyszukiwania internetowe, ale na wiele więcej nie mógł liczyć. Postać „męża” wygodnie zniknęła z mapy, a stanowe i federalne formularze podatkowe zostały precyzyjnie spreparowane, podobnie jak dane dotyczące pracy na stanowisku technika laboratoryjnego w dwóch firmach.

Zadał sobie trochę trudu, by odnaleźć firmy z Los Angeles, które były dość duże i mobilne, by fakt, iż nikt nie pamięta osobiście Rae Acher, za bardzo nie dziwił.

– Trochę posprawdzałam – przyznała Naomi. – Profesorowie z Berkeley mają o pani dobre zdanie.

Uzurpator odwzajemnił jej spojrzenie.

– I dziwili się, dlaczego nie kontynuowałam studiów.

– I dlaczego została pani technikiem laboratoryjnym.

– Miałam doświadczenie z wakacyjnych prac. Astronomów nikt nie potrzebuje.

– To fakt – przytaknęła Jan. – Ponad połowa doktorów astronomii pracuje w innych branżach.

– Wiedziałam o tym, gdy wybierałam kierunek studiów – rzekł uzurpator. – Moja doradczyni proponowała mi, żebym się nauczyła obracać hamburgery.

Jan zaśmiała się.

– Mój doradca powiedział to samo, jeszcze w latach 80. Najwyraźniej zawsze jest nadzieja.

– Planuje pani powrót? – zapytał Russ. Biorąc pod uwagę okoliczności, raczej nie należało odpowiadać pytaniem na pytanie.

– Staram się być na bieżąco. Czytam w bibliotece „AJ.” i „Aph.J”^{*} – rzekł ostrożnie uzurpator. – Nadal żywo interesuję się astronomią, a szczególnie gromadami kulistymi i powstawaniem gwiazd. – Wiedział, że brzmi za bardzo jak wykładowca z uczelni, ale tę funkcję pełnił znacznie dłużej niż funkcję technika. Albo na przykład karła czy prostytutki. – Trudno byłoby mi jednak powrócić do życia studenckiego. Zbyt długo byłam kobietą pracującą. – Trzydzieści jeden z ostatnich dziewięćdziesięciu czterech lat, wliczając w to życie rekina-samicy.

– Fascynują mnie kwestie związane z SETI – kontynuował. – Nigdy nie miałam ich na studiach, z wyjątkiem tego, co przerabialiśmy na radioastronomii. Byłoby to więc ciekawe doświadczenie, nawet gdyby nic więcej z tego nie wynikło.

Russ pokiwał głową i wymienił kolejne spojrzenie z Jan.

– Zatem wie pani, co tu robimy od kilku miesięcy.

– Eksperymentujecie ze środowiskami planet. Widziałam w Nova materiał o Wenus; był niesamowity.

– Hm... – Russ złączył koniuszki palców i stuknął dwukrotnie. – To tajemnica. Wkrótce dowie się cały świat, ale na razie

^{*} Najprawdopodobniej chodzi o magazyny „The Astronomical Journal” i „The Astrophysical Journal” (przyp. tłum.)

zastanawiamy się, jak i kiedy to ujawnić. Pani potrafi dochować tajemnicy.

– Oczywiście.

– Artefakt zareagował.

Uzurpator wywołał w sobie całą gamę reakcji fizjologicznych, które z kolei wywołały widoczne zmiany: rozszerzenie źrenic, plamki potu, gwałtowny wdech.

– Podczas symulacji Jowisza?

Jan skinęła głową.

– Tak. Początkowo sądziliśmy, że to jakaś awaria. Wie pani, że używamy pi kwadrat jako współczynnika przeskoku z jednej częstotliwości do drugiej?

– Tak. To mnie zaciekało.

– Artefakt powtórzył pierwszą połowę wiadomości, ale dziesięciokrotnie szybciej.

Uzurpator skinął głową.

– A zatem zna cyfry.

– Może po prostu wie, ilu cyfr używamy my – zauważył Russ.

– Najpierw sądziliśmy, że to błąd transmisji – rzekła Jan. – Było to w fazie akustycznej. Wystukiwaliśmy wiadomość. Robi się to automatycznie, małym, solenoidowym młotkiem. Dziesięciokrotnie szybsza odpowiedź przyszła w połowie naszego standardowego nadawania.

– Została rozpoznana, ale początkowo zignorowana – kontynuował Russ. – Jeden z techników, Muese, analizował ją jako jakiś szum zwrotny – takie rzeczy zdarzały się już wcześniej – i nagle uświadomił sobie, że ten dźwięk pochodzi od artefaktu.

– Do tamtego czasu zdążyliśmy już przejść do podczerwieni – rzekła Jan, ilustrując odległość umieszczeniem jednej dłoni ponad drugą – ale wróciliśmy do fazy akustycznej, wystukując szybki sygnał wysłany przez artefakt. Odpowiedział długą, dwunastominutową wiadomością.

– Która mówiła...?

Russ pokręcił głową.

– Nie mamy pojęcia. Ale to nie były przypadkowe stuknięcia.

Wydawali się spokojni, ale uzurpator słyszał ich pulsy.

– Można by sądzić – odezwała się Jan, starannie ważąc słowa – że inteligentne stworzenie, jakiegoś rodzaju inteligencja, odpowie takim

samym szyfrem. – Popatrzyła na dziewczynę z wystudiowaną swobodą, która mówiła: „To jest test”. – Jak pani myśli, dlaczego on tego nie zrobił?

Uzurpator milczał dłużej, niż musiał.

– Część pierwsza: brzytwa Ockhama. Nie zrozumiał, że pierwsza seria jest szyfrem. Zachował się jak majna, która wszystko imituje. Ale druga część... ten współczynnik dziesięciu jest ciekawy, ale może mieszkaniec obiektu albo coś, co go stworzyło, miał dziesięć kończyn.

– Zapytam o rzecz oczywistą: czy przeprowadzaliście analizę Zipfa? Badaliście entropię informacyjną?

Jan i Russ popatrzeni na siebie. Naomi zachichotała.

– Krzywa Zipfa wynosi minus jeden – rzekł cicho Russ – więc wiadomość nie jest zwykłym szumem. – Taka krzywa charakteryzuje śpiew delfinów i ludzkie języki; nie mogła wystąpić przypadkiem.

– Entropia informacyjna jest niepokojąca – rzekła Jan. – Dwudziesty szósty rząd.

– Kurczę! – rzucił uzurpator, coraz bardziej podekscytowany. Ludzkie języki posiadały złożoność zaledwie dziewiątego rzędu. Język delfinów czwartego. – Więc nie stworzył własnej wersji wiadomości Drake’a?

– Mieliśmy nadzieję, że tak – wyznał Russ – ale nie spełnia pierwszego wymogu: obecności dwóch liczb pierwszych, które wyjaśniłyby nam proporcje matrycy informacyjnej.

– Zrobiliśmy rzecz oczywistą – rzekła Jan, nadal testując kandydatkę.

Uzurpator gapił się na nią.

– Założyliście, że matryca będzie takich samych rozmiarów jak wasza, lub też będzie produktem dwóch innych liczb pierwszych. Ale się nie udało.

– Niezupełnie – skorygował Russell. – W końcu doszliśmy do tego, że są to trzy liczby pierwsze przemnożone przez siebie. Co niejako podwyższa stawkę.

Jan skinęła głową i pochyliła się do przodu, opierając łokcie na stole.

– Wie pani, ta organizacja jest tylko odrobinę hierarchiczna. Russ i Jack Halliburton kierują wszystkim i decydują, co będziemy robić. Ale na poziomie wykonawczym panuje pewien chaos. I nie chcemy tego zmieniać. Nie jesteśmy jakimś przedsiębiorstwem badawczo-

rozwojowym, gdzie można przypisywać obowiązki i trzymać się rozkładu zajęć. Wszyscy w pewnym sensie błądzimy w ciemnościach, kierując się intuicją.

– Nawet tacy starszycy jak Russ i ja wiemy, że edukacja i doświadczenie mogą przeszkodzić intuicji. Kiedy zatrudniamy ludzi na pani poziomie, dajemy do zrozumienia, że choć mnóstwo pracy będzie miało charakter rutynowy, zawsze jest miejsce na ich wkład. Kobieta, którą być może pani zastąpi, ciągle wyciągała jakieś pomysły z kapelusza i niektóre z nich okazywały się przydatne.

– Dlaczego odeszła? – zapytał uzurpator.

– Choroba w rodzinie. Córnka. Być może wróci, gdy wszystko się ułoży, ale wygląda na to, że nie nastąpi to tak szybko.

– Na razie potrzebujemy kogoś takiego jak pani – rzekł Russ. – Nie sądzę, by pani... Przepraszam, to krępujące, ale kobieta, która pracowała przed tą ostatnią, musiała odejść, by urodzić dziecko. Wkrótce nasza recepcjonistka także poświęci się macierzyństwu.

– Nie mogę mieć dzieci – rzekł uzurpator. Nie dodał: „chyba że przez rozszczerzenie”. Poczzerwieniał i zakrył dłonią usta.

– Nie chcieliśmy być wścibscy – powiedziała Jan, rzucając Russowi ostre spojrzenie.

– Nie. Jasne, że nie. – Russ sprawiał wrażenie kogoś, kto rozpaczliwie potrzebuje jakichś papierów, by móc się w nich zagrzebać. Zamiast tego studiował wewnątrz pustej filiżanki.

– Och, nie jestem aż tak wrażliwa na tym punkcie – rzekł uzurpator. – To tylko biologia. Ułatwia mi życie.

– Jeśli dostanę tę pracę, co będę musiała robić na obecnym etapie? – kontynuował. – Nie wygląda na to, by chromatografia gazowa lub spektroskopia były akurat na tapecie.

– Ani teraz, ani w przyszłości. – Russ podszedł do dzbanka z kawą i dolał sobie. – W pani CV jest mowa o kryptografii.

– Jeden kurs i trochę czytania. – W rzeczywistości znacznie więcej, w innym życiu. Kiedy studiował informatykę na MIT, wszyscy się tym pasjonowali.

Jan dwukrotnie postukała w swój notes i przestudiowała informacje na ekranie.

– Nie ma tego w pani świadectwach.

– To był fakultatywny wykład. Moja doradczyni zawetowała go jako błażostkę. Zabiłaby mnie, gdyby wiedziała, że wybrałam to,

zamiast rozwiązywać równania różniczkowe.

– Skądś to znam – mruknęła Jan.

– Może to był dobry wybór – rzekł Russ. – Bo to właśnie będzie pani zapewne robić przez jakiś czas. Jeśli chodzi o ten spędzający nam z powiek strumień danych z artefaktu, dzielimy się na dwie grupy. Jedna, do której pani dołączy, będzie próbowała rozszyfrować wiadomość. Druga będzie zamęczać artefakt serią bardziej złożonych wiadomości, zawierających linijki pierwszej. To będzie grupa Jan.

– Trzymacie to wszystko w tajemnicy? Rząd nic nie wie?

– Jasne, że nie. Jesteśmy korporacją dochodową, a w tym, co ta rzecz ma do powiedzenia, mogą tkwić niebotyczne zyski. I lepiej, żeby tkwiły, bo tylko to może usprawiedliwić wydatki Jacka.

– Gdybyśmy byli w Stanach – dodała Jan – rząd mógłby wkroczyć, powołując się na bezpieczeństwo narodowe, ale tu niewiele mogą zrobić. Jack ma nawet obywatelstwo samońskie.

– Ale macie tu ekipę z NASA – zauważył uzurpator.

– Ja jestem jej częścią – rzekła Jan. – Używaliśmy też skafandrów kosmicznych NASA, a nasi towarzysze namówili nas do użycia lasera wojskowego, który kilka miesięcy temu tak urozmaicił wszystkim życie. Ale umowa między nimi a nami jest szczegółowo opracowana, a umowy z poszczególnymi pracownikami są, hm, dość wyrachowane.

– Wszyscy mają udział w zyskach, jeśli będą się odpowiednio zachowywać – wyjaśnił Russ – a jeśli ktokolwiek coś wypapla, nikt nic nie dostaje. Nie wspominając o stadzie prawników, którzy przyfruną, by zedrzeć z niego skórę i porachować kości.

– Coś w tym stylu znajdzie pani w swojej klauzuli poufności. Jack jest sprawiedliwy, jak sędzę, ale nieugięty. – Jan znów postukała w swój notes. – Rzecz jasna, zakładam, że jest pani przyjęta. Jack musi to zaakceptować, ale parę godzin temu padł z wyczerpania i do jutrzejszego ranka raczej nie podejmie żadnej decyzji. Tak naprawdę jednak wszystkich techników i pracowników administracyjnych zatrudnia nasza dwójka i Naomi.

– Więc mam czekać przy telefonie?

Russ pokręcił głową.

– Ta wyspa nie jest aż taka wielka. Znajdziemy panią.

– Może pani uciekać, ale nie zdoła się skryć – rzekła z uśmiechem Naomi.

37.

Apia, Samoa, czerwiec 2021

Próby złamania szyfru artefaktu były najciekawszą rzeczą, jaką kiedykolwiek robił. Gdyby mógł po prostu zamknąć się w jakimś pomieszczeniu z serią zer i jedynek oraz dostępem do danych z zewnątrz, mógłby sam to wszystko rozszyfrować. Czy zabrałoby to tydzień, rok czy tysiąc lat, nie wiedział i nie robiło mu to wielkiej różnicy.

Ale pozostali toczyli wojnę z czasem. Jack chciał, żeby szyfr został złamany, póki artefakt znajduje się na pierwszych stronach gazet, więc jeśli nic by się wcześniej nie wydało, ogłosiliby jednego dnia nawiązanie kontaktu, a następnego tłumaczenie.

By ułatwić dochowanie tajemnicy, podwyższył stawkę: osoba lub ekipa, która złamie szyfr, otrzyma milion dolarów premii pod warunkiem, że jego istnienie pozostanie tajemnicą. W przeciwnym razie premia spadała do stu dolarów.

Uzurpator zastanawiał się, jaka logika kieruje Jackiem i czy to w ogóle ma coś wspólnego z logiką. Skąd czerpał pewność, że na tym można się wzbogacić? Gdyby obiekt powiedział po prostu: „Cześć, macie tu parę fajnych obrazków w rewanżu” i nie dał im nic bardziej rewolucyjnego niż to, co oni mu dali – a tego właśnie spodziewał się uzurpator i większość jego współpracowników – jakim cudem Poseidon miał zarobić na tym choć dziesięć centów? Wyprodukować koszulki i figurki?

Gdy Rae zadała to pytanie Naomi, ta zmarszczyła brwi i przytknęła palec do ust.

– To nie nasza sprawa – szepnęła.

Liczba jedynek i zer wynosiła 31 433, co było wynikiem

przemnożenia liczby pierwszej przez kwadrat innej: $17 \times 43 \times 43$. Mogło to więc być siedemnaście kwadratów, każde po czterdzieści trzy kropki i kreski na jednym boku, albo czterdzieści trzy prostokąty, siedemnaście na czterdzieści trzy, ułożone na różne sposoby. Albo po prostu jedna linia złożona z 31 433 znaków.

Komputery potrafiły zbudować niezwykle potężne narzędzia deszyfrujące, a rząd z pewnością miał jeszcze lepszy sprzęt, który niechybnie poszedłby w ruch, gdyby federalni położyli łapy na znalezisku. Badacze musieli jednak zakładać, że wiadomość nie została zaszyfrowana, a w każdym razie nie celowo.

Wtedy zadziałała intuicja, a może po prostu łut szczęścia. Pracowało nad tym dwadzieścia osób, a każda miała przed sobą duży płaski ekran; oprócz tego posiadali do spółki pięć 1,5-metrowych sześcianów, służących do wizualizacji trzech wymiarów. Szukali czegoś, co przypominałoby spójną wiadomość albo przynajmniej jej fragment. Pokoje, w których pracowali, wyglądały jak koszmary z krzyżówkami: białe i czarne kwadraty oraz sześciany w ciągłym chaotycznym tańcu.

Uzurpator „czuł” – nie była to logika, z pewnością nie liczby, lecz jakieś „wrażenie”, że obiekt naprawdę stara się mówić wyraźnie. Po prostu był tak nieludzki, że ludzie nie potrafili go zrozumieć.

Może i on stał się zbyt ludzki, by odczytać przesłanie.

Ludzie żądni miliona funkcjonowali na kawie i amfetaminie, bez snu, więc Russ ogłosił „dzień śnieżycy”. Wszyscy mieli zostać w domach i spać, a przynajmniej odpoczywać. Jack musiał się z tym pogodzić. Po pięciu dniach ludziom zaczynała odbijać szajba.

* * *

Uzurpator spędził „dzień śnieżycy”, wchodząc z Russem na wzgórze. Zawarli umowę, że nie będą w ogóle rozmawiać o projekcie.

„Wchodzenie na wzgórze” oznaczało czterokilometrową wędrowkę stromo pod górę do Vailimy – dworku, w którym Robert Louis Stevenson spędził ostatnie lata swego życia. Russ był tam już kilka razy, więc teraz służył za przewodnika Rae.

Dzięki studiom anglistycznym sprzed kilku wcieleń uzurpator prawdopodobnie wiedział o Stevensonie więcej niż wszyscy inni uczestnicy projektu razem wzięci. Ale udawał Greka i pozwolił

Russowi gadać.

Postanowił przyznawać się do przeczytania jedynie *Wyspy skarbów* oraz *Doktora Jekylla i pana Hyde'a*. W miarę pięcia się na „wzgórze” Russ opowiadał mu więc fabuły *Porwanego za miodu* i *Dziedzica na Ballantrae* oraz część skomplikowanej historii życia Stevenson na wyspie.

Uzurpator znał większość szczegółów, ale był dobrym słuchaczem. Słuchał o tym, jak wielki pisarz przybył tu, by wyleczyć gruźlicę, i choć nie znalazł lekarstwa, znalazł ulgę spokojnego życia. On, lub jego żona Fanny, przywieźli tu sporo rzeczy, które uczyniły z Vailimy przyczółek cywilizowanej Szkocji: delikatne tkaniny, porcelanę, fortepian, na którym rzadko grywano, ściany zastawione regalami pełnymi książek – nawet kominek, na wypadek, gdyby Ziemia zmieniła orbitę.

Historia byłaby ciekawsza, gdyby Stevenson napisał tu jeden ze swoich klasyków, ale te miał już poza sobą. Napisał jednak pięć książek i wydawał wielkie przyjęcia, zarówno dla Samończyków, jak i dla Anglosasów i Europejczyków. Znajdował nowe miłości, co Fanny być może zaakceptowała już przed przeprowadzką na Samoa, i przeżył ostatnie lata w radości i spokoju.

Uzurpator nie uwodził Russa. Po prostu tam był. Ale to wystarczyło. Russ nigdy nie był obojętny na kobiecą urodę, a znajdował się mniej więcej w tym stadium życia co Stevenson, tyle że bez żony i choroby, ale za to z dobrymi genami i wszystkimi korzyściami medycyny dwudziestego pierwszego wieku. Jego ciało i umysł były dostatecznie młode, by związek z trzydziestolatką nie wydawał się śmieszny żadnej ze stron. Gdy wspinali się ciężko pod górę, spoceni i roześmiani, od czasu do czasu przystając na piwko i małego skręta, różnica wieku stała się bardziej nowinką niż barierą.

Obeszli dworek Stevenson, bez butów, w towarzystwie nastoletniej samońskiej przewodniczki, która niewiele czytała z dzieł autora, lecz wiedziała wszystko o jego codziennym życiu w tym domu i opowiadała o tym tak, jakby Stevenson tylko gdzieś na chwilę wyszedł – może po prostu zjechał na dół do Apii, by zobaczyć, co przywiózł ostatni frachtowiec, albo towarzyszył miejscowym w pracach na farmie, albo przycinał krzewy. Twierdziła, że mimo problemów zdrowotnych uwielbiał pracować do utraty tchu, bo dopiero po czymś takim mógł siedzieć i z prawdziwą radością

spoglądać na piękno lasu i odległego morza, pozwalając pracowitemu umysłowi odpoczywać. Po odejściu przewodniczki Russ powiedział, że chciałby wierzyć, iż mówiła prawdę, lecz to raczej wątpliwe.

Nie po raz pierwszy uzurpator żałował, że odkrył ludzkość dopiero w 1932 roku. Ciekawie byłoby patrzeć, jak mijają wieki i ludzie się zmieniają.

Skończywszy zwiedzanie, wspięli się wyżej, do miejsca, w którym pochowano Stevensona i Fanny. Na kamieniu nagrobnym widniał znajomy napis:

*Pod niebem szerokim, pełnym gwiazd,
Grób mój wykopcie, pozwólcie spocząć;
Radośnie żyłem i umrę radośnie,
Bez ociągania legnę w swej mogile.
A napis ten wyryjcie dla mnie:
„Tu leży ten, który odnalazł dom,
Marynarz, który powrócił z morza,
Myśliwy, który zszedł ze wzgórza”.*

– Ciekawe, czy naprawdę tak myślał – rzekł uzurpator. – „Umrę radośnie”... Czy był aż tak chory? A może miał na myśli naturalną kolej rzeczy?

– Był ciężko chory – odparł Russ – ale nie na Samoa. Napisał to w Kalifornii, na długo przed tym, nim przyjechał tutaj i jego zdrowie się poprawiło.

Uzurpator wziął go za rękę i przez długą chwilę w milczeniu spoglądali na napis.

– No więc? – zapytał. – Co chcesz robić przez resztę „dnia śnieżycy”?

– Nie wiem. Moglibyśmy zbudować fort i urządzić bitwę na śnieżki.

Uzurpator roześmiał się.

– Mam lepszy pomysł. – Około kilometra w dół wzgórza znajdował się staroświecki, dwudziestowieczny hotel, w którym spędzili kilka godzin pod stukoczącym wentylatorem sufitowym, kochając się, a potem po cichu dzieląc się historiami swojego życia. Przez większość czasu mówił Russ, ale w końcu, jak sądził, żył znacznie dłużej.

Wrócili na teren projektu krótko przed zmierzchem i, celem stworzenia pozorów, rozeszli się w dwie różne strony: Russ poszedł do miasta na kolację, a uzurpator kupił sobie kanapkę w sklepiku na plaży.

Przypuszczał, że ich tajemnica wkrótce się wyda. W rzeczywistości wydała się, nim jeszcze wyszli z pokoju hotelowego, bo recepcjonista rozpoznał Russa. Na Samoa plotkowanie jest elitarnym sportem, wysublimowaną sztuką. Recepcjonista miał kuzyna, który pracował przy projekcie, więc nim Russ i Rae zeszli ze wzgórza, wszyscy miejscowi pracownicy poznali już jakąś wersję ich historii. Po jednym czy dwóch dniach mieli już wiedzieć wszyscy.

Wszyscy, lecz nie wszystko. Tamtej nocy Russell nie mógł spać. Lubił kobiety, ale jego jedyną miłością była praca; minęło niemal trzydzieści lat, odkąd po raz ostatni myślał o sobie, że jest „zakochany”. Nie istniało jednak inne słowo na określenie tego, co czuł do Rae. Nie potrafił przestać o niej myśleć – ani o tym, jak jest szczęśliwy; jak ten dzień zmienił jego życie.

A nie wiedział nawet połowy.

38.

Los Angeles, Kalifornia, czerwiec 2021

Uzurpatora zdradziły odciski palców. Podczas odnawiania prawa jazdy prawdziwej Rae Archer jej odciski trafiły do bazy danych Agencji Bezpieczeństwa Narodowego.

W ułamku sekundy komputer zasygnalizował, że są identyczne z kompletem istniejącym w bazie CIA. CIA podziękowała za informacje i oznajmiła, że od tej pory to ona zajmuje się sprawą.

Wszyscy pracownicy projektu nieświadomie dostarczali odcisków palców samońskiej zmywaczce naczyń, będącej na usługach CIA. Kiedy agencja zorientowała się, że istnieją dwie Rae Archer o identycznych odciskach, jedna zatrudniona przy supertajnym projekcie naukowym, wszystkich postawiono w stan pełnej gotowości.

Jakiś facet z komendy policji w Los Angeles odwiedził Rae Archer i przepaszającym tonem powiedział, że muszą jeszcze raz pobrać odciski palców, bo tamte gdzieś się zawieruszyły.

Prawdziwa Rae była pozytywnie zdumiona, że państwo pofatygowało się do niej, zamiast żądać, by to ona się pofatygowała. Żałowała tylko, że jej nie uprzedzili, bo wyglądała fatalnie. Przystojny oficer nie przejął się tym jednak. Podobnie jak kobieta siedząca w samochodzie za teleobiektywem.

W niepozornym budynku w Langley, który od sześćdziesięciu lat służył do tych samych celów, agenci przyjrzeni się dowodom, rozważając, co jest możliwe, co jest legalne i co zrobią.

Mieli kilkuminutowy materiał przedstawiający Rae Archer, nieco zatroskaną matkę trojaczków, i sześć zdjęć w formacie jpg Rae Archer, asystentki laboratoryjnej na Samoa. Na pierwszy rzut oka obie

były tą samą kobietą, bardzo atrakcyjną Amerykanką pochodzenia japońskiego. To, że mają takie same rysy i figury, było niezwykle; to, że łączą je odciski palców i wzór siatkówki, oznaczało, że osoba znajdująca się na Samoa jest jakimś nowym rodzajem szpiega – być może klonem.

Kto jednak zadawałby sobie trud klonowania Rae Archer, a tym bardziej – kto potrafiłby tego dokonać w latach dziewięćdziesiątych?

Rozpytali tu i ówdzie i oto, co im odpowiedziano: nie, ona nie jest jedną z naszych; nie, odciski palców i siatkówki to nie nasza specjalność. Można podrobić wzór siatkówki, podmieniając dane, ale odciski palców zostały zdjęte ze szklanki, którą fałszywa Rae podała zmywaczce.

Konieczni musieli ją przyszpilić i zadać kilka pytań.

39.

Apia, Samoa, 15 lipca 2021

Uzurpator był zaciekawiony i rozbawiony tym, jak zmienia się nastawienie ludzi do Rae. Niektórzy najwyraźniej uważali ją za bezwstydną manipulatorkę, a może tylko za nimfomankę. Wielu mężczyzn gratulowało Russowi, szcwanemu lisowi, albo mu zazdrościło. Rae nie malowała się i nosiła ascetyczne stroje, przynajmniej w biurze, ale faceci mówili, że od początku wiedzieli, co z niej za numer. Ci, którzy widzieli, jak pływa, zauważyli fragment tatuażu w kształcie wschodzącego słońca ponad jej zgrabnymi pośladkami.

Niektórzy mężczyźni i większość kobiet rozumieli jednak, że chodzi tu o coś więcej niż seks. Nietrudno było dostrzec, jak ona patrzy na niego, a on na nią; jak zmieniają się ich głosy, gdy ze sobą rozmawiają.

Po „dniu śnieżycy” większość ludzi wróciła do pracy z nową energią. Na niektórych niekorzystnie wpłynął fakt, że mieli cały dzień na refleksje na temat braku wyników: może rzeczywiście przyszedł już czas na współpracę z rządem.

Rząd sam się zgłosił, ale nie do rozszyfrowania wiadomości.

Dwoje agentów CIA, przebranych za małżeństwo świętujące miesiąc miodowy, zarezerwowało na miesiąc wykwinny Pokój Skrzydłowy w Aggie Grey's. Czworo innych agentów zajęło sąsiednie pokoje. Przylecieli do Samoa Amerykańskiego wojskowym samolotem i przyплыnęli do Apii promem, żeby oszczędzić sobie absurdalnych rewizji bagażu.

Siódmy agent – siwowłosa starsza pani – wynajął sobie pokój w tym samym pensjonacie co Rae. Drugiego dnia, godzinę po

sprzątaniu, pokój Rae został dokładnie zapluskwiony.

Obserwacja nic jednak nie dała. Uzurpator automatycznie zachowywał pełną ostrożność i ściśle imitował ludzkie zachowanie. Jadł, pił i wydalał w regularnych odstępach czasu. Co noc kładł się do łóżka i przez osiem godzin leżał w ciemności. To, że zamiast spać, analizuje 31,433 jedynek i zer, nie było oczywiście dla obserwatora.

Trzy razy wróciła nad ranem, spędziwszy noc ze swoim szefem. To zdecydowało o niepodejmowaniu działań bezpośrednich, polegających na pójściu prosto do Poseidona i opowiedzenie szefostwu wszystkiego, co agencja wiedziała o tajemniczej pracownicy. Oprócz jej związku, może nawet miłosnego, z zastępcą kierownika projektu, zdobyte informacje na temat Jacka Halliburtona także nie napawały optymizmem w kwestii jego współpracy z rządem amerykańskim. Cynicznie wykorzystał marynarke Stanów Zjednoczonych w celu zgromadzenia uzdolnionych specjalistów, a następnie wynajął ich i odszedł ze służby, robiąc scenę na pożegnanie. Zrezygnował nawet z obywatelstwa amerykańskiego.

Druga bezpośrednia strategia, polegająca na porwaniu kobiety z ulicy lub pokoju, miała pewną zaletę – nie wiedzieli, że łatwiej byłoby „porwać” czołg Powella – ale ponieważ tutejsze prawo nie dawało im żadnej władzy, woleli być nieco bardziej subtelni. Wykorzystali przynętę – niebezpośrednią.

Russ wrzucił swoją wizytówkę do pudełka na comiesięczne losowanie, w którym można było wygrać weekend dla dwojga w Aggie Grey's albo w Pokoju Skrzydłowym, albo w Apartamencie Prezydenckim. Wygrał Pokój Skrzydłowy, zaraz po wyjeździe nowożeńców.

Tamci wiedzieli, że prędzej czy później będą musieli zabrać się za Russa. Lepiej prędzej.

Były trzy możliwości: albo Russ przyjdzie pierwszy, albo Rae, albo przyjdą razem. Ostatnia opcja była mało prawdopodobna, wciąż bowiem zachowywali pewną dyskrecję. Ale ekipa z CIA była przygotowana na każdą z trzech ewentualności, jak również na trywialny przypadek, w którym nie pojawi się żadna ze stron.

Gdyby Russell przeszedł przez drzwi pierwszy, musieliby dokonać jakichś pośpiesznych wyjaśnień. Ale pierwsza zjawiała się kobieta.

Uzurpator wszedł do okazałego pomieszczenia i rzucił torbę na łóżko, po czym poszedł do łazienki, by się uczesać. Usłyszał

nierozpoznawalny dźwięk w holu. To jakiś facet wepchnął drewniany klin między drzwi a framugę, blokując je tak, by nie dały się otworzyć. Potem nastąpił łatwo rozpoznawalny odgłos otwierania i zamykania drugich drzwi.

Wybiegłszy z łazienki, uzurpator zobaczył mężczyznę i kobietę, którzy właśnie weszli z sąsiedniego pokoju.

– Proszę nam nie utrudniać sprawy – rzekł mężczyzna. – Wie pani, dlaczego tu jesteśmy.

Odpowiedział automatycznie, rozważając różne opcje.

– Niech pan mi to powie.

– Pani nie jest Rae Archer. Ale jest pani tak doskonałą imitacją, że musi być klonem albo czymś takim.

– Nie mam pojęcia, o czym u diabła pan mówi.

– Przed chwilą rozmawialiśmy z prawdziwą Rae Archer. Jest w Pasadenie. Więc pani nie może być nią.

– A wy pracujecie dla...?

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Dla wywiadu Stanów Zjednoczonych.

– W takim razie nie macie tu jurysdykcji.

– Chcemy tylko zadać pani kilka pytań.

Uzurpator podniósł swoją torbę.

– Nie.

W połowie drogi do drzwi usłyszał dźwięk naciąganej gumki i poczuł ukłucie pośrodku pleców. Sięgnął do tyłu, demonstrując niezwykłą elastyczność, i wyciągnął strzałkę z plastikowymi skrzydełkami.

Mężczyzna trzymał coś, co wyglądało jak pistolet-zabawka.

– Nic pani nie będzie. Po prostu może się pani poczuć trochę senna.

Uzurpator przyjrzał się strzałce, powącha ją, a następnie potrząsnął nią przy uchu.

– Chyba trochę zostało.

– Wiele nie trze... – Szpieg stęknął, upuścił pistolet i osunął się na kolana. Strzałka tkwiła w jego szyi, wbita głęboko w tętnicę szyjną. Zdołał ją wyrwać, ale kolana załamały się pod nim i padł twarzą do ziemi, najpierw tylko drżąc, potem miotając się konwulsyjnie.

– Warto uważać, gdzie się to wbija. – Uzurpator napał na drzwi, te jednak były zablokowane. Usłyszał ciche tarcie metalu o skórę i

trzema długimi susami dopadł do kobiety, nim zdążyła unieść automat i wystrzelić. Odbił jej rękę w bok i usłyszał, jak kości palca i kłykcia pękają na moment przed tym, nim broń niemal bezgłośnie wystrzeliła w ścianę. Wyrwał kobiecie pistolet.

Wrzasnęła z bólu, a wtedy zza drzwi sąsiedniego pokoju wyskoczył mężczyzna z wycelowaną w uzurpatora dubeltówką. Ten odskoczył na bok dokładnie w momencie, w którym padł pierwszy strzał, a gorący podmuch przeszedł tuż obok jego twarzy. Sięgnął ku broni, a wtedy drugi strzał odstrzelił mu lewą rękę na wysokości ramienia.

W dźwięczącej w uszach ciszy, brocząc krwią z postrzępionego kikuta, uzurpator uniósł pistolet i wycelowował między oczy mężczyzny. „Bang!” – powiedział i opuścił broń.

Zrobił dwa kroki, przeskoczył nad kanapą i przeszedł przez drzwi balkonowe, rozbijając szybę. Uderzył w barierkę balkonu, przechylił się i spadł na markizę zawieszoną nad wejściem do hotelu.

Russ, który był akurat był w połowie ulicy, uniósł głowę na dźwięk strzałów. Zobaczył, jak ktoś ześlizguje się z markizy i ciężko uderza o chodnik, po czym rusza biegiem, krwawiąc z kikuta po rękę.

Ta postać wydawała się nie mieć twarzy, jak gdyby naciągnęła sobie pończochę na głowę. Russ przetarł oczy.

Postać przebiegła po dachach sunących powoli samochodów – odbijając się od wozu jadącego na południe i ponownie od kolejnego, zmierzającego w przeciwną stronę – i wylądowała na przeciwległym chodniku, po czym przeskoczyła przez niski płotek do parku przy przystani, gdzie turyści i odpoczywające rodziny gapili się na nią z otwartymi oczami. Pobiegła jak sprinter olimpijski i dała nura przez kamienny falochron.

Nim ktokolwiek zdążył tam dobiec, na wodzie pozostały tylko kręgi. W powietrzu rozbrzmiewał dźwięk syreny.

* * *

Uzurpator schronił się na dnie portu, w cieniu tankowca, który sięgał dnem połowy głębokości wody. Włożył cały wysiłek w to, by jak najszybciej przeobrazić się w rybę: kości w chrząstki i zęby, mięśnie i jelita w prostą, zwinną figurę rekina rafowego; zakrwawione ubranie pozostawił na miejscu jako przynętę.

Ledwie ukończył metamorfozę, usłyszał, jak nurkowie skaczą do wody w miejscu, w którym się zanurzył. Wciągnął w skrzela haust ciepłej, słonej wody, mocno przyprawionej olejem napędowym – pycha! – i wygiął swój jedyny, ogromny mięsień, by popłynąć na otwartą wodę.

* * *

Helikopter zarekwirowany przez policję leciał nisko nad przystanią, lecz mimo lornetek i sonaru nie znalazł na całej głębokości wody nic z wyjątkiem zwykłego asortymentu ryb i odpadków. Zauważono kilka dużych rekinów, z których jeden najwyraźniej przestraszył się śmigłowca.

Russ nie rozpoznał w dziwnej istocie ukochanej kobiety. Nadal usiłując dociec, co właściwie zobaczył – na wzgórzach kręcono jakiś film; może filmowcy wykorzystali Aggie Grey's do nakręcenia sceny przygotowawczej – wszedł do holu hotelowego niczym lunatyk.

Wszyscy ludzie siedzący w recepcji gadali jak najęci przez telefony. Dwaj policjanci z pistoletami wbiegli przez drzwi i popędzili po schodach. Gdy Russ spoglądał na nich, mężczyzna stojący obok odezwał się.

– Russell Sutton?

Był niski, przysadzisty i dziwnie pachniał. Jakby prochem.

– Kim pan jest?

Mężczyzna uniósł legitymację.

– Kenneth Swanwick, z CIA.

Russell pokręcił głową.

– Nie rozumiem.

– Rae Archer jest szpiegiem. My...

– To część filmu?

Teraz to agent był skonsternowany.

– Jakiego filmu?

– Tego, który kręcą przy wodospadzie.

Tamten wziął głęboki oddech.

– To nie film. – Jeszcze raz pokazał legitymację. – Użyliśmy loterii jako przynęty. Wiedzieliśmy, że Rae Archer jest szpiegiem, i chcieliśmy ją wziąć z zaskoczenia.

– Daj pan spokój. Kto jak kto, ale ja wiem, że nie mogłaby

szpiegować. – Mimo to w umyśle Russa zaczęło się krystalizować pewne poczucie dziwności.

– Wzięliśmy ją na przesłuchanie, a ona zabiła jednego agenta, zraniła innego, i uciekła, zbijając szybę w drzwiach balkonowych.

– To nie mogła być ona. Może ktoś po prostu jest do niej podobny.

– Właśnie! – rzekł Swanwick. – I myślę, że możemy tego dowieść.

– Chwileczkę. – Russell wskazał drzwi. – TO była...?

– Nie wiemy, kto to był. Twierdziła, że jest nią. Wyglądała jak Rae Archer. Miała jej odciski palców.

– Ale?

– Ale prawdziwa Rae Acher nadal jest w Kalifornii. Rozmawialiśmy z nią. Twierdzi, że nic o tym wszystkim nie wie, i raczej jej wierzymy.

Podeszła do nich atrakcyjna kobieta, której napięta twarz była, podobnie jak włosy, popielatobiała. Zaciskała bandaż na prawej ręce.

– To pan Sutton?

– Tak – rzekł Swanwick. – Jest trochę skołowany.

– A my niby nie. – Wlepiała w Russa spojrzenie dużych, szarych oczu. Byli tego samego wzrostu. Jej źrenice pod wpływem leków zrobiły się małe jak główki szpilek. – Angela Smith.

– I jest pani szpiegiem?

– Agentem śledczym.

Wpatrywał się w jej dziwaczne oczy.

– I to nie jest film.

– Bóg mi świadkiem, wołałabym, żeby był. Moglibyśmy skasować scenę i zacząć od nowa. – Następnie zwróciła się do Swanwicka: – Musisz jechać z policją. Prawnik powinien być na posterunku, nim tam dotrzesz. – Znów obróciła się do Russella. – Znał pan Rae Acher lepiej niż ktokolwiek inny. Był pan z nią bardzo blisko.

Skinął ostrożnie głową, a potem nią pokręcił.

– Niech pani da spokój, ona nie mogła tego zrobić. To wykluczone.

– Więc może to nie była ona – wtrącił szybko Swanwick. – Ale ktokolwiek to był, jest cholernie niebezpieczny i lata sobie wolno.

– Musimy porozmawiać, ale nie może pan iść do pokoju – rzekła Angela Smith. – Gliny tam teraz pracują. – Zabandażowaną ręką wskazała bar. – Wuj Sam postawi panu piwo.

Jeden z kilku stolików w niewielkim barze był wolny. Barman podszedł i przyjął zamówienie. Przez okno wychodzące na park i

przystań widać było tłum ciekawskich, utrzymywany w ryzach przez dwójkę policjantów w niepasujących do scenerii mundurach galowych.

– Niech pan spróbuje choć przez moment pomyśleć o Rae jako o szpiegu – rzekł Swanwick. – Czy kiedykolwiek miał pan wrażenie, że próbuje z pana wydobyć jakieś informacje?

Mieli denerwujący zwyczaj zmiany zdania.

– Niespecjalnie – odparł dość szorstko. – Pracujemy nad tym samym zadaniem. Bez przerwy o nim rozmawialiśmy. Podobnie jak wszyscy inni z projektu.

– Proszę się zastanowić... Au! – Wymachując ręką, kobieta uderzyła się w bolącą dłoń. – Podobno jest astronomem. Czy rzeczywiście sprawia takie wrażenie?

– Bez dwóch zdań. Musielibyście spytać doktor Dagmar, naszego głównego astronoma, by mieć absolutną pewność. Ale Rae wydaje się naprawdę znać na rzeczy. Wie znacznie więcej niż ja. Ja jestem tylko mechanikiem okrętowym, ale przez całe życie pasjonowałem się astronomią.

Swanwick skinął głową.

– Wykazywała szczególne zainteresowanie obronnymi albo militarnymi zastosowaniami tego obiektu? Artefaktu?

Zastanawiał się przez chwilę.

– Obronnymi? Jestem niemal pewien, że nie, bo osobiście zupełnie się tym nie interesuję. Zapamiętałbym, gdyby próbowała to ze mnie wydobyć.

Do baru wszedł policjant z ciężką reklamówką, w której niósł krótkolufową dubeltówkę. Swanwick wstał.

– Strzelał pan z tego do tej kobiety?

– W samoobronie. Ona...

– Dobra, dobra – - Policjant kiwnął na potężnego oficera, który szybko podszedł z kajdankami.

– To nie będzie konieczne – rzekł Swanwick, ale duży policjant odwrócił go brutalnie i zatrzasnął kajdanki. – Ona miała broń – powiedział Swanwick.

– A pan to trzymał w pokoju, żeby polować na myszki – zakpił pierwszy policjant, po czym odwrócił się do Russella. – Doktorze Sutton, proszę tu poczekać z tą panią. Wkrótce ktoś spisze pańskie zeznania.

Spoglądali za odchodzącą trójką.

– On do niej strzelił... z tego?

– I trafił. Odstrzelił jej rękę. – Na moment zaległa grobowa cisza.

Ludzie siedzący przy innych stolikach przyglądali im się. Kobieta głośno wypuściła powietrze.

– Gdzie tu jest toaleta?

Wskazał.

– Za stoiskiem z upominkami, wzdłuż korytarza, po lewej.

Podniosła torebkę.

– Zaraz wracam.

Wcale nie zdziwiło go to, że więcej jej nie zobaczył.

40.

Faleolo, Samoa, 15 lipca 2021

Po drugiej stronie rafy uzurpator trzymał się na stosunkowo głębokiej wodzie, powoli kierując się na zachód, ku lotnisku w Faleolo. Następnego dnia miał stamtąd wylecieć samolot do Honolulu.

Planował przybrać ludzką postać i wyjść na brzeg po zapadnięciu zmroku. Przez chwilę się ukrywać, a potem iść na lotnisko. Następnie załatwić sobie jakiś bilet, nie bacząc na brak paszportu i kart kredytowych. Mógł wyprodukować fałszywe pieniądze, ale nawet w normalnych okolicznościach próba nabycia drogiego biletu za gotówkę wyglądałaby podejrzanie. Może Samończykowi uszłoby to na sucho, ale uzurpator nie znał samońskiego na tyle, by uchodzić za tubylca.

Osiemdziesiąt czy dziewięćdziesiąt lat wcześniej po prostu odizolowałby kogoś, zabił go i wykorzystał jego dokumenty oraz bilet. Teraz mierzyla go sama myśl o tym. Może mógłby to zrobić mężczyźni, który odstrzelił rękę Rae. Bez niego świat stałby się lepszy.

Nim dotarł do Faleolo, wykoncypował lepszy plan. Nie całkiem bezpieczny, lecz gdyby coś poszło nie tak, uzurpator zawsze mógłby się schronić z powrotem w wodzie. Po jakimś czasie by się zorientowali. Ale w końcu z niejednego więzienia już uciekł.

Przepełnął pół mili za Faleolo, by się wydostać z zasięgu światła. Księżyc nie stanowił problemu, nie był jeszcze nawet w pierwszej kwadrze. Uzurpator ułokował się na płyciźnie i rozpoczął przemianę.

Okolo funta jego substancji stało się plastikową torbą pełną używanych pięćdziesięciu- i studolarówek. Kolejnych dwanaście funtów przeszło w lekką torbę z kompletem brudnych ubrań i

portmonetką zawierającą dość samońskich tala, by starczyło na kilka przejazdów taksówką i zakrapiany alkoholem wieczór; oprócz tego uniwersalny amerykański dowód tożsamości i kalifornijskie prawo jazdy, wystawione na osobę, którą w bólach stworzył. Newt Martin, typowy mieszkaniec tych stron świata: młody, niespokojny, uciekający przed czymś. Z pieniędzmi wystarczającymi na jedzenie, prochy i nocleg, może trochę więcej. Może o wiele więcej.

Zrobił sobie paszport, który mógł oszukać oko, ale nie komputer w punkcie kontrolnym. Około ósmej trzydzieści wypełził na brzeg, wyjął wodę z długich blond włosów i poszedł na lotnisko. Wsiadł do taksówki i kazał kierowcy zawieźć się pod zegar.

Plan działania był prosty. Znaleźć młodego Amerykanina, dostatecznie zdesperowanego, by tymczasowo „zgubić” portfel, paszport i bilet w zamian za sporą gotówkę. Gdy dzieciak dowie się, o co naprawdę chodziło, dawno już będzie po wszystkim.

„Zegar” jest wieżą z początków dwudziestego wieku, stojącą w centrum miasta i stanowiącą jego główny punkt orientacyjny. Uzurpator zapłacił taksówkarzowi za kurs i ruszył wzdłuż Beach Road ku przystani. Wiedział, że w połowie drogi do Aggie Grey’s znajduje się kilka obskurnych barów, ale nigdy w nich nie był. „Rae Archer” nie chodziła w takie miejsca. „Newt Martin” – jak najbardziej.

Bad Billy wyglądał obiecująco. Nawet z chodnika cuchnął rozlanym piwem i stęchłym dymem papierosowym. Z wnętrza dobiegał głośny rap sprzed dwudziestu lat. Uzurpator prześliznął się obok stojącego w drzwiach tłumu ludzi, którzy wyszli, by zaczerpnąć powietrza, i znalazł się w środku. Przy barze było tylko dwóch klientów; reszta albo grała w bilard, albo siedziała wokół małych stolików zastawionych napojami, rozmawiając głośno w dwóch językach. Jego doskonały słuch wychwycił trzeci: wciśnięta w kąt parka Francuzów szeptem komentowała otaczającą ją scenę.

Jedna z anglojęzycznych rozmów dotyczyła dziwnych zdarzeń, które tego dnia zaszły w Aggie. Pewien Samończyk miał kumpla w policji i mówił, że tamten twierdził, iż w jakiejś transakcji związanej ze szpiegostwem przemysłowym coś poszło nie tak.

Ta – mruknął jeden z rozmówców. Spluwy, superszpiedzy i stary Jackie Chan. Lipa. To po prostu kampania reklamowa filmu.

Chcąc zwrócić na siebie uwagę, uzurpator zamówił podwójne martini. Musiał wytłumaczyć, co to znaczy. Skończyło się półlitrową

szklanką taniego ginu z lodem i ćwiartką limony pływającą na wierzchu. (Jako że sam kiedyś był barmanką, znał zapach taniego ginu. Przywożono go ze znajdującej się pod miastem destylarni w wielkich, zrecyklowanych plastikowych butlach po napojach).

Aromat był interesujący: przypominał smak wody zgromadzonej w zęzie statku i wycieków oleju.

Po chwili obok uzurpatora pojawiła się równie aromatyczna samońska prostytutka.

– Co pijesz?

Była jeszcze młoda, ale zaczynała puchnąć.

Spadaj, pomyślał uzurpator. Odwal się, znikaj – przebiegał poszczególne dekady – spieprzaj, wypierdalaj, zabieraj dupsko, idź sprawdzić, czy cię nie ma za drzwiami. Zamiast tego rzekł:

– Martini. Postawić ci?

– A co będę musiała za to zrobić?

– Nie o ciebie mi chodzi.

Pochyliła się na stołku. Krótka spódniczka podwinęła się, bezpretensjonalnie odsłaniając gołe pośladki.

– Znam paru facetów...

– To też nie. – Przywołał barmankę, wskazał palcem swój drink, a następnie miejsce przed dziewczyną. – Wiesz, gdzie sprzedają prochy?

– O, w mordę. – Rozejrzała się. – Wszędzie pełno glin. Po tej zadymie w Aggie's.

Barmanka przyniosła drinka, a uzurpator celowo wyciągnął gruby plik banknotów i zaczął w nim grzebać w poszukiwaniu dwudziestki.

– Nie było mnie w mieście. Widziałaś to?

– Nie, co ty, to było w południe. Jeszcze spałam. – Gapiała się na portfel, póki frajer go nie schował. – Mogę ci przynieść, co tylko chcesz. Nie powinienesz łązić po ulicach, gliny wyłapują wszystkich palagi, których nie znają. – „Palagi” oznaczało białego człowieka.

– Czekał chwilę. – Poszedł do ubikacji, pojedynczej, śmierdzącej kabiny, i siedząc w przyćmionym świetle zmienił się nieznacznie. Wrócił do baru z tymi samymi rysami, lecz ciemną skórą i czarnymi włosami.

– No, nieźle. – Potarła jego policzek palcem, który następnie obejrzała. – Jak długo trzyma?

– Dzień do dwóch. A ty jak myślisz, co się wydarzyło w Aggie

Grey's?

– Mówią, że to wyglądało jak jakiś kaskaderski wyczyn. Najpierw się strzelali, a potem ten gość wyskoczył przez okno, spadł na to coś nad drzwiami...

– Na markizę?

– No. I potem przeleciał jak rakieta przez ulicę i park i wskoczył do wody w porcie. Ponoć odstrzelili mu rękę, wszędzie było ful krwi, ale on nawet nie zwolnił, jak w kinie.

– Filmowcy coś mówili?

– Mówią, że to nie oni, ale kto by tam wierzył.

– Jasne. Dopij i spadamy stąd.

– Gdzie?

– Po towar. Do dilerów. – Wypił pół martini jednym haustem. Dziewczyna też próbowała i zakrztusiła się. Barmanka przyniosła jej wody i spojrzała na uzurpatora spođe łba.

– Może wystarczy – rzekł, gdy dziewczyna ochłonęła i zaczęła oddychać w miarę normalnie. – Cholera wie, z czego oni to robią.

Dziewczyna westchnęła, skinęła głową, zsunęła się ze stołka i stanęła na chwiejnych nogach.

– Jest jedna impreza. Zabiorę cię tam i poznam z paroma kolesiami, a ty się mną zajmiesz.

– Znaczy?

– Sto dolców?

– Zobaczymy. – Chwycił ją za ramię i skierował ku drzwiom. – Jak będzie towar, to będzie forsa.

Szli wzdłuż Beach Road, mijając kilka przecznic, a potem skręcili w żwirową alejkę bez nazwy. Dziewczyna zatrzymała się obok toyoty, w której było więcej rdzy niż farby, i ze skrzypieniem otworzyła szarpnięciem drzwi po stronie kierowcy.

– Wsiadaj.

– Możesz prowadzić?

Drzwi po jego stronie nie chciały się otworzyć. Dziewczyna przechyliła się i dwukrotnie pchnęła je mocno.

– Spoko, spoko. Właż.

W środku załatywało pleśnią i marihuaną.

Za trzecią próbą silnik, starszy niż właścicielka wozu, w końcu ożył. Samochód szarpnął i potoczył się wzdłuż alejki. Dziewczyna jechała z pijacką ostrożnością, ruchem falowym.

– Na pewno nie chcesz, żebym ja prowadził? – Nie mógł umrzeć, ale nie chciał zwrócić tym na siebie uwagi policji.

– Nie, to jest super. – Dotarli do wijącej się pod górę drogi, którą uzurpator rozpoznał jako tę prowadzącą do dworku Stevensona. Na szczęście ruch był niewielki. Dziewczyna milczała, skupiając się na tym, by trzymać się środka jezdni.

Minęli Vailimę i znaleźli się w zalesionym terenie bez domów przy drodze.

– Szukaj pomarańczowej plastikowej wstążki po swojej stronie – powiedziała, zwalniając do żółtego tempa. – Zawiązanej wokół pnia.

– Jest! – zawołał, po czym uświadomił sobie, że ludzkie oczy by jej nie dostrzegły.

– Gdzie? Nie widzę. – Przechyliła się przez kierownicę i prawe koła zachręściły na żwirze. Skręciła w lewo, wjeżdżając na przeciwległy pas i zmuszając vespę do zjazdu z drogi. Kierowca wrzasnął coś po samońsku, ale jechał dalej.

– Wierz mi. Jest tam. – Po przejechaniu kilkuset jardów reflektory wychwyciły jasnopomarańczową, wypłowiałą od słońca taśmę ostrzegawczą. Dziewczyna skręciła w pełną drogę.

– Ty to masz wzrok. – Niewiele widzieli przed sobą. Uzurpator czekał. Wpadali w tak głębokie dziury, że resory z dudnieniem uderzały o ziemię, a dziewczyna ze śmiechem waliła głową o sufit.

Dotarli do domu w stylu zachodnim – nietypowego w tych stronach jednopiętrowca. Zza spuszczonej żaluzji dochodziła odrobina światła, a na biegnącej wokół domu żwirowej drodze stało sporo samochodów: niektóre zdezelowane, jak ich własny, ale także nowe wozy, dwie taksówki i lśniąca limuzyna.

Zbyt wiele osób, pomyślał uzurpator. Bądź ostrożny.

Ruszyli do domu po pomoście z desek, położonym na błotnistym gruncie. Budynek pachniał drewnem sosnowym i lateksową farbą. Nowo wybudowany. Interesy najwyraźniej szły dobrze.

Dziewczyna nacisnęła dzwonek i drzwi frontowe uchyliły się. Wysoki, czarnoskóry mężczyzna spojrzał na nią z góry.

– Mo’o. Czyżbyś znalazła jakąś forszę?

Wskazała kciukiem uzurpatora.

– On ma mnóstwo.

Murzyn długo patrzył mu w oczy.

– Skąd mam wiedzieć, że mogę ci ufać?

– Nie możesz. Nie znam tu nikogo. Ta pinda powiedziała, że znajdzie tu dilerów.

– Kupujesz czy sprzedajesz?

– W tej chwili kupuję.

– Pokaż kasę. – Zapalił latarkę. Uzurpator otworzył portfel i zamachał plikiem banknotów. Facet mruknął coś, po czym wycelował latarkę prosto w jego twarz.

– Zaryzykujemy. – Otworzył drzwi nieco szerzej. – Wiesz, że jeśli jesteś gliną, twoja rodzina zginie, i to na twoich oczach. A na końcu ty sam.

Wzruszył ramionami.

– Nie jestem gliną i nie mam rodziny.

Murzyn przepuścił go, ale zatrzymał dziewczynę.

– Mam forszę! – zaprotestowała. – On za mnie płaci!

– Sto dolców – rzekł uzurpator, po czym wyjął z portfela dwie pięćdziesiątki i podał jej.

Murzyn pozwolił banknotom zmienić właściciela, ale wciąż blokował jej przejście.

– Wracaj do domu, Mo’o. Nie chcę mieć więcej problemów z twoją matai.

– Mam dwadzieścia jeden lat. A stara to suka.

– Jesteś pijana. Prześpij się w wozie.

– Zaczekaj na mnie w samochodzie – rzekł uzurpator, dając jej znak, żeby odeszła. – Dam ci drugą stówę, jak dostanę swój towar.

Dziewczyna oddaliła się, mamrocząc coś i potykając się.

W środku wyglądało tak, jakby impreza się skończyła, ale nikt nie poszedł do domu. Było tam około pięćdziesięciu osób – stojących, siedzących albo zemdlnych. Na stole stały ułożone na chybił trafił przebrane butelki wina i mocniejszych trunków. Powietrze byto szare od dymu. Wyodrębnił zapachy poszczególnych marek, drogich i tanich cygar, zapach kokainy, przypominający palony plastik, i ciężką woń haszyszu. Nikt nie palił heroiny, ale wokół leżało mnóstwo igieł, na barze zaś, w szklance przezroczystej cieczy, stały zwrócone czubkami w dół trzy strzykawki.

Pokój wyglądał na nieukończony: ściany świeżo malowane, z poprzipinanymi tu i ówdzie plakatami podróżniczymi i reprodukcjami Gauguina. Nowe, tanie, prowizorycznie ustawione meble.

– No więc? – zapytał Murzyn. – Co ci skołować?

– Chyba hasz... – Uzurpator wrócił myślą do czasów swojej pracy w cyrku. – Masz squidgy blacka?

– Zapomnij. Większość tych gości pali sztabki.

Uzurpator pokręcił głową.

– Nic marokańskiego. A co w ogóle macie z Azji?

– Czerwoną i złotą fokę. Ale to kosztuje.

– Ile chcesz za mały woreczek złotej?

Facet zażyczył sobie 250 dolarów. Uzurpator stargował do 210. Zabrał towar i szklaną fajkę wodną, a potem usiadł na składanym krześle w kącie, z którego mógł obserwować pokój.

Haszysz miał ciekawy smak. Mocno się palił, pewnie ze względu na domieszki. Może dodali trochę asfaltu.

Uzurpator rozglądał się za kimś, kto wyglądałby na przyzwyczajonego do posiadania pieniędzy, ale chwilowo splukanego. Najlepiej, żeby to nie był tubylec. Pod tym względem nadawała się mniej więcej jedna trzecia obecnych tu mężczyzn.

Idealny byłby Amerykanin, a gdyby w dodatku był podobny do uzurpatora, sprawa stałaby się łatwiejsza do wytłumaczenia. Był tam jeden Murzyn o dość jasnej karnacji, całkiem do niego podobny, tylko o kilka cali wyższy i znacznie cięższy. Siedział na składanym krześle tyłem do przodu, z brodą opartą na przedramieniu, z uwagą przysłuchując się leniwej kłótni prowadzonej przez dwóch mężczyzn siedzących po turecku na podłodze. Miał drogie, ale brudne ubranie.

Trzymał pustą fajkę wodną. Uzurpator podszedł do niego chwiejnym krokiem, usiadł na podłodze i ponownie zapalił swój towar.

– A ty jak myślisz? – zapytał nowo przybyłego jeden z dyskutantów. – Ile lat ma wszechświat?

– Trzynaście przecinek siedem miliarda. Niestety, połowy z tego czasu nie pamiętam.

Drugi uczestnik sporu uścisnął mu dłoń.

– Blisko. Szesnaście miliardów.

– On używa Tory i ogólnej teorii względności – rzekł Murzyn. – Ładnie pachnie.

Uzurpator wyciągnął paczuszkę w jego kierunku.

– Złota foka. Poczęstuj się. – Potem zwrócił się do tego od Tory: – Mogę ci dać te 2,3 miliarda forów. To sześć bardzo długich dni?

I wdał się w wyjaśnienia, jak mały był wtedy wszechświat. Drugi z

dyskutantów gapił się na niego oczami spaniela, który za wszelką cenę stara się nie zasnąć.

Czarny odłamał maleńki kawałeczek, zwinął go w kulkę i powąchał. Potem pokiwał głową i oddał paczuszkę.

– Dzięki.

Uzurpator zapalił drewnianą zapalkę i podstawił mu. Ten wciągnął głęboko dym i trzymał wdech. Po minucie zrobił powolny wydech i z zadowoleniem skinął głową.

– Czego potrzebujesz?

– A co, nie wierzysz w spontaniczny poczęstunek?

– Nie jesteś aż tak pojebany, żeby się spontanicznie dzielić złotą foką.

– Słuszna uwaga.

– W takim razie chcesz czegoś, ale nie towaru. Czyli albo seksu, albo pieniędzy. – Powoli kołysał swoją wielką głową w przód i w tył. – Tego też nie mam.

– Jest jeszcze jedna rzecz.. – Uzurpator podniósł się z pozornym wysiłkiem. – Pogadamy na zewnątrz?

Murzyn skinął głową, ale nie ruszył się z miejsca. Uniósł jeden palec i gapił się na niego.

– No i nie mogę nikogo zabić. Nie chcę znowu przez to przechodzić. – Dwaj chronologowie unieśli na dźwięk tych słów twarze, które nic nie wyrażały.

– To nic z tych rzeczy. Chodź.

Mężczyzna wstał i ruszył z przesadną ostrożnością, być może bardziej odurzony, niż się wydawał, gdy siedział i rozmawiał. Uzurpator powiedział gospodarzowi, że wychodzą tylko na chwilę.

Gdy drzwi się otworzyły, jakiś zwierzak odskoczył i czmychnął. Poza tym w ciemnym lesie panowała cisza, jeśli nie liczyć kapania wody.

– Sprawa jest taka: muszę jutro wylecieć do Ameryki, ale nie mam biletu ani paszportu.

Facet zmrużył oczy i przyglądał mu się w słabym świetle, dochodzącym zza żaluzji.

– No i?

– Masz paszport?

– Jasne. Ale nie ma szans, żebyś mógł się pode mnie podszyć.

– To nie problem. Robiłem już takie rzeczy.

– No ale wtedy ja będę tu uziemiony. I co z tym zrobię?

– Co ty. Odeślę ci go ekspresem z L.A. Ale nie musisz mi ufać. Jeśli go nie dostaniesz, odczekaj parę dni, a potem idź do ambasady i zgłoś kradzież. Sprawdzą cię i wydadzą tymczasowy, który będziesz mógł wymienić, gdy wrócisz do Stanów.

– Musiałbym się zastanowić. Ile?

– Pięć kawałków z góry, plus koszty biletu. Pewnie zostały tylko na pierwszą klasę, czyli kolejny kawałek. Ale dam ci następnych pięć, jeśli bez problemów dotrę do L.A. Przyślę je w paczce razem z paszportem.

– I tu mam ci po prostu zaufać? Całkiem obcemu facetowi, którego spotkałem w dilerni?

– Potraktuj to jako moją polisę ubezpieczeniową. Nie leży w moim interesie, żebyś zgłaszał kradzież paszportu.

Murzyn zamyślił się, a uzurpator wykorzystał ten moment, by przyjrzeć się jego oczom z rozszerzonymi źrenicami i na wszelki wypadek skopiować wzór na siatkówce.

– Dodaj dwa woreczki złotej foki i załatwione. – Podali sobie ręce, co pozwoliło uzurpatorowi powielić odciski palców. Potem spisał adres, na który miał wysłać pieniądze i paszport.

Kazał tamtemu zaczekać w drzwiach, a sam poszedł z powrotem, by kupić haszysz. Cztery stowy, powiedział diler, i ani grosza mniej, chyba że weźmiesz znacznie więcej towaru. Za dziesięć woreczków zapłaciłbyś tysiąc pięćset. Uzurpator odmówił i wyszedł z dwoma.

Jego wspólnik chciał je wziąć od razu, ale uzurpator odmówił. Dopiero jak będę mieć bilet w ręku, rzekł. Z chrzęstem ruszyli po podjeździe do zardzewiałej toyoty. Dziewczyna spała, rozłożona w fotelu kierowcy, chrapiąc cichutko. Uzurpator łagodnie przeniósł ją na tylne siedzenie i wyjął jej kluczyki z kieszeni.

Murzyn także przysnął, gdy jego towarzysz prowadził, zmierzając z powrotem do miasta. Wolał się trzymać z dala od Beach Road i centrum: policja prawdopodobnie rozpoznałaby samochód i mogłaby się zastanawiać, któż to nim kieruje. Nie znał bocznych dróg, więc jechał „na czuja”, trzymając się z grubsza kierunku południowo-zachodniego, póki nie dotarł do ulicy Fugalei. Wiedział, że po jej prawej stronie znajduje się centralny rynek, Maketi Fou, a po lewej mokradła. Następnie dojechał do plaży i przy pchlim targu skręcił w drogę na lotnisko.

Niespieszny dojazd trwał pół godziny. Uzurpator łagodnie

przejeżdżał przez garby, by nie obudzić pasażerów. Lotnisko było jaskrawo oświetlone, a na parkingu czekało wiele samochodów i taksówek. Samolot, którym zamierzał wylecieć nazajutrz, miał za godzinę wylądować. Uzurpator pamiętał, że kiedy przyleciał tu przed miesiącem, kasa była otwarta mimo późnej godziny.

Murzyn przetarł oczy i ziewnął. Nie było miejsca, by mógł się przeciągnąć.

– OK. Daj mi forszę, a ja pójdę i kupię bilet do L.A. Potem wrócę i odbiorę swój hasz.

– Prawie dobrze. – Uzurpator podał mu zwitek banknotów owiniętych gumką. – Z tym że ja będę ci towarzyszył. Hasz zostanie tutaj na wypadek, gdyby mieli psy. Potem wrócimy. Dasz mi bilet i paszport, zachowasz resztę i hasz. A ja odwiozę cię do miasta. – Zaparkował niedaleko poczekalni.

– Zgoda, ale bez odwożenia. Pojadę taryfą.

– A co, nie ufasz mi?

Murzyn prychnął.

– Jak już dostaniesz swój bilet i paszport, będę więcej wart dla ciebie martwy niż żywy.

– Nawet mi to nie przyszło do głowy – rzeki szczerze uzurpator. – Chyba wiesz o umyśle przestępcy więcej niż ja.

– Zapytaj gościa, do którego należę – odparł tamten.

Wysiedli i weszli do budynku. Parter był otwarty, bez ścian.

Wokół na plastikowych krzesłach siedziały dziesiątki osób, czytające lub oglądające telewizję. Grupka dziewcząt i chłopców w tradycyjnych strojach gawędziła wesoło. Mieli przywitać wracających ze Stanów śpiewem i tańcem.

Uzurpator poszedł na górę, do baru, a jego wspólnik ruszył w stronę kasy. Nie było kolejki, a przy okienku siedziała tylko jedna kasjerka, która bynajmniej nie starała się wyglądać na zadowoloną lub czujną.

Kupił sobie piwo i usiadł w pobliżu schodów, skąd mógł obserwować transakcję. Już sobie wyobrażał, co by się działo w Stanach, gdyby ktoś po północy próbował kupić bilet międzynarodowy za gruby plik pięćdziesiątek i setek, w dodatku nie mając żadnego bagażu.

Kobieta zaś zachowywała się, jakby klient kupował bochenek chleba, choć w paszport zerknęła.

Po powrocie do samochodu uzurpator sprawdził paszport i bilet, po czym podał Murzynowi kluczyki.

– Możesz prowadzić?

– Jak będę jechał tak wolno jak ty, to spoko. Chcesz tu czekać do wylotu?

Uzurpator sięgnął na tylne siedzenie i wetknął banknot w kieszeń koszuli dziewczyny.

– Wracaj do dilerni i nie mów nikomu, gdzie byłeś.

– Mogę po prostu wrócić, zabrać swój wóz i jechać do domu. Wystarczy mi wrażeń na jedną noc. A jak dziewczyna się obudzi?

Zastanowił się.

– Najlepiej będzie, jeśli jej powiesz, że wysadziłeś mnie pod jakimś domem w mieście. I... nie wracaj jutro na lotnisko, bo mogą z tego być kłopoty.

– Jasne. Sam na to wpadłem. – Odpalił silnik, po czym pokręcił głową. – To wariactwo.

– Zaglądaj do skrzynki pocztowej. – Przez chwilę spoglądali na siebie; potem Murzyn odjechał.

Uzurpator miał kilka spraw do załatwienia, ale nie musiał się spieszyć; bramkę otwierali dopiero o dwunastej. Wrócił do środka, zostawił paszport i portfel w zamykanej szafce, a potem wyruszył na poszukiwanie dwudziestu funtów ciała.

Za dnia byłoby to łatwe: wystarczyło wejść do supermarketu i kupić dwadzieścia funtów mięsa. Ale nie chciał porywać nikomu psa ani prosiaka, więc musiał się udać do morza.

Wrócił do drogi i począł się oddalać od miasta. Wszyscy już spali, a chmury przysłoniły gwiazdy; pomiędzy pojawiającymi się od czasu do czasu reflektorami świat był czarny jak smoła. Uzurpator dotarł do ścieżki prowadzącej na kamienistą plażę i cichutko wśliznął się do wody.

Nie było potrzeby udawać ryby. Po prostu rozciągnął nogi w coś przypominającego płetwy, rozluźnił szczęki i poszerzył sobie usta i gardło tak, by móc przełknąć sporą rybę. Dopłynął do rafy i rozglądał się, używając bardziej nosa i skóry niż wielkich oczu – jak rekin, potrafił wyczuć zmianę w potencjale elektrycznym, oznaczającą, że jakaś spora sztuka znalazła się w opałach.

Oto jego kupon na posiłek: poczuł lekkie mrowienie i rzucił się w tamtą stronę, by ujrzeć rekina rafowego zmagającego się z tuńczykiem

paskowanym o połowę mniejszym od niego. Uzurpator zabił rekina jednym ugryzieniem, odgryzając mu strunę grzbietową, po czym bez trudu złapał okaleczonego tuńczyka i pożarł jednym kęsem. Następnie wrócił i skonsumował także rekina.

Cała dwójka w sumie miała sporą masę. Popłynął z powrotem do brzegu, wyhodował sobie stopy w butach i ruszył ku lotnisku jako duży, biały Amerykanin. Wziął taksówkę i pojechał do miasta.

Bad Billy nadal był otwarty – reklamował się jako bar, który zamyka podwoje ostatni na zachodniej półkuli – ale uzurpator nie chciał zwracać na siebie uwagi, więc poprosił taksówkarza o zatrzymanie się przy pierwszym motelu z wolnymi miejscami, o nazwie Klub Lodge, gdzie wynajął mały pokój i przez kilka godzin leżał pogrążony w myślach.

Nienawidził myśli, że opuszcza artefakt oraz Russa i rozważał możliwość ujawnienia się w swojej prawdziwej postaci: jako istoty, która ewidentnie pochodzi z innej planety i prawdopodobnie jest w jakiś sposób związana z tym niesamowitym wehikułem. Ale nie chciał skończyć jako okaz do badań, a oni prawdopodobnie potrafiliby dostatecznie poznać jego możliwości, by zbudować klatkę, z której nie zdoła zbiec.

Czy Russ by go chronił? Gdyby wrócił jako Rae? Nie; wiedział już, że Rae nie jest prawdziwą kobietą i że go oszukała.

Mógł oszukać go znowu. Gdy sprawa przycichnie, mógł wrócić w ciele innej kobiety i ponownie zaskarbić sobie jego miłość. Nawet nie musiałyby grać.

Ale pozostawanie w okolicy Samoa nie byłoby rozsądne. Za dzień czy dwa, gdy tylko tamci się zorientują, co im się wymknęło, na wyspie zaroi się od amerykańskich agentów rządowych. A nawet gdyby się nie zorientowali i sądzili, że uzurpator jest po prostu jakąś podrasowaną istotą ludzką albo urządzeniem szpiegowskim, i tak się tu zlecą, żeby go schwytać. Miał nadzieję, że szukają jednorękiej kobiety.

Odczekał niemal do dziesiątej, po czym ruszył na miasto. Chodnik był dość zatłoczony, by kolejny opalony turysta nie rzucał się w oczy. Wcześniej, jako Rae, znalazł kościelny sklepik charytatywny. Poszedł tam i kupił walizkę oraz kilka kompletów odzieży. W bardziej turystycznym miejscu dokupił kilka jaskrawych koszul i pamiątkowe lavalava. Do tego dołączył zestaw przyborów toaletowych ze sklepu

wielobranżowego i kilka pamiątkowych buteleczek likieru „Robert Louis Stevenson”. W kawiarnianej łazience pozbył się części pasty do zębów i żelu do golenia, żeby nie wyglądały na świeżo kupione, po czym wziął taksówkę i pojechał na lotnisko.

Było tam trzech policjantów w mundurach i jedna Samoanka w stroju urzędowym, wyraźnie lustrująca otoczenie. Uzurpator uświadomił sobie, że jego wybór tożsamości może się okazać katastrofalny w skutkach, jeśli Scott Windsor Daniel, afroamerykański miłośnik haszyszu, jest znany policji.

Najlepiej się pospieszyć. Poszedł do zatłoczonej toalety i czekał w kolejce do kabiny. Gdy już zamknął za sobą drzwi, poddał się nieprzyjemnej operacji zmiany twarzy i dłoni tak, by pasowały do Daniela. Zmienił też koszulę, wkładając jedną z kupionych „w prezencie”, która w tych okolicznościach miała pełnić rolę barw ochronnych.

Cała operacja zajęła piętnaście minut. Jeśli ktokolwiek zauważył, że do kabiny wszedł biały, a wyszedł czarny, nikt nic nie powiedział.

Pierwszym testem była kontrola paszportowa. Miejskowa kobieta sprawdziła mu dokumenty i wzór siatkówki oraz pobrała opłatę lotniskową, ale za nią, w kabinie, siedziała inna, z „wywiadu Stanów Zjednoczonych”, z prawą ręką na temblaku – ta sama, która poprzedniego dnia omal nie zastrzeliła Rae.

Żadna z nich nie zwróciła szczególnej uwagi na Scotta Winsora Daniela, więc może rzeczywiście szukały kobiety. Drobnej, białej, jednorękiej? Sprawdziły jednak odciski palców. Kobieta z wywiadu włożyła lupę jubilerską i niezdarnie, posługując się jedyną zdrową ręką, porównała odcisk kciuka z tym, który miała na karcie.

Kontrola bagażu była równie prosta, co napełniło go otuchą. Nikomu nie przyszło do głowy, że osoba, której szukają, potrafi zmieniać wygląd. Przejrzeli nieciekawo bagaż Daniela, obmacali go skanerem, po czym puścili walizkę po taśmie, a jego przepuścili przez bramkę optyczną do rozbrzmiewającej wielojęzycznymi rozmowami poczekalni.

Usiadł przy barze i siorbał coś, co podobno było chardonnayem, kartkując samoński magazyn „Observer”. Strzelanina w Aggie Grey’e była na pierwszej stronie. Sprawa przybrała ciekawy obrót: filmowcy „nie byli upoważnieni do informowania”, czy wypadki stanowiły część kręconego przez nich thrilleru. Prawdopodobnie ktoś

ich poinstruował; wszak byli wytwórną amerykańską i gdyby nie współpracowali, rząd mógłby im robić problemy. Możliwe też było, że sami zaczęli się krygować, by sobie zrobić darmową reklamę.

Wywiady z ludźmi z Aggie Grey's i policją także niewiele mówiły. Niektórzy turyści zgadzali się, że „facet”, który przebiegł przez park i wskoczył do wody w porcie, wyglądał, jakby miał tylko jedną rękę. Byli przekonani, że to scena z filmu.

Trudno coś planować, gdy ma się tak skąpe dane. W Honolulu miał się przesiąść na Delta Airlines, ale musiał czekać sześć godzin. Może gdy się tam znajdzie, powinien znów zmienić tożsamość na wypadek, gdyby wpadli na trop Daniela. W takim wypadku na lotnisku w Los Angeles czekałoby go gorące powitanie. Gdyby pan Daniel się tam nie zjawił, bez wątpienia znaleźliby prawdziwego na Samoa.

Ale mogli też czekać już w Honolulu. Co zrobiliby wtedy? Lotnisko nie leżało zbyt daleko od morza, ale trudniej było ewakuować się stamtąd niż z Pokoju Skrzydłowego w Aggie Grey's. Prawdopodobnie spodziewali się kogoś o niezwykłej sile. Wszystko zależało od tego, ile powiedzieli policji agenci. Jedną z możliwości była taka, że będą nań czekać „policjanci, polujący na dilerę z paszportem pana Daniela”, co znacznie ułatwiałoby mu zadanie.

Odłożył rozważania na później i powrócił do swego zwykłego zajęcia, jakim było analizowanie 31 433 bitów informacji. Albo szumu. Kontynuował metodyczną analizę niezliczonych permutacji, wsiadając do samolotu, gdy tylko było można, zajmując swoje miejsce w pierwszej klasie i na chybił trafił wybierając film na monitorze. Skinął głową w odpowiedzi na ofertę szampana i udzielał automatycznych odpowiedzi na automatyczne pytania stewardessy.

Gdyby poświęcił jedną sekundę każdej możliwej kombinacji 31 433 cyfr, trwałoby to tyle, ile istniało Cesarstwo Rzymskie. Miał wprawdzie czas, ale żywił też nadzieję, że uda mu się odnaleźć jakiś wzór w znacznie krótszym czasie.

Sąsiedni fotel był pusty, więc czas płynął szybko, w potoku zer i jedynek. Uzurpator wynurzył się z pięciogodzinnej zadumy dopiero wtedy, gdy podwozie uderzyło o asfalt na Hawajach.

Pierwsza klasa wysiadała demokratycznie, przepuszczając po jednym szarym obywatelu między członkami elity. Uzurpator wszedł na lotnisko z obojętnym wyrazem twarzy, rozglądając się bez szczególnego zaciekawienia, jak każdy przesiadający się facet, który

musi przejść przez niewygodny kontroli paszportowej i przekierowania bagażu.

Z początku nie dostrzegł nic niezwykłego. Potem jednak zauważył, że przy każdym punkcie kontrolnym z napisem „Obywatele Stanów Zjednoczonych”, pomiędzy kontrolą paszportową a bagażową, stoi potężny policjant.

Może zawsze tam byli. Ale jakoś nie przypominał ich sobie z poprzednich lotów, kiedy kursował między Australią a Stanami. Lepiej nie ryzykować.

Były tam dwie łazienki na potrzeby osób gotowych dla lepszego samopoczucia stanąć na końcu kolejki. Uzurpator skierował się do męskiej. Był szybki.

Gdy wszedł za ściankę oddzielającą korytarz od ubikacji, pracownik z wózkiem wychodził właśnie z pomieszczenia magazynowego. Uzurpator upewnił się, że nikt nie widzi, po czym zakrył dłonią usta i nos tamtego i wepchnął go z powrotem do pomieszczenia.

Tam uderzył go w brodę na tyle mocno, by oszołomić, i włączył światło. Pomieszczenie miało rozmiary małej garderoby i stały w nim regały z zaopatrzeniem. Uzurpator chwycił rolkę szerokiej taśmy klejącej i starannie zakleił mężczyźnie usta oraz pozalepiał kwadratami oczy po uprzednim zeskanowaniu wzoru siatkówki. Następnie rozebrał go i mocno skrępował taśmą, a sam włożył jego mundurek.

Pobrał odciski palców, przez chwilę przyglądał się tamtemu, a następnie zgasił światło i skoncentrował się na przemianie w niego. Nie była zbyt bolesna. Musiał zmienić barwę skóry i rysy twarzy. Potem wyszedł, pchając przed sobą wózek i zamykając drzwi na klucz.

Ile miał czasu? Jeśli ci gliniarze czekali na Daniela, zaledwie minuty.

Zawahał się przed drzwiami z napisem „Wstęp tylko dla personelu”, zastanawiając się, co może się znajdować po drugiej stronie. Mogło to być pomieszczenie, do którego sprzątacze chodzili na papierosa. Ale mogło też być pełne nerwowych ochroniarzy.

Skręcił wózek i ruszył w stronę punktu odprawy celnej. Było tam sześć kolejek dla obywateli amerykańskich i trzy dla obcokrajowców; ponadto jedna z napisem „Personel”.

Dotarł do połowy tej najkrótszej, gdy nagle ktoś krzyknął:

– Hej! Palancie!

Przystanął i odwrócił się. Gliniarz powiedział coś gniewnym tonem. Niestety – po hawajsku.

Uzurpator wzruszył ramionami, mając nadzieję, że nie każdy, kto wygląda na Hawajczyka, mówi po hawajsku.

– Znasz przepisy – rzekł policjant. – Gdzie, u diabła, leziesz?

– Do wozu – odparł uzurpator. – Mam obiad w torbie chłodniczej.

– Ta, płynny obiad. Tylko mi zostaw ten cholerny wózek po tej stronie, OK? – Uzurpator wrócił i zaparkował wózek na uboczu.

Gdy znalazł się na zewnątrz, mundurek sprzątacza bardziej wyróżniał go z tłumu, niż pozwalał się ukryć. Łapanie taksówki albo wsiadanie do autobusu w takim stroju za bardzo rzucałoby się w oczy. Popęnił błąd w planowaniu, nie zabierając ze sobą ubrania Daniela.

„Wyhodowanie” neutralnego ubrania i pozbycie się stroju sprzątacza potrwałoby jakieś dwadzieścia minut. Za długo. Zaryzykował, wskoczył do sklepu z pamiątkami i kupił dość skromny ubiór turystyczny – koszulę hawajską, bermudy i klapki. Przebrał się w ubikacji – zmieniając też skórę na bardzo bladą – a mundurek wyniósł ze sklepu w papierowych torbach.

W kolejce na postojach taksówek zaczął opracowywać strategię. Kazał taksówkarzowi zawieźć się do Hiltona w centrum miasta, ale przez ostatnią milę uważnie rozglądał się za bardziej obskurnym lokum. Crossed Palms wyglądało na odpowiednio zapuszczone.

Zapłacił za taksówkę, dodając skromny napiwek, i przeszedł przez hol Hiltona na drugą stronę. W drodze powrotnej do Crossed Palms wyrzucił mundurek sprzątacza do kubła.

Kopcząca jak komin kobieta z recepcji z radością wynajęła „Jamesowi Bakerowi” pokój na trzy dni, płatny z góry gotówką, nie prosząc o dowód tożsamości i nie martwiąc się brakiem bagażu.

Pokój był ciemny, cuchnący stęchlizną i zdecydowanie niewart 150 dolarów za noc. Ale uzurpator mógł w końcu odsapnąć – po raz pierwszy od chwili, gdy drzwi Pokoju Skrzydłowego otwarły się, by wpuścić niepożądanych gości.

Wiedział, że nie należy się spieszyć. Tożsamość, pod którą uda się z powrotem do Apii, powinna być absolutnie kuloodporna. Mógłby wrócić do Kalifornii i odtworzyć postać studencika ogarniętego pasją surfingu, ale dlaczego nie miałby zostać na Hawajach? Leżały bliżej

Samoa, były więc znacznie bardziej prawdopodobnym punktem pochodzenia dla poszukiwacza pracy.

A wkrótce miało się pojawić stanowisko do obsadzenia. Recepcjonistka projektu, Michelle, była w siódmym miesiącu ciąży. Zamierzała odejść i poświęcić się wychowywaniu dziecka.

Uzurpator miał więc około miesiąca na skonstruowanie idealnej kandydatki do objęcia tego stanowiska i umieszczenie jej na Samoa.

Praca na recepcji była w sam raz. Nie ośmieliłby się kandydować ponownie na technika laboratoryjnego, ale chciał być gdzieś, gdzie Russ będzie mógł go dostrzec i zakochać się.

Bez wątpienia został przyłapany dlatego, że podał się za rzeczywistą osobę i wpadł dzięki jakimś rutynowym procedurom bezpieczeństwa. „Rozmawialiśmy z prawdziwą Rae Archer” – tylko tyle wiedział i to mu wystarczało. Wykorzystanie istniejącej osoby było lenistwem. Teraz musiał stworzyć kobietę od zera.

Wiedział dokładnie, co podoba się Russowi w kobietach, ale zbudowanie kogoś jak na zamówienie raczej nie byłoby rozsądne – nawet gdyby sam zainteresowany nie nabrał podejrzeń, ktoś inny mógłby się zorientować.

Nie mogła więc być skromną, szczupłą orientalną dziewczyną po studiach astronomicznych. Ani pucułowatą blondynką rasy kaukaskiej po biologii morskiej. Najlepiej, gdyby ta kobieta na pierwszy rzut oka nie wyglądała (w ocenie Jan, ale i Russa) na zbyt seksowną. Mogłaby pracować nad Russem powoli, wykorzystując stare sposoby.

Nie podobało jej się, że ma go oszukiwać. Kochała go bardziej niż kogokolwiek dotąd na Ziemi. Ale musiała dotrzeć do artefaktu albo poprzez zaufanie, albo podstępem, a Russ był oczywistym kandydatem do obu sposobów.

„Czym jest ta rzecz, którą zwą miłością?” – pytała piosenka, kiedy uzurpatorka wyszła z wody po raz drugi, a stulatkwie z uroczystości w Apii byli jeszcze napalonymi młodzieńcami. Czy nawet teraz, osiemdziesiąt „lat później, po tych wszystkich książkach i sztukach, wierszach i piosenkach, mogła naprawdę poznać odpowiedź?

Tak sądziła. Odpowiedzią był Russ.

Skoro nie mogła z nim być jako Rae, musiała wyczarować jego drugą wielką miłość. Kiedyś będzie mogła mu opowiedzieć całą tę zdumiewającą historię – ale najpierw musiała go zdobyć na nowo.

Chciała mieć około trzydziestu lat, być wdową z krótkim stażem

małżeńskim, bezdzietną, bez zobowiązań. Musiała w pełni kontrolować całą fikcyjną dokumentację tej kobiety, począwszy od narodzin.

Przez większość pięknego poranka przechadzała się po cmentarzu Kalaepohaku, nim wreszcie znalazła odpowiednią działkę: Sharon Valida, ur. 1990, zm. 1991. Oboje rodzice zmarli w 2010 roku i byli pochowani obok niej.

Krótkie komputerowe poszukiwania w bibliotece wykazały, że rodzice zginęli w wypadku samochodowym. By jeszcze bardziej wszystko skomplikować, Sharon urodziła się i zmarła w Maui. Została skremowana i jej prochy przywieziono tutaj, ale świadectwo zgonu prawdopodobnie zostało w Maui trzeba było je wydobyć z tamtejszego systemu.

Wszystko we właściwej kolejności. Najpierw poleciała do Maui, nadal pod postacią bladoliciego turysty, i bez trudu znalazła biuro, w którym trzymano dokumentację dotyczącą narodzin i zgonów.

Spędziła noc w szafie, nasłuchując i upewniając się, że następnej nocy budynek będzie pusty. Zaistniała pewna komplikacja: choć nie było stróża, w każdym korytarzu znajdowały się kamery.

Nie lubiła przybierać postaci obiektów nieożywionych: było to trudne, bolesne i czasochłonne. W tym przypadku jednak nie widziała innego wyjścia.

Stała się warstwą brudnego linoleum. Podłogi wszystkich korytarzy pokryte były takim samym szarym plastykiem. Mogła więc prześliznąć się przez milimetrową szparę między podłogą a drzwiami i powoli, falistym ruchem, przemieszczać się wzdłuż korytarza ku działowi statystyki. W samym biurze nie było kamer, więc zwinęła się w rolkę i zmieniła w coś w rodzaju animowanego ludzika, albo przynajmniej zwoju linoleum ze stopami i dwiema dwupalcymi dłońmi, zachowującymi ponurą barwę i fakturę linoleum.

Szuflady z aktami nie były zamknięte na klucz, więc wyciągnięcie papierowej wersji świadectwa zgonu nie stanowiło problemu. Inaczej z wersją elektroniczną. Nawet gdyby wiedziała, którego urządzenia użyć, istniały jeszcze hasła i protokoły. Musiała rozwiązać ten problem spoza systemu, już jako Sharon Valida.

Znalazła akt urodzenia Sharon i zapamiętała odcisk dłoni i stopy. W 1990 roku nie przeprowadzano jeszcze skanów siatkówki.

Wydała sobie prawo jazdy z roku 2007. Wtedy też nie robili

jeszcze skanów. Musiała zaryzykować w sprawie numeru ubezpieczenia społecznego, zmieniając kilka cyfr w innym, należącym do osoby urodzonej w Maui w tym samym roku co Sharon.

Prawa jazdy jej rodziców wciąż były w aktach, ze zdjęciami. Mieszkali w Maui do 2009 roku, a więc wyprowadzili się na rok przed śmiercią. Matka była uderzająco piękną blondynką, co bardzo odpowiadało uzurpatorce. Stworzyła sobie nastoletnią wersję Sharon, z fryzurą z 2007 roku, całkiem konwencjonalną. Żadnych tatuaży na twarzy czy blizn rytualnych. Do rubryki „znamiona i znaki szczególne” wpisała niewielki tatuaż na lewej piersi, przedstawiający kolibra.

Russellowi by się to spodobało. Atrament pod sutkiem.

Znalazła mapę z podziałem rejonowym szkół, ale miała świadomość, że w 2007 roku wyglądał on całkiem inaczej. Zgadywanie byłoby niebezpieczne; jakiś diabelski komputer mógłby przeprowadzić rutynową kontrolę systemów i zgłosić anomalię. Trochę się naszukała, ale w końcu dotarła do segregatora z napisem „Archiwa rejonowe szkół średnich”, zlokalizowała tę położoną najbliżej miejsca zamieszkania jej rodziców i zapisała się do niej.

Jako uczennica śledziła dokonania naukowe APS, miała świetne wyniki z przedmiotów ścisłych, ale z humanistycznych i artystycznych wypadła znacznie gorzej. Doskonale też radziła sobie z biznesem i klawiaturą, co mogło jej dać więcej niż dyplom z college’u. Ten pozostawiła sobie na następny dzień.

Wykorzystując informacje o innych uczniach, dodała klub szachowy i siatkówkę. Religia: brak. Potem cofnęła się do gimnazjum i podstawówki, by sfabrykować dane, co było w zasadzie zajęciem rutynowym. W czwartej klasie jedna z nauczycielek napisała, że uczennica odrabia prace „kompetentnie i bez wysiłku”. Tym samym komplementem obdarzyła połowę klasy. Przeskoczyła od razu z czwartej do szóstej klasy, dzięki czemu ukończyła college w tym samym roku, w którym zginęli jej rodzice.

Przed świtem ponownie przeobraziła się w płaskie linoleum i prześliznęła wzdłuż korytarza do miejsca, w którym nie było kamer – klatki schodowej wiodącej do zatęchłej piwnicy. Tam przybrała znajomą postać sprzątacza, zapamiętaną z Berkeley, i zaczęła do dziesiątej, by następnie wyjść na górę, przedrzeć się przez tłum i wydostać się na ulicę.

W kabinie toalety biblioteki publicznej zamieniła się z powrotem w turystę, a następnie wykorzystwała system komputerowy biblioteki, by nakreślić przebieg studiów Sharon Validy na University of Hawaii, bardziej prawdopodobnej uczelni dla ambitnej dziewczyny niż podyplomówka w Maui. Studiowała biznes i specjalizowała się w problematyce związanej z oceanografią, a nawet zrobiła kurs z tej dziedziny, prowadzony przez samą siebie pod postacią charyzmatycznego profesora Jimmy'ego Coleridge'a. Wykorzystała doskonałą znajomość struktur akademickich i biurowatycznych, by zapewnić Sharon cztery lata dobrych, acz mało spektakularnych wyników. Podłożenie papierowych i komputerowych akt potwierdzających jej istnienie było nawet prostsze niż praca wykonana minionej nocy w Maui.

(Nie porzuciła wszystkiego, gdy zmieniała się z Jimmy'ego Coleridge'a w Rae Archer. Moment był idealny, ogłoszenie w „Sky and Telescope” ukazało się akurat pod koniec semestru. Profesor podpisał więc indeksy i powiedział wszystkim, że jedzie na całe lato do Polinezji, co niezupełnie było kłamstwem).

Przed powrotem do Honolulu musiała zrobić jeszcze jedno. Poszła do centrum handlowego i kupiła dla Sharon modne ubranie, po czym wróciła do Crossed Palms i spędziła bolesne pół godziny na przemianie w nią. Wynajęła na jedną noc inny pokój i o wpół do piątej, na pół godziny przed zamknięciem, poszła ponownie do urzędu statystycznego.

– W czym mogę pomóc? – Kobieta przy okienku, mniej więcej czterdziestolatka, miała nieruchome, błyszczące oczy, jakby wlewała w siebie litry lawy, by nie zasnąć przed piątą, i tak naprawdę w ogóle nie wydawała się chętna do pomocy.

– Nie mogę znaleźć swojego aktu urodzenia – rzekła uzurpatorka.
– Potrzebuję poświadczony duplikatu, by dostać paszport.

– Dowód tożsamości ze zdjęciem – zażądała kobieta, a uzurpatorka wręczyła jej świeżutkie, choć wytarte prawo jazdy.

Kobieta siadła przy konsoli i wklepała imię i nazwisko Sharon. Gapiła się na ekran, po czym wymazała i na nowo wpisała nazwisko.

– Tu jest napisane, że pani zmarła w 1991 roku.

– Co? Zmarłam?

– Jak pani miała rok. – Kobieta spojrzała na nią podejrzliwie.

– Hm. Jak pani widzi, żyję.

– Chwileczkę. – Kobieta ruszyła w kierunku pomieszczenia, w którym uzurpator spędził poprzednią noc.

Wróciła i pokręciła głową.

– Błąd w komputerze – powiedziała i kilkoma uderzeniami skasowała dane. Bez słowa skopiowała akt urodzenia i zatwierdziła. Poszła do innego pokoju, by poprosić kogoś o poświadczenie. Uzurpatorka wyszła z urzędu ze świadectwem swojej nowej tożsamości.

W pewnym sensie łatwiej było Sharon otrzymać dyplom uniwersytecki, niż przejść przez klasy od 1 do 12, bo uzurpatorka mogła to załatwić od środka. Zmieniła wzór swojej siatkówki tak, by pasował do profesora Jimmy'ego Coleridge'a i pojechała taksówką z lotniska w Honolulu do jego mieszkania w pobliżu kampusu Manoa.

Nie sądziła, by ktokolwiek widział, jak Sharon wchodzi do mieszkania, ale gdyby nawet, nie byłby to aż tak niezwykły widok.

Następnego ranka spędziła pół godziny na ponownej przemianie w Jimmy'ego, który na szczęście ważył niewiele więcej niż Sharon. Włożyła profesorskie ubranie i udała się do pokoju Coleridge'a w Instytucie Nauki i Technologii Oceanu i Ziemi.

Sekretarka działu była zdumiona jej widokiem.

– Już pan wrócił z Samoa? Myślałam, że nie będzie pana do sierpnia!

– Przyjechałem tylko na parę dni. Mam otwarty bilet na Polynesian Airways. Postanowiłem nadrobić trochę zaległości i zjeść kilka porządnych posiłków.

– A co jedzą na Samoa? Siebie?

– Różne rzeczy. Na ogół z McDonalda.

– A jak ten ich Obcy? Był pan tam?

– Taaa... Oni myślą, że to jakaś hollywoodzka sztuczka.

– Mam nadzieję, że się mylą. Byłoby super!

– Mhm. – Czekają na nią dwa stosy poczty. Poszła do swojego pokoju, wrzuciła ją do szuflady i przytknęła do oka kabel identyfikacyjny biurka. Konsola piknęła, ożyła i zaczęła drukować.

Sharon miała otrzymać licencjat z zarządzania w biznesie, z dodatkową specjalizacją z oceanografii. Stworzenie przebiegu jej studiów, a następnie weryfikacja kursów dostępnych w danych latach zabrały w sumie dwadzieścia minut.

Specjalizacja z oceanografii była łatwa: zaawansowany kurs

oceanografii, zanieczyszczenie wód, wreszcie – nauka o morzu z profesorem Coleridge'em, z której Sharon dostała piątkę. Gorzej było z biznesem. W 1992 i 1993 roku, jako surfer z Kalifornii, uzurpator dla kamuflażu uczęszczał na kursy biznesowe, ale przez ostatnie trzydzieści lat sporo się zmieniło. Na studiach przerabiano rachunek różniczkowy i zaawansowaną statystykę.

Próba stworzenia rzeczywistych arkuszy ocen na komputerze byłaby niemądra, Lepiej sfałszować papierowy odpis i podrzucić go do odpowiedniej teczki na wydziale zarządzania w biznesie, który także znajdował się na kampusie w Manoa. Było raczej nieprawdopodobne, by ktoś prosił ją o przedstawienie arkusza ocen, ale gdyby to zrobili, mogła ponownie spróbować sztuczki z aktem urodzenia.

Udzieliła sobie, to znaczy Sharon, doskonałych referencji od dwóch nieżyjących profesorów i Coleridge'a, który oczywiście pojechał teraz nurkować, ale można było do niego pisać na adres jimmyc@uhw.edu.

41.

Apia, Samoa, 16 lipca 2021

– Ona nie była człowiekiem – powiedział Jack Halliburton. – Żaden człowiek z odstrzeloną ręką nie potrafiłby spadać, uciekać ani pływać lepiej niż hollywoodzki kaskader. Więc czym była?

On i Jan ściągnęli samotnego Russa do apartamentu Jacka w Aggie Grey's.

– Kochałeś ją? – zapytała Jan.

– To takie skomplikowane – mruknął Russell.

– Spałeś z nią – powiedział Jack.

– Jezu, Jack! – Russell skrzywił się i odwrócił wzrok.

– Nie, posłuchaj. Spałeś z wieloma kobietami...

Russell spojrzał na Jan, szukając oparcia, ale znalazł tylko beznamiętne spojrzenie.

– Nie powiedziałbym „z wieloma”.

– Czy w jej anatomii było coś, co wydawało się dziwne? Albo w psychice?

– Kochałem ją – rzekł do Jan. – Byłem gotów skoczyć dla niej z klifu.

– Ale zastanów się! – nalegał Jack. – Cokolwiek, co nie było ludzkie?

– Była o wiele bardziej ludzka niż ty, Jack. Była zabawna, słodka i ciekawa świata.

– To niepokojące – zauważyła Jan.

– Wiem. – Russell zapadł się głęboko w wielki, miękki fotel. – Bardziej dla mnie niż dla kogokolwiek innego.

Jack podniósł się z kanapy i energicznie podszedł do stolika z trzema kryształowymi karafkami. Nalał sobie odrobinę whisky i

wrzucił kostkę lodu.

– Myślisz, że mogła być jakimś konstruktem, przysłanym tu po to, by nas szpiegować?

– Jasne – odparł Russell. – Robotem. Teraz rozumiem, skąd ten mechaniczny dźwięk, który wydawała, gdy się w nią postukało palcami.

– Biologicznym konstruktem.

– Pewnie. Myślisz, że ktokolwiek na świecie jest zdolny „skonstruować” nadczołowieka?

– Skądś przybyła... – Zadzwoił telefon. Jack odebrał. Słuchał mniej więcej przez minutę, odpowiadając monosylabami, po czym rzeki: – Nie wiem, co powiedzieć. Oddzwonimy do pani. Dziękuję. – Odwiesił łagodnie słuchawkę.

– Kto to był? – zapytała Jan.

Potrząsnął lodem w szklance.

– Kobieta nazwiskiem Peterson. Miejscowy patolog sądowy. – Pokręcił głową. – Wysłali próbkę ciała z ręki do Pago Pago w celu wykonania identyfikacji DNA.

– I co? Zidentyfikowali ją?

– To nie żadna „ona”. – Pociągnął mały łyk. – Nie jest człowiekiem. Ani nawet zwierzęciem. Nie ma DNA.

– Jezu! – jęknął Russell.

Jack usiadł.

– Russ... Pieprzyłeś się z Obcym z innej planety. To chyba nielegalne na Samoa...

42.

Honolulu, Hawaje, 18 lipca 2021

Skrzywiła się na widok nagłówka *Kosmita na Samoa*. Kupiła gazetę i dowiedziała się, że zabiła „wysokiego rangą agenta amerykańskiego wywiadu” poprzez „wstrzyknięcie tajemniczej substancji”.

Artykuł zalecał tolerancję zamiast strachu. Obcy sam się ujawni, jeśli będzie wiedział, że nic mu nie zrobią. Rząd amerykański potrafi się zachowywać rozsądnie.

Wyglądało to kusząco. Krzesło elektryczne byłoby stymulującym przeżyciem.

W artykule napisano, że naukowcy wiedzą, iż mają do czynienia z Obcym, ponieważ próbka tkanki nie zawierała DNA. Czy był jakiś sposób na sfalszowanie tego?

Uzurpatorka miała kilka tytułów naukowych z biologii, ale o swojej własnej niewiele wiedziała. Nie miała pojęcia, jakie mechanizmy występują podczas przemiany z jednego stworzenia – jednej rzeczy – w inne. Było to dla niej tak naturalne jak oddychanie czy fotosynteza dla ziemskich organizmów i równie trudne do analizy: jeśli jest się jedyną istotą w okolicy, która oddycha, raczej nie rozcina się sobie ciała, by poznać właściwości płuc.

Ona, rzecz jasna, mogła się rozciąć i robiła to regularnie, ale nie nauczyło jej to niczego na poziomie molekularnym. Ponadto jedyną nauką, jaką знаła, była ludzka nauka, a tego, co robiła, gdy zmieniała się w rekina lub zwój linoleum, nie uwzględniono w programie nauczania chemii organicznej na poziomie podstawowym.

Przyjmowała zwierzęce DNA, gdy jadła, a czasem, gdy się kochała z mężczyzną, wchłaniała także ludzkie DNA. To coś, co udawało w

jej ciele metabolizm, wydalalo je jednak. Moglaby wchlonać ławicę tuńczyka białego i jakimś sposobem zrobić z niej choćby volkswagena.

Poseidon prawdopodobnie oczekiwał teraz powrotu Obcego. Wszystkich kandydatów do pracy będą poddawać testom na obecność DNA. Jakiej procedury mogła się spodziewać Sharon Vaiida?

Krótkie poszukiwania wykazały, że testy w celu identyfikacji przeprowadzano zwykle na wymazie z policzka, pobierając kilka komórek z jego wnętrza. Było to bezinwazyjne i znacznie mniej osobiste niż próbka krwi czy spermy. A zatem uzurpatorce wystarczyło w jakiś sposób wypełnić usta ludzkim ciałem, nim podda się badaniu.

Ugryzienie kogoś, żywego czy martwego, w drodze na spotkanie wydawało się raczej niepraktyczne. Można było kupić żywe, przenośne DNA w postaci krwi lub spermy, ale obie stanowiły pewien problem, gdy trzeba było otworzyć usta przed lekarzem lub policjantem.

Czyste DNA także sprzedawano – dla celów medycznych – ale jedynie w mikroskopijnych ilościach, którymi trudno było wypełnić usta. Ponadto mogliby jednak zastosować metodę inwazyjną. Chcesz robotę? W takim razie musimy pobrać odrobinę krwi.

Gdyby brał w tym udział tylko Russell, mogłaby po prostu ujawnić się i opowiedzieć mu wszystko. Pojawić się którejs nocy jako Rae i wyjaśnić. Ale byli też ci wszyscy męczący ludzie ze spluwami, a poza tym głównym szefem projektu był Jack, nie Russell. On zaś sprawiał wrażenie niebezpiecznego, niemal zwierzęcego w swojej zachłanności, a z tego, co wydarzyło się w Aggie Grey's, mógł wydedukować jej zdolności. Gdyby miał jakikolwiek wpływ na ustalanie warunków spotkania, w pomieszczeniu prawdopodobnie nie byłoby okna wychodzącego na morze.

Z drugiej strony, wiedziała dość o laboratoriach Poseidona, by rozumieć, że nie będą mogli zbadać DNA na miejscu. Próbki pojadą do Pago Pago, albo nawet przyjadą tu, do Honolulu. To da jej trochę czasu, a może nawet sposobność zamiany.

Być może najmądrzejszą rzeczą było poczekać. Na przykład znów wstąpić do cyrku na kilka dekad i pozostać tam, póki wszystko się nie uspokoi. Jack i Russell zdążą umrzeć, a opiekę nad artefaktem przejmą inni.

Istniały jednak argumenty przemawiające przeciw takiemu rozwiązaniu, wśród których na pierwszy plan wysuwało się jej uczucie do Russa. Chciała pokazać mu – przede wszystkim jemu – co naprawdę się dzieje. Poza tym, za dwadzieścia lat – albo za pięć lat lub za rok – artefakt mógł wylądować w krypcie w Waszyngtonie czy Langley i stać się niedostępny.

Było też coś głębszego – coś, czego nie potrafiła w pełni uchwycić. Wzór zer i jedynek zaczynał się układać w coś, co nie było logiką ani liczbami, ale mimo wszystko było jakiegoś typu wiadomością.

Jan, Russ i reszta Poseidona analizowali cyfry, szukając czegoś analogicznego do wiadomości Drake'a. Może jednak to przesłanie nie było przeznaczone dla nich. Może w ogóle nie było przeznaczone dla ludzi.

43.

Apia, Samoa, 20 lipca 2021

Postanowili zastawić na Obcego pułapkę.

– Rae chciała się dostać do artefaktu, ale rozgrywała to spokojnie. Pytała mnie, jak można ominąć procedury bezpieczeństwa, by znaleźć się w jednym pomieszczeniu z artefaktem, dotknąć go... – mówił Russell, rysując jednocześnie precyzyjne figury geometryczne. Siedział wraz z Jackiem i Jan na balkonie apartamentu Jacka, który poniewczasie zorientował się, że agenci mogli założyć podsłuch w pomieszczeniu. Balkon był stylizowany na patio, ze sprzętami z żelaza zgrzewnego, w których widoczne były wszystkie elementy, więc założenie pluskiew w tym miejscu było mniej prawdopodobne.

– I powiedziałaś jej, że możesz to załatwić? – zapytała Jan.

– Zbyłem ją. Powiedziałem, że jeśli artefakt nic nie wywinie, prawdopodobnie wkrótce środki bezpieczeństwa zostaną złagodzone.

– I tym samym naprowadziła ją – zauważył Jack.

– Być może. Ale nie miałem powodu przypuszczać, że kieruje nią coś więcej niż zwykła ciekawość. Kto chciałby tam chodzić i patrzeć na to coś?

– Szczególnie ktoś, kto przyjechał tu i przyjął niskopłatną pracę wyłącznie dlatego, że był ciekaw obiektu – rzekła Jan. – Pamiętasz? Przetestowaliśmy jej entuzjazm, każąc jej płacić z własnej kieszeni za przyjazd na spotkanie w sprawie pracy.

– Możemy to zrobić jeszcze raz, żeby ją zwabić – podsunął Jack. – Może jednak powinniśmy być bardziej subtelni.

Russell skinął głową.

– Czymkolwiek Rae jest, dobrze zna ludzką naturę. Albo będzie bardzo ostrożna, albo całkiem bezpośrednia. Może po prostu

zadzwoń do nas i ustal się spotkanie, na którym będzie kontrolować warunki.

– Ciekawe, ile ma lat – zastanowił się Jack.

– Trzydzieści parę.

– Prędzej trzydzieści tysięcy. Nie można jej zabić... a przynajmniej nie zwykłym strzałem między oczy. Utopić też się nie da. Potrafi podszywać się pod inną osobę do tego stopnia, że podrabia jej odciski palców i wzór siatkówki. Kim była, nim stała się Rae Archer? I jeszcze wcześniej? Mogła tak wędrować przez całą historię ludzkości i prehistorię. Mogła przybyć z innej planety, jeszcze zanim pojawił się człowiek. Włóczyć się po Ziemi jako tygrys szablozębny, a wcześniej jako dinozaur.

– Nie – rzekła Jan. – W ogóle nie sądzę, by była Obcym. To po prostu inny rodzaj istoty ludzkiej. Prawdopodobnie ewoluowały równoległe do nas i nauczyły się ukrywać swoją naturę, przynajmniej w jakimś stopniu. Istnieją legendy o zmiennokształtnych i nieśmiertelnych.

– Jeśli tak – Jack potarł brodę – nie może ich być wielu. W przeciwnym razie po prostu przejęliby władzę.

– Może to zrobili – zauważył Russ. – Powinniśmy przetestować na obecność DNA wszystkich przywódców światowych.

Oboje z Jan zaśmiali się nerwowo.

– W CIA prawdopodobnie rozmawiają teraz o tym samym – mruknął Jack.

* * *

W istocie, jeszcze zanim to powiedział, każdy członek CIA zdążył podarować agencji kilka komórek ze swego policzka. Podobnie pracownicy NSA i Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego. Z Białego Domu przywędrowała „sugestia”, że należy przebadać wszystkich ludzi zajmujących kluczowe stanowiska polityczne w kraju.

Początkowo laboratoria przeprowadzające takie testy były przeciążone, ale to dlatego, że nie ograniczały się do badań na obecność DNA, lecz – jak zwykle – analizowały próbki w celu przypisania ich poszczególnemu mikroorganizmowi czy osobie. Wymagało to czasochłonnych procesów, takich jak elektroforeza czy

spektrometria masowa. W tamtych przypadkach, rzecz jasna, było jednak oczywiste, że próbka zawiera DNA; chodziło jedynie o ustalenie, skąd ono pochodzi.

Test na obecność DNA okazał się znacznie prostszy. Brało się wymaz z policzka i wstrząsało go w probówce zawierającej roztwór, który staje się kwaśny w obecności nawet mikrograma DNA, po czym dodawało kroplę czerwieni fenolowej. Jeśli roztwór robił się żółty, znaczyło to, że próbka pochodzi z ludzkiego policzka, a przynajmniej z czegoś, co zawiera jakiś typ DNA. Nie dało się w ten sposób odróżnić DNA cebuli od DNA człowieka, ale też nie było takiej potrzeby. Próbkę „ciała” i „krwi” z ręki trzymanej w zamrażarce na komisariacie policji w Apii rozesłano do analizy po całym świecie. Zawierały odpowiednie proporcje węgla, wodoru, tlenu, fosforu, siarki i azotu, by pochodzić z aminokwasów tworzących ludzkie (lub zwierzęce) proteiny, ale ich chemia nie była ludzka. Nie była to w ogóle chemia organiczna.

To coś, z czego pochodziła próbka, w ogóle nie było żywe w ludzkim sensie.

Badania wykazały, że każdy członek amerykańskiego wywiadu jest człowiekiem, przynajmniej w sensie nominalnym. Podobnie rzecz się miała z wysokiej rangi politykami, a nawet prezydentem, co zaskoczyło niektóre osoby.

44.

Apia, Samoa, 21 lipca 2021

Zaledwie tydzień po tym, jak została postrzelona i uciekła przez morze na lotnisko, uzurpatorka wróciła. Sharon Valida miała nowiutki paszport, sześciomiesięczne pozwolenie na pracę i walizkę pełną lekkich, lecz oficjalnych ubrań. Załatwiła sobie bowiem przez internet pracę w banku w Apii, który poszukiwał pracownicy ze znajomością niemieckiego i francuskiego do obsługi klienta.

Zapakowała też ładne bikini i uroczy strój do joggingu, suknię wieczorową i butelkę kropli do nosa Sudafed, inną niż jakakolwiek na świecie. Każda kapsułka została ostrożnie otwarta, opróżniona i napełniona wartą kilkaset dolarów wzorcową próbką DNA, skradzioną z laboratorium University of Hawaii. Co kilka godzin w podróży z lotniska w Honolulu do lotniska w Apii zgryzała jedną. W Apii umundurowany mężczyzna przepaszająco włożył jej wacik do ust i potarł wnętrza obu policzków. Potem zrobił coś pod ladą i machnął na Sharon, by przechodziła.

Uzurpatorka prowadziła cichy wyścig z czasem. Musiała sobie zbudować przekonującą tożsamość jako pracująca w Apii kobieta, nim recepcjonistka Poseidona, Michelle Watson, pójdzie na porodówkę. Wiedziała, że mąż Michelle jest sympatycznym, ale bezrobotnym włóczęgą plażowym, w związku z czym kobieta chciała pracować tak długo, jak tylko będzie w stanie doturlać się do banku po wypłatę. Załoga Poseidona nie miała nic przeciwko temu.

W ciągu następnych sześciu tygodni powinni dać ogłoszenie. Nie napiszą, że szukają pięknej, młodej kobiety, która studiowała biznes i oceanografię, ale właśnie taka się zgłosi.

Wynajęła mieszkanie na Beach Street, o kilka przecznic od terenu

projektu, i rozpoczęła codzienne życie. Każdego ranka i wieczoru biegała – mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Russell jeździł na rowerze. Mówił, że wykorzystuje ten czas na myślenie, ale raczej nie zamyślał się tak bardzo, żeby nie zauważyć ślicznej blondynki w obcisłym stroju do joggingu z napisem „NICZYJA WŁASNOŚĆ” wypisanym szablonem na plecach.

Praca w banku nie była trudna i stawała się nawet dość interesująca w chwilach, gdy Sharon była potrzebna jako tłumacz. Przez resztę czasu musiała siedzieć przy okienku, bo była śliczna i gadatliwa, co nie przeszkadzało jej wykorzystywać tego czasu na myślenie wyłącznie o zerach i jedynkach.

Trzech mężczyzn z banku zaprosiło Sharon na randkę. Umawiała się z nimi na przemian, nie angażując się w żadną z tych znajomości. Była kobietą dostatecznie dużo razy, by wiedzieć, że mężczyźni akceptują długotrwały brak seksu, jeśli tylko jest się atrakcyjną i pozwala im mówić o sobie. Jeden był Brytyjczykiem, drugi Amerykaninem, trzeci Samończykiem. Powściągliwość, zuchwałość i nieśmiałość. Najciekawszy był Samończyk: zabierał swoją palagi – białą kobietę – w miejsca, gdzie nie było żadnych innych przedstawicieli rasy kaukaskiej. Razem żeglowali i pływali. Resztę wspólnych czynności fizycznych rezerwowała dla Russella.

Mijał ją na swoim rowerze niemal każdego ranka albo nadjeżdżając z naprzeciwka, kiwając głową i uśmiechając się niewinnie, jakby zapewniał: „Wcale się nie gapię na twoje piersi”, albo zwalniając, gdy zajeżdżał ją od tyłu.

W drugim tygodniu sprokurowała incydent. Słyszac odgłos znajomego roweru, gdy był jeszcze o przecznice od niej, potknęła się i upadła, kalecząc kolano.

Russell podjechał szybko i z trzaskiem przewrócił rower. Sharon przyglądała się niewielkiemu zranieniu, ostrożnie oczyszczając je ze żwiru. Wyprodukowała dość histaminy, by być bliska rozplakania się.

– Nic pani nie jest? – zapytał nieco zdyszany Russell.

– Wszystko w porządku – odparła. – Ależ ze mnie niezdara.

– Chwileczkę. – Podeszedł do roweru i odczepił butelkę. Otworzył i, dotykając lekko łydki Sharon, by ją podtrzymać, polał otarcie chłodną wodą.

– Au! – Oczywiście nie czuła bólu, ale skrzywiła się. – Nie, nie, to nic takiego.

Nie tylko nie czuła bólu, ale była w swoim żywiole. Ten znajomy dotyk, zapach potu... Gdyby była odrobinę bardziej ludzka, schwyciłaby Russa i przygarnęła do siebie.

– Mamy w biurze apteczkę – powiedział, robiąc ruch głową w kierunku projektu, znajdującego się w odległości przecznicy. – Powinniśmy to oczyścić i zabandażować. Tutaj rany szybko łapią infekcje.

– Dzięki, ale... nie chcę robić kłopotu...

– Bzdura. – Podał jej ramię i pomógł wstać. Zadrżała lekko, gdy dotknął jej w talii.

Kuląła nieco, wsparta na jego ramieniu.

– A pański rower?

– Nikt go nie weźmie. To rupieć. Nawet nie wożę zapięcia.

– Ludzie są tutaj inni, prawda? U nas ktoś na pewno by go ukradł. Nieważne, czy jest coś wart, czy nie.

– „U nas” to znaczy gdzie?

– W Honolulu. Chociaż właściwie to pochodzę z Maui.

Skinął głową.

– Ale nie jest pani turystką, prawda? Już panią widywałem.

– Pracuję jako tłumaczka w banku.

– Zna pani samoński?

– Nie. – Pokręciła głową i odgarnęła włosy wdzięcznym gestem, innym niż u Rae. – Francuski i niemiecki, trochę japoński. Uczę się samońskiego, ale nie jest łatwo.

– Jakbym nie wiedział. Dwa lata tu siedzę i nie umiem nawet powiedzieć: „Proszę podać te wstrętne warzywa”.

– Aumai sau fuala’au fai mea’ia ma – powiedziała. – Nie wiem tylko jeszcze, jak powiedzieć „wstrętne”. – Odkąd zajęła się studiowaniem zer i jedynek, ani przez moment nie pomyślała o samońskim, ale zapamiętała trochę z pierwszych dni tego wcielenia.

– Jestem pod wrażeniem. Łatwo pani przychodzi nauka języków?

Testował ją z myślą o pracy?

– Kiedyś tak. Gdy byłam młodsza. Uczyłam się japońskiego i trochę mandaryńskiego.

– No i hawajskiego?

– Nie – rzekła szybko, pamiętając, że Jack umie co nieco po hawajsku. – To zabawne, ale w życiu towarzyskim jest mi zupełnie niepotrzebny, a nikt nie oczekuje po kimś, kto wygląda tak jak ja,

znajomości hawajskiego.

– Rozumiem. – Pomachał strażnikowi w budce i otworzył drzwi głównego budynku. – Mieszkaliśmy w Kalifornii i mój ojciec bynajmniej nie był zadowolony, gdy zacząłem się uczyć hiszpańskiego, choć był to najbardziej przydatny z języków obcych. – Uzurpatorka, rzecz jasna, dobrze o tym wiedziała.

Weszli do znajomej recepcji. Russell posadził Sharon na miejscu Michelle – miała nadzieję, że wkrótce zasiądzie tam na dłużej – i zaczął otwierać i zamykać szuflady. – Apteczka, apteczka – mrucał. W końcu wydobył białe plastikowe pudełko. – Jest.

Uzurpatorce przyszła do głowy nagła myśl.

– Przepraszam... Trochę mi słabo. Mogłabym dostać coś do picia?

– Jasne. Cola?

– Może być. – Otworzyła mały portfelik na nadgarstku.

Machnął ręką.

– Pobiorę na kartę służbową. – Oczywiście wiedziała o tym. Wiedziała też, że automat znajduje się w dalszej części korytarza, skąd nie widać tego miejsca.

Gdy Russell skręcił za róg, powoli obróciła swój fotel o 90 stopni, by siedzieć plecami do kamery umieszczonej za biurkiem Michelle, i wydobyła z portfelika kapsułkę sudafedu. Zgniotła ją między kciukiem a palcem wskazującym i skropiła skaleczenie odrobiną DNA. Rozprowadziła też trochę na palcach obu rąk, po czym wsunęła kapsułkę z powrotem i obróciła się ponownie, nim Russell wrócił. Czowała się trochę głupio, mając wrażenie, że przesadza z ostrożnością – ale Russ nie byłby Russem, gdyby dokładnie tego nie przemyślał i nie podejrzewał teraz każdej nowej kobiety, która pojawiała się w jego życiu.

– Dzięki. – Wzięła od niego colę i wypiła odpowiednią ilość, po czym rozejrzała się. – A więc to jest to miejsce.

Przycisnął jej do kolana tampon antyseptyczny.

– Właśnie. Witamy w domu wariatów.

– Na wyspie wariatów – sprostowała. – Z kosmitą i jego statkiem.

Pokręcił głową i wrzucił tampon do śmietnika.

– Istnieją inne wyjaśnienia. Ale są równie dziwaczne. – Potrząsnął puszką z bandażem w sprayu. – Zimne – ostrzegł i obficie spryskał kolano.

– A które wyjaśnienie pan woli?

– Każde może być prawdziwe. – Popukał w kolano wokół rany, sprawdzając bandaż. – A co sądzą ludzie z banku?

– Większość jest za UFO. Jeden gość uważa, że to sztuczka filmowców i że wszyscy wyjdziecie na durniów, gdy to ujawnią.

Russell wstał.

– Założyłbym się z nim. Rozmawiałem z filmowcami. Ze wszystkich sił starają się to wykorzystać, ale w rzeczywistości są równie zdumieni jak cała reszta.

– To samo mu powiedziałam. Po co mieliby wydawać pieniądze, skoro nikt tego nie nakręcił?

– Właśnie. To oczywiste. Może pani bez problemu zgiąć kolano?

Ostrożnie pomachała nogą.

– Chyba tak. – Wstała, wspierając się na jego ramieniu. – Dzięki.

– Ma pani jakieś plany na przerwę obiadową? – Zaśmiał się nerwowo i potarł brew.

– Dzisiaj jestem uwiązana – powiedziała, by nie wydać się zbyt chętną. – Ale jutro nie tak bardzo. – Wyciągnęła rękę. – Sharon Valida.

– Russell Sutton. W południe w Rainforest?

– Z przyjemnością. – Uśmiechnęła się do niego, zastanawiając się, czy dziurki w jej policzkach nie są zbyt urocze. – Mój ty rycerzu w lśniącej zbroi.

– Raczej rowerzysto z butelką wody. – Odprowadził ją do wyjścia. – Do zobaczenia. – Patrzył, jak kobieta oddala się truchtem, trochę oszczędzając skaleczone kolano, po czym poszedł po rower.

Czy to możliwe? – zastanawiał się. W niczym nie przypominała Rae, ale zakładali, że „Rae” potrafi wyglądać jak każdy.

Postawił rower przy wejściu i wrócił do środka. W biologicznej sekcji laboratorium znalazł lateksową rękawicę i woreczek foliowy. Wrócił do recepcji, wyjął z kosza zakrwawiony tampon i włożył go do woreczka. W ubikacji opróżnił puszkę coli i ją także włożył do woreczka, ostrożnie trzymając za skraj, po czym napisał na woreczku markerem „Sharon Valida”.

Zastanawiając się, co zrobi Obcy, doszli do wniosku, że oczywistym sposobem powrotu do artefaktu będzie wykorzystanie słabości Russella do pięknych kobiet – szczerze mówiąc, w ogóle do kobiet. Gdyby Sharon była niewysoką, atrakcyjną Azjatką, wzbudziłaby w nim większe podejrzenia.

Jedna jego część chciała, żeby próbki nie zawierały DNA, bo wtedy mogliby zamknąć pułapkę. Druga, mniejsza część miała nadzieję, że dziewczyna jest po prostu seksowną blondynką z poczuciem humoru i całkiem ludzką inteligencją.

Włożył woreczek do biurka z karteczką dla Naomi. Potem wrócił do roweru i sprawdził licznik: przejechał dopiero cztery mile, została mu jeszcze jedna.

Pedałował w kierunku, w którym odeszła Sharon, ale nie zobaczył jej ponownie. Wróciła do domu, by wziąć prysznic przed pracą – albo może po to, by sprawdzić stan paliwa w swoim drugim pojeździe kosmicznym.

* * *

Siedzący przed monitorem, zatopiony w myślach Russell wzdrygnął się, gdy Naomi ze stukotem puszek położyła obok niego woreczek.

– Obawiam się, że twoja Sharon ma mnóstwo DNA. Następny ruch należy do ciebie.

– Co? A. Obiad.

– Mam nadzieję, że jest smaczna – rzekła Naomi z lubieżnym mrugnięciem. Russell zwinął w kulkę kartkę papieru i rzucił w nią.

Potem wrócił do tajnej wiadomości. Zakładał jednostronicową witrynę internetową, którą tylko Rae mogła w pełni zrozumieć. Nosiła tytuł „Rae w ciemnościach” i znajdowały się na niej trzy zdjęcia: Russella, Rae, a pośrodku napis na nagrobku Stevensona, sfotografowany przez Russa na godzinę przed tym, jak Rae sprowadziła go ze wzgórza do hotelu.

Przejrzał tomik wierszy Stevensona. Większość mu się nie podobała, ale jeden czterowiersz w miarę pasował, więc Russell wklepał go na stronę:

MIŁOŚĆ, CZYMŻE JEST MIŁOŚĆ?

MIŁOŚĆ – czymże jest miłość?

Wielkim, zbolatym sercem;

Załamanymi rękoma; i nieskończoną rozpaczą.

A życie – czymże jest życie?

Patrzeniem, jak na pustym wrzosowisku

Miłość przychodzi i miłość odchodzi.

– Robert Louis Stephenson

Następnie wkleił trzydzieści cyfr wiadomości artefaktu:

110100101101001011101001001011

A dalej swoją własną wiadomość:

Rae, kiedy widziałem, jak odchodzisz – naprawdę odchodzisz – nie wiedziałem, że to Ty. To pogłębiło tajemnicę.

Jeśli musisz zniknąć, decyzja należy do Ciebie. Ale wiesz, że jeśli na tym świecie jest ktokolwiek, komu możesz zaufać, tym kimś jestem ja.

Wiem, że Cię nie znam, ale Kocham Cię. Wróć – w jakimkolwiek przebraniu.

– Russ

W rubryce „pokrewne”, gdzie należało umieścić słowa, które skierują poszukującego – lub surfującego – na tę stronę, wpisał „Poseidon”, „Apia”, „artefakt”, „Obcy”, i tak dalej, a na końcu „Rae Archer” i „Russell Sutton”. Wiedział, że pierwszymi osobami, jakie tam trafią, będą prawdopodobnie ludzie z CIA i im podobni, ale tego nie dało się uniknąć. Zakładał, że Rae także domyśli się ich obecności.

* * *

Rainforest Cafe było nostalgiczną knajpą w stylu lat 90., z wystrojem rodem z dżungli. Bambusy, palmy i alokazje, a nad nimi niebieskie światła i dysze emitujące mgiełkę, w tle zaś sączący się cicho, osobiwie gniewny rap.

Russell czuł się niemal jak nagi w swoich szortach i lokalnej koszuli. Był weekend, ale Sharon przyszła prosto z pracy i miała na sobie kostium oraz krawat. Poluzowała go i uroczym gestem otarła brew chusteczką.

– Powinienem był zaproponować jakiś lokal z klimatyzacją.

– Dobrze, że tego nie zrobiłeś. W biurze marzłam. – Zrzuciła marynarkę.

– Zawsze mieszkałaś w tropikach?

– W każdym razie w upale. A ty?

– Odkąd mogłem sam wybierać. – Opowiedział jej o dzieciństwie spędzonym w Dakocie. Potem wyjechał na studia na Florydę i już nigdy nie musiał przeżywać zimy. – Teraz zimno mi tylko pod wodą, gdy pracuję w stroju piankowym.

– Skądś to znam. – Zaśmiała się, zakrywając usta. – Kiedy nie ma czym sikać, żeby go ogrzać.

Nalał jej mrożonej herbaty.

– Dużo nurkujesz?

– Nurkowałam trochę, gdy byłam jeszcze w szkole. Teraz głównie pływam z fajką, jeden facet z pracy zabrał mnie w zeszłym tygodniu na rafę w Palolo. Nie wierzyłam własnym oczom, że mogą istnieć tak ogromne małże!

– Są niezłe. – Nalał sobie herbaty. – Co studiowałaś, naukę o morzu?

– Nie, zarządzanie w biznesie. Miałam dodatkową specjalizację z oceanografii. To było moje prawdziwe doświadczenie z zimną wodą. Letni kurs nurkowania w Prądzie Peruwiańskim. – W rzeczywistości była tam jako nauczyciel, nie jako studentka, ale rejestry uniwersyteckie potwierdzały fakt, że ukończyła kurs z oceną bardzo dobrą.

– Kiedyś mieliśmy tam siedzibę – rzekł Russell. – Moja firma, Poseidon. Zajmowaliśmy się techniką okrętową w Baja California.

– Dopóki nie znaleźliście tego kosmicznego obiektu.

– Wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy, co to jest. – Przekroił bułkę i starannie posmarował jedną połówkę grubą warstwą masła. – Sonar go wyłapał, więc postanowiliśmy zająć się nim później. Minęło sporo czasu, nim w końcu zeszliśmy na dół i przyjrzelśmy mu się. No a potem stało się to, co się stało.

– To musi być pasjonujące.

– Pasionujące i frustrujące zarazem. Stoimy w miejscu. – Narysował paznokciem na serwetce jakiś kształt. – A jakie są twoje fascynacje? I frustracje?

– Nie wiem... Wychodzę na dwór, biegam, przewracam się. – Parsknęli śmiechem. – Tak jakoś dryfuję. Moi rodzice zginęli, gdy byłam w college'u, dziesięć, jedenaście lat temu.

– Przykro mi...

Opuściła głowę.

– Tak... Zostawili mi trochę pieniędzy. Włóczyłam się po Europie, potem po Japonii. Teraz, kiedy forsa się skończyła, żałuję, że nie uczyłam się dalej. Licencjat z zarządzania w biznesie niewiele daje.

– Nadal jesteś młoda. Mogłabyś wrócić na uczelnię.

– Trzydzieści jeden lat to jeszcze nie emerytura. – Wbiła wzrok w dno szklanki. – Ale dla komisji rekrutacyjnej mogłoby to tak wyglądać.

– Wróciłabyś do biznesu?

Pokręciła głową.

– Może zrobiłabym makroekonomię. Gospodarka regionu Oceanu Spokojnego... Ale bardziej myślałam o oceanografii. Mogłabym zrobić licencjat w ciągu roku, może trzech semestrów. – Uśmiechnęła się. – A potem przyjechać tu i pracować dla ciebie.

– Nie z licencjatem – rzeki z powagą. ~ Poświęć parę lat i zrób doktorat. Artefakt raczej się nigdzie nie wybiera.

– Tego nie wiesz – odparła. – Może postanowi wrócić do Alfa Centauri.

Przyniesiono kanapki. Russell zrzucił górną warstwę, po czym starannie pociął resztę na paski calowej szerokości, a następnie obrócił talerz o 90 stopni i przeciął paski na trzy. Uzurpatorka uśmiechnęła się. Pamiętała ten zwyczaj.

– Oszczędzam sto kalorii – rzekł. – Wszystkie media twierdzą, że ten obiekt przybył z innego układu gwiazdowego. To najprostsze wyjaśnienie. My staramy się wykombinować coś mniej oczywistego.

– Na przykład? Tajny projekt rządowy?

– Albo że obiekt leżał tam od zawsze. Wiesz, jakie piekło zgotował fizykom i chemikom.

– Wyobrażam sobie.

Ugryzł kanapkę, po czym, jak przewidywała jego towarzyszka, posolił całość.

– Nie ma znaczenia, czy to coś pochodzi stąd, czy z innej galaktyki. Tak czy owak, jego istnienie oznacza, że istnieją jakieś fundamentalne prawa dotyczące... charakteru materii... których nie rozumiemy. – Nadział na widelec kawałek kanapki i pomachał nim. – To chaos. Nic, co wiemy, nie jest już prawdziwe.

– Czy naprawdę możesz to powiedzieć? – zapytała, dzieląc swoją kanapkę na ćwiartki. – W szkole nas uczono, że fizyka Galileusza położyła podwaliny pod Newtonowską, Newton został połknięty przez

Einsteina, a Einstein przez Hollinga.

– Najpierw Hawkinga, a potem Hollinga, technicznie rzecz biorąc. Ale to co innego. To tak, jakby wszystko idealnie działało, aż do ósmego miejsca po przecinku, a tu nagle ktoś mówi: „Chwila. Zapomnieliście o magii”. Tym właśnie jest ten przeklęty obiekt. – Zaśmiał się. – Kocham go! Ale ja w końcu nie jestem fizykiem...

– Oni pewnie świrują. – Wzięła ćwiartkę chleba i ugryzła odrobinę.

– Powinnaś zobaczyć moją pocztę. Właściwie to ja powinienem ją zobaczyć. Ta nieoceniona kobieta, Michelle, wyrzuca dziewięćdziesiąt procent e-maili, nim zdążę przyjść do pracy.

– Zna się na fizyce?

– Mniej więcej tak jak ty. Jest księgową i porobiła pewne kursy z różnych nauk. Ale czyta wszystko, co jej wpadnie w ręce, i jej ogólne pojęcie o sprawach naukowych jest lepsze niż moje.

– Oczywiście tak naprawdę wcale ich nie wyrzuca? – zapytała. – Zerkasz na nie?

– Hm, owszem. Przynajmniej na te, które mają jakąś wartość rozrywkową. Mówimy na nie „archiwum X”. Co piątek przeglądam je razem z Jan, naszym kosmologiem. Naprawdę są zabawne. – Nadział kolejny kwadracik chleba. – Czyste szaleństwo.

– Znajdujecie czasem coś przydatnego?

– Na razie nic. – Spowaźniał. – Ale niedługo wszystko się zmieni. Zamierzamy ujawnić... pewien aspekt, który dotąd trzymaliśmy w tajemnicy. Szkoda, że nie mogę ci powiedzieć nic więcej.

Ona osobiście była z tego zadowolona. To, że wiedziała o reakcji artefaktu, zwiększało jej szanse na objęcie stanowiska po Michelle. Ukończyła zaawansowane kursy z matematyki, statystyki...

– Och, nie bądź taki. Powiedz!

Uśmiechnął się.

– Twoje kobiece sztuczki nic tu nie dadzą. Ale powiem ci w poniedziałek, jeśli pozwolisz znowu zaprosić się na obiad.

– OK. Mogę przyprowadzić kolegę z „Weekly World News”?

– Pewnie będzie już siedział w biurze. Oświadczenie zaplanowano na dziewiątą.

– I naprawdę sądzisz, że po tym wszystkim będziesz mógł wyrwać się na obiad?

– Za wiele ci mówię. – Rozejrzał się na prawo i na lewo. – Dlatego wybraliśmy poniedziałek. Żadnych planów aż do wtorkowego

poranka. Co daje nam pewną kontrolę nad relacjami w mediach.

Sprawiał wrażenie lekko zaniepokojonego. Uzurpatorka wyciągnęła rękę i poklepała go po dłoni.

– Ani mru-mru.

– Ani mru-mru? – Zaśmiał się. – Nie słyszałem tego od dzieciństwa.

O, kurczę.

– Moja mama tak mówiła. Ciekawe, skąd się wzięło to powiedzonko.

– Diabli wiedzą, skąd one się biorą. – Rozluźnił się. – A jak tam w banku?

– Ludzie w porządku – powiedziała szybko. – Ale praca nie jest zbytym wyzwaniem. Kilka razy dziennie muszę zagadać w jakimś języku, żeby uspokoić klienta, pomóc mu wypełnić dokument albo zrozumieć jakieś wyliczenia. W opisie mojej pracy było napisane „kontakty międzynarodowe”. Cóż, technicznie to chyba zgodne z prawdą.

– Apia jest mniejsza, niż myślałaś?

Wzruszyła ramionami.

– Trochę o niej czytałam, więc nie jestem specjalnie zdziwiona... chyba że wami. Oczekiwałam czegoś wielkiego.

– Cóż, jest nas tylko pięćdziesięcioro. Do niedawna siedzieliśmy jak mysz pod miotłą. Dopiero kilka tygodni temu coś się zmieniło.

– Kosmita. W Honolulu był na pierwszych stronach gazet. Znaleźliście go? – Zamknęła oczy i pokręciła głową. – Przepraszam. To nie moja sprawa.

– Chciałbym, żebyśmy go znaleźli. Brukowce byłyby zachwycone.

– Nie wierzysz, że spoczywa w tajnym skrzydle szpitala lotnictwa wojskowego w Pago Pago?

– Nie, jest zamknięty w Roswell, w Nowym Meksyku. – Zaśmiał się. – Leżał tam, kiedy jeszcze nie było cię na świecie.

Była tam dwa razy. Raz – jako żonglujący karzeł, innym razem – jako student antropologii.

A zatem w poniedziałek mieli ujawnić zakodowaną odpowiedź artefaktu, a przynajmniej jej istnienie. Uzurpatorka zastanawiała się, jak to wpłynie na jej sytuację i co może zrobić zawczasu, by zwiększyć swoje szanse na pracę.

Russell dał jej sposobność.

– Pracujesz jutro?

– Nie, wszyscy idą do kościoła. Wszyscy oprócz mnie.

– Ja też mam wolne. Może wybierzemy się gdzieś na rowerach?

– Rany, nie siedziałam na rowerze od czasu studiów. Ale mogę spróbować. Chyba można gdzieś jakiś wypożyczyć.

– Mam drugi. – Podrapał się po brodzie. – W niedziele zwykle jeżdżę do Fatumes Pool albo Fagaloa Bay, ale to trochę za daleko, jeśli nie masz wprawy. Możemy się trochę pokręcić po okolicy, zobaczyć kilka widoków, a zakończyć piknikiem albo kąpielą w Palolo lub przy projekcie.

– Rafa ciągnie się aż tak daleko?

– Nie, tam jest zwykła plaża z białym piaskiem. Miejscowe dzieciaki często się przy niej kąpią. W zeszłym tygodniu zbudowaliśmy nawet barierę przeciw rekinom.

– Dużo ich tu?

– Wystarczy jeden. Wielki rekin młot zaatakował łódź na płyciźnie i zrobił wielką dziurę w kadłubie, więc rodzina, aiga, która jest właścicielem terenu, poprosiła nas o pomoc przy budowie bariery, która ochroni pływaków. To zwykła siatka druciana z dużymi okami. – Nakreślił palcami sześciocalowy kwadrat. – Na te naprawdę wielkie ryby. Kupiliśmy ją, a oni zapewnili siłę roboczą.

Ciekawe wyzwanie, pomyślała. Młot mógłby udać delfina i przeskoczyć nad siatką.

– Brzmi nieźle. Mają tam stoły piknikowe i tak dalej?

Skinął głową.

– Plus grill. Bądźmy amerykańscy: znam miejsce z dość przekonującymi hot dogami. Kupię kilka dziś po południu i wstawię do lodówki w biurze.

Ustalili, że spotkają się rano przy Vaiala Beach Cottages, ze strojami kąpielowymi. Następnie Sharon wróciła do klimatyzowanego banku.

Pedałując w stronę sklepu rzeźniczego, Russell rozmyślał o tym, w co się pakuje. Nie mógł sobie pozwolić na to, żeby naprawdę się z kimś związać – musiał być „dostępny” dla Obcego-Rae na wypadek jego powrotu. To był jeden z elementów ich planu schwytania kosmity, było bowiem prawdopodobne, że po powrocie ten ponownie zastosuje tę samą strategię i spróbuje uwieść Russella. Albo może Jacka lub Jan. Każda nowa osoba wkraczająca w ich życie musiała

przejsć badanie DNA.

Zastanawiał się przez chwilę nad zwróceniem pozostałym uwagi na to, że Obcy mógł znaleźć sposób na produkcję DNA, więc powinno się nadal mieć oko na Sharon, mimo iż przeszła test – w imię nauki, rzecz jasna.

45.

Apia, Samoa, lipiec 2021

Russell wiedział, że nie jest jedynym, który desperacko poszukuje Obcego. Nie wiedział natomiast, że jego konkurencja jest o wiele straszniejsza niż agenci CIA, którzy właśnie zaczęli się interesować Sharon.

Kameleon spędzał w Apii sporo czasu, odkąd się dowiedział, że znaleziono pojazd z innej planety. Wiedział, że jeśli na Ziemi jest ktoś taki jak on, także powinien się tam pojawić.

Uzurpator także spędził znaczną część swego ludzkiego żywota na poszukiwaniach innego uzurpatora. Postrzegał ich spotkanie jako pewnego rodzaju zjazd – „znowu razem, po raz pierwszy”. Mogliby sobie usiąść, pogadać i może wspólnie rozwiązać zagadkę swego pochodzenia.

Kameleona jednak nie interesowały zagadki. Interesowała go eliminacja konkurencji.

Nie był głupi. W ciągu tysiącleci uzyskał największy stopień wykształcenia w swojej kulturze. Wiedział, że jego pragnienie zniszczenia konkurencji nie jest racjonalne. Był jednak zaprogramowany aż po najmniejszą komórkę swego ciała: ten instynkt zastępował mu potrzebę reprodukcji. Pragnienie seksualne było dla niego bladym ognikiem w porównaniu z namiętnością niszczenia, by chronić siebie.

Według jego zasad łatwo było to zracjonalizować: gdyby ten drugi był taki jak on, to ich jedyne spotkanie okazałoby się krótkie i brutalne. Lepiej uderzyć jako pierwszy. Żaden człowiek nie mógł go zabić, ale i żaden człowiek nie wiedział, jak dogłębnie trzeba go uszkodzić, by naprawdę umarł.

On zaś to wiedział – musiał więc zakładać, że wie to także jego konkurent.

46.

Apia, Samoa, 24 lipca 2021

Żałowała impulsu, który ją skłonił do powiedzenia, że od lat nie jeździła rowerem. Jeździła jeszcze przed narodzinami Russella, a udawanie niezdary na jednobiegowym schwinnie wymagało umiejętności godnych Oscara.

– Jak sobie radzisz?

Jechali pod górę Logan Road, Sharon przodem. Nie było zbyt stromo, a ruch w niedzielny poranek niemal zamarł.

– Zaczynam żałować, o co w tym chodzi.

Stała na pedałach, by podjechać pod górę, czując jego wzrok na swoich pośladkach. Może nie powinna była wkładać obcisłego kostiumu do biegania, bo ludzie idący do kościoła rzucali jej pełne dezaprobaty spojrzenia, ale na Russella to działało.

– Dalej już cały czas z górki. Po prostu trzymaj się lewej strony-

– Wiem, biegałam tędy. Projekt jest za drugimi światłami, V-coś tam Road.

– Vaiala-vini. Jeszcze zrobimy z ciebie Samoankę.

– Pod warunkiem, że nie będę musiała polubić owoców chlebowca.

– Fuata. Zaczniemy od hot dogów i będziemy się posuwać wzdłuż łańcucha pokarmowego. Po indyjskich ogonach i plackach z tłustej baraniny będziesz błagać o fuata.

– Ha, mam pełną zamrażarkę indyjskich ogonów. Smażonych w głębokim tłuszczu. Pycha! – Zaśmiali się oboje, ale wiedzieli, że to delikatna sprawa. Samońska dieta zmieniła się pod wpływem przybyszów z Zachodu, i to bynajmniej nie na lepsze. Ogony indyjskie, big maki, placki z baraniny i peklowana wołowina... Niewielu tubylców po trzydziestce zachowało smukłość i zdrowe serce.

Russell pomachał strażnikowi, gdy przejeżdżali przez bramę obszaru projektu. Rzucili rowery na ziemię przed wejściem do głównego budynku, nie przypinając ich, i poszli do gabinetu Russa, by wyjąć z lodówki hot dogi i piwo, które następnie umieścili w lodówce piankowej. Russell wydobyl z szafki magazynowej trochę węgla drzewnego i poszedł rozpalić grill, Sharon zaś udała się do toalety, by się przebrać.

Przyjrzała się swemu ciału w lustrze i dokonała tu i ówdzie kilku drobnych modyfikacji. Wiedziała, że Russell połknął haczyk. Pytanie brzmiało, czy należy go już wyławiać. Może lepiej było zaczekać, aż Michelle będzie bliższa rozwiązania.

Albo pójść na całego. Zaciągnąć go do łóżka i zobaczyć, co z tego wyniknie.

Wyprodukowała ładne, czerwone bikini ze stringami, wyrwała kilka kępek nadmiernego owłosienia łonowego i zjadła je. Ułożyła biustonosz tak, by ukazywał czubki skrzydeł wytatuowanego kolibra, i lekko pogłębiła rowki w dolnej części pleców, pamiętając, że Russ dostrzegał je u Rae.

Tak wyposażona, owinęła się w talii lavalava. Mogła sobie nosić skąpy strój, gdy tylko zanurzyła w wodzie choćby palce u nóg, ale Samoanie nie przepadali za turystkami obnoszącymi się ze swymi wdziękami na łądzie.

Russell miał na sobie te same obcięte dzinsy, w których przyjechał, i zrobił z nich kąpielówki, pozbywając się koszuli i butów. Uśmiechnęła się, patrząc na jego znajome ciało, nieco pucułowate mimo umięśnionych rąk i nóg, o niemal mlecznobiałej skórze – nigdy nie wychodził na słońce, nie wysmarowawszy się blokerem słonecznym; oboje jego rodzice zmarli na raka skóry. Włosy na jego ciele były jedwabistym meszkiem, to czarnym, to białym – żadnej siwizny – a jedynym tatuażem, jaki posiadał, był obecnie niewidoczny maleńki napis „Nie otwierać przed Gwiazdką” w sąsiedztwie pokaźnej blizny po operacji wycięcia wyrostka robaczkowego przez wiejskiego lekarza na Wyspach Cooka. Ile innych kobiet zachichotało, gdy po raz pierwszy rozebrał się przy nich?

Natychmiast zauważył jej tatuaż.

– Ptak?

– Koliber. – Opuściła górę biustonosza niemal do sutka. Miała drobne piersi – takie, jakie lubił.

– Fajniutki. – Uśmiechnął się i odwrócił w stronę grilla. Skropił węgiel stuprocentowym alkoholem izopropylowym z butelki laboratoryjnej, po czym pstryknął zapalarką i węgiel zapalił się z niebieskim pyknięciem.

– Ile to potrwa? – zapytała. – Umieram z głodu.

– Co najmniej dwadzieścia minut. – Wskazał małą lodówkę stojącą na stoliku. – Piwa? A może popływamy?

– Najpierw popływajmy. Cała się lepię. – Odwróciła się plecami do niego, by zrzucić lavalava, co w innych okolicznościach można by uznać za gest skromności. Porwała ze stolika maskę, płetwy i fajkę i pobiegła do wody. – Ostatni piecze hot dogi!

Russell stał i spoglądał za nią, uśmiechając się coraz szerzej. Potem ruszył biegiem. Gdy wskoczył do wody, Sharon siedziała już na płyciźnie i ponad tafelę wystawała jej tylko głowa.

– Co z tego. I tak ja miałem piec.

Włożyła płetwy, po czym splunęła w maskę i roztarła ślinę.

– Są tu jakieś rafy?

– Nie. Dopiero za siecią na rekiny.

– Masz ochotę na odrobinę ryzyka?

– Jasne. Zawsze chciałem zobaczyć z bliska rekina młota o długości czternastu stóp.

Miałam tylko dziewięć stóp, skorygowała w myślach.

– Tego, który przegryzł łódź?

– Bez obaw. Przebili go harpunem i postrzelili na płyciźnie. Prawdopodobnie zaatakował, bo był ranny i wystraszony. – Russell skropił swoją maskę wodą. – Widziałem wiele rekinów i nigdy nie miałem z nimi problemów.

– Ja też. Może po prostu nigdy nie spotkaliśmy takiego, który byłby naprawdę głodny.

– Może. – Zrobił ruch ręką. – Tam jest jedna rafa. Podniosę siatkę, żebyś mogła przepłynąć pod spodem.

– Dobra. – Wsunęli ustniki do ust i przepłynęli sto jardów dzielących ich od siatki. Bez problemu prześliznęli się pod nią i płynęli ku rafie. Russell podał Sharon rękę, a ona przyjęła ją, jakby to było coś oczywistego. Płynęli swobodnie, zgodnym rytmem, poruszając się szybko dzięki płetwom.

Rafa nie robiła specjalnego wrażenia w porównaniu z dramatycznym pięknem tej położonej za farmą olbrzymich małży w

Palolo, ale kręciło się wokół niej trochę jaskrawo ubarwionych rybek i małych muren, obserwujących intruzów ze zwykłym skwaszonym wyrazem pysków. Russell znalazł ośmiornicę wielkości swojej dłoni i zaczęli ją sobie przerzucać z ręki do ręki, aż w końcu znudziła się zabawą i umknęła.

Russ wykonał gest naśladujący jedzenie, a Sharon skinęła głową. Skierowali się z powrotem ku siatce, nadkładając trochę drogi, by pościgać średniej wielkości płaszczkę.

– Fajna zabawa – powiedziała Sharon, stojąc po kolana w wodzie i zdejmując płetwy. Doskonale zdawała sobie sprawę z faktu, że przy mokrym kostiumie całe ciało jest widoczne jak na dłoni. – Ośmiornica była super.

– Mieliśmy szczęście. Ktoś kiedyś nazwał je „miękką inteligencją”.

– Jacques Cousteau. – Russell uniósł brwi. – Mój nauczyciel oceanografii miał jego książkę.

Gdy wychodzili na brzeg, Russell pomachał do sześć-, może siedmioletniego chłopca, siedzącego z wiadrem przy ich stoliku.

Wiadro było w połowie wypełnione lodem i zawierało dużą salaterkę oka, samońskiej wersji ceviche – ryby marynowanej w soku z limony i podawanej z kremem kokosowym oraz chili.

– Dzisiaj złapał, doktor Russell.

Zajrzał do salaterki.

– Tuńczyk paskowany?

Chłopak wzruszył ramionami.

– Dzisiaj tala.

– Nie mam przy sobie ani grosza.

– Ja mam.

Chłopak gapił się na jej krocze jak zaczarowany. Sharon owinęła się w pasie lavalava, wyjęła z kieszeni kilka banknotów i podała mu dziesiątkę.

– Fa’afetai – powiedział, podając jej miskę i wycofując się nieśmiało. – Dziękuję.

– Afio mai – odparła, a on obrócił się i pobiegł.

Patrzeli, jak się oddala. Russell zaśmiał się cicho.

– Zabawni są. Liberalni w kwestii nagości, ale konserwatywni, jeśli chodzi o ubiór.

Skinęła głową.

– Nigdy nie zrozumieję religii. Ani mody, nawiasem mówiąc. –

Postawiła miskę na stole i przeszukała torbę z jedzeniem w poszukiwaniu plastikowych widelców. – Przekąska?

– Dzięki. Najpierw nastawię hot dogi. – Wygładził pogrzebaczem białą stertę węgielków i wyjął z lodówki cztery hot dogi.

Ryba była chłodna, chrupiąca i ostra.

– Mogłabym się do tego przyzwyczaić – rzekła uzurpatorka. – Od jak dawna tu mieszkasz?

– Przyjechałem zeszłego lata razem z Jackiem Halliburtonem, żeby zbudować laboratorium. – Ułożył hot dogi w równych rządach. – Przez kilka miesięcy dojeżdżałem. Kończyłem starą pracę w Baja. Ale odkąd budowa została ukończona i wydobyliśmy artefakt, właściwie jestem tu uziemiony.

– I niezadowolony?

– Hm, miejsce jest w porządku, ale raczej do wypoczynku. Trudno się tu zajmować nauką. – Usiadł obok niej i nadział na widelec kawałek oka. – Nawet przy nowoczesnych środkach komunikacji, konferencjach internetowych i tak dalej, jest się na końcu świata. Wystarczy, że zepsuje się jakiś element za pięćdziesiąt centów, a samolot jest dopiero za dwa dni, i cała robota staje. Poza tym tęskni się... Wiem, że to brzmi snobistycznie, ale tęsknię za towarzystwem ludzi podobnych do mnie – naukowców, artystów i tak dalej.

– A mnie się zdawało, że jesteś samotnikiem.

– Hm, jestem, a przynajmniej byłem. To miejsce w Baja było położone na uboczu. Dlatego je wybrałem. Ale jeśli chciałem, w ciągu godziny mogłem dojechać do L.A., gdzie miałem mieszkanie koło kampusu uniwersyteckiego.

– I podrywałeś studentki. Znam ten typ.

Zaśmiał się i poczerwieniał.

– Gdy jeszcze miałem włosy. – Wstał, by zajrzeć do hot dogów. – Tęsknię za atmosferą uniwersytecką. Za księgarniami, kawiarniami, barami. Za bibliotekami na kampusie. No i za dziewczętami...

– Kampus jest fajny. Mieszkałam tam przez dwa tygodnie podczas letniego kursu nurkowania.

– Gdzie?

– W jakimś akademiku. – Wiedziała, gdzie teraz nocują studenci Jimmy'ego Coleridge'a. A jedenaście lat temu? – Conway? Conroy?

– To niedaleko mojego mieszkania. – Szczypcami obrócił hot dogi o 180 stopni, po czym podszedł do lodówki. – Piwa? A może

kieliszeczek wina?

– Masz tam wino?

– Nie, w biurze. To potrwa tylko minutkę.

– Jeśli byłbyś tak uprzejmy... Nie przepadam za piwem. Może się skuszę, jak już hot dogi będą gotowe.

– Pilnuj ich – poleciał i potruchtał do biura.

Zastanawiała się nad swoją sytuacją. Znajdowała się w punkcie zwrotnym: gdyby teraz zaczęła romansować z Russem, prawdopodobnie zaprzepaściłaby swoje szanse na pracę, ale przecież praca miała być tylko środkiem do celu, jakim był kontakt z artefaktem. Może dziewczyna Russa będzie miała na to większe szanse niż recepcjonistka.

Dlaczego tak bardzo pragnęła znaleźć się w fizycznej bliskości tego obiektu? Widziała wszystkie zdjęcia, przestudiowała dane, czytała dywagacje sfrustrowanych naukowców.

Pamiętała to mgliste uczucie, które ją ogarnęło, gdy płynęła z Bataan do Kalifornii; wahanie towarzyszące przepływaniu nad rowem Tonga.

Teraz też to czuła, silniej niż kiedykolwiek przedtem. Coś nabierało kształtu.

Russell wrócił z dwoma kieliszkami na długich nóżkach, wypełnionymi białym winem i już zaparowanymi od ciepła.

– Pij, póki zimne – rzekł, wręczając jej jeden, po czym wypił duszkiem jedną trzecią swojej porcji. Przewrócił hot dogi o ćwierć obrotu. – Za minutę będą gotowe.

– Więc dlaczego nie ściągnąłeś obiektu do Baja? Po co zaczynać wszystko od zera w tym miejscu?

– Chciałbym, żeby to było możliwe – odparł ze wzrokiem wbitym w grill. – Częściowo z racji problemu z transportem tego przekłętego obiektu, ale głównie z powodów politycznych. Meksyk leży zbyt blisko Stanów Zjednoczonych, nie tylko terytorialnie, ale także politycznie i ekonomicznie. Jack nie chciał, żebyśmy mieli na karku Wuja Sama ani żeby meksykańscy żołnierze walili nam do drzwi. Albo nawet je rozwalali.

– Mogliby?

– Jasne. Zagrożenie dla bezpieczeństwa półkuli. – Przekroił dwie bułki i położył na grillu. – Niepodległe Państwo Samoa naprawdę jest niepodległe. I stabilne. Tonga wprawdzie znajduje się bliżej miejsca

znalezienia artefaktu, ale nie chcieliśmy mieć do czynienia z tamtejszymi politykami. Jack przestudiował dane na temat wysp Samoa i metodą eliminacji wylądowaliśmy tutaj.

– A pierwszym czynnikiem, jaki braliście pod uwagę, było: „Czy jest tam jakieś miasto?”.

Skinął głową.

– Nazywają je jedynym miastem na Samoa, choć, jak sama wiesz, nie przypomina zbytnio Hongkongu. Tak naprawdę to kilka ściśniętych do kupy miasteczek, ale ma aptekę, sklep żelazny i tak dalej. – Wskazał główny budynek. – Ten kawałek ziemi leżał odłogiem, był prywatną własnością i miał dostęp do morza. Jack skontaktował się z matai rodu i załatwił dzierżawę. Przyjął nawet obywatelstwo samoańskie.

– I przystąpił do rodu, aiga?

– Nie, chociaż brał pod uwagę taką możliwość. Technicznie rzecz biorąc, musiałby się jednak podzielić z rodem całym swoim majątkiem. – Russell uniósł brew. – A to nie leży w jego naturze.

– Długo się znacie?

– Nie. Skontaktował się ze mną w sprawie katastrofy łodzi podwodnej, która następnie zaprowadziła nas do artefaktu. – Uzurpatorka, jako Rae, wiedziała, że tkwi w tym jakaś tajemnica. Może w tym wcieleniu uda jej się wyciągnąć z niego jakieś informacje.

– W normalnych okolicznościach nigdy byśmy się nie spotkali. On urodził się w bogatej rodzinie, ale wybrał służbę wojskową. A ja jestem bardzo daleki od obu tych rzeczy. – Przyjrzał się hot dogom. – Te dwa są gotowe. – Wyciągnęła papierowe talerzyki, a on położył na nich hot dogi i bułki, po czym obrócił dwa pozostałe zgodnie z jakąś tajemną zasadą termodynamiki i przekroił dwie kolejne bułki.

W milczeniu nakładali sobie musztardę, ketchup i przyprawy – wszystko z małych, zamkniętych próżniowo paczuszek, które Russell uwolnił z przeróżnych lotnisk.

Ugryzła.

– Smaczne. – Szczerze mówiąc, było trochę mdłe.

Russell wzruszył ramionami.

– Czasem byłbym gotów zabić za jakieś proste amerykańskie jedzenie z budki ulicznej. Z bakteriami i tym wszystkim.

– Może nie urodziłeś się bogaty, ale musiałeś sporo uzbierać. Nie

podniósłbyś Titanica za grosze.

Pokręcił głową, żując.

– Zawsze wykorzystuj pieniądze innych. Czasem czuję się bardziej jak domokrażca niż jak inżynier. – Przerwał, by wycisnąć do bulki kolejny woreczek musztardy. – Jack myśli, a przynajmniej mówi, że na tym obiekcie można zarobić fortunę. Może kiedyś ktoś ją zarobi, ale prawdopodobnie nie on. On musi jeszcze odpracować mnóstwo eurodolców. I jest stary.

– A ty?

– Ja jestem młodszy.

– Mam na myśli forszę. Myślisz, że zrobisz na tym biznesie fortunę?

– Nie, co ty. Ja to robię dla idei.

– Tak myślałam. To znaczy miałam nadzieję.

– To największe wydarzenie w XXI wieku. Może największe w historii. – Wbił wzrok w budynek kryjący obiekt. – Nawet jeśli to coś nie pochodzi z innego świata. To by znaczyło, że nasz obraz rzeczywistości i nauka są całkiem błędne. Nie niekompletne, lecz po prostu nietrafne.

– Ale jeśli nie pochodzi stąd, czy nie jest tak samo?

– W pewnym sensie nie. W ubiegłym wieku pewien facet zauważył, że odpowiednio zaawansowana technologia jest nie do odróżnienia od magii...

Arthur C. Clarke, zamilczała uzurpatorka. Spotkała go podczas startu statku Apollo w latach 70.

– I to nam otwiera furtkę. Nasza nauka nadal mogłaby być podzbiorem tej, którą dysponują oni. To tak, jakbyśmy cofnęli się w czasie i pokazali Newtonowi hologram.

Zaabsorbowany własnymi wyjaśnieniami, nie zauważył mężczyzny, który podszedł po cichu i stanął za nim. Dopiero na widok cienia podskoczył jak oparzony.

– Jack!

– Przepraszam. Nie zamierzałem się podkradać.

– To Sharon Valida. Jack Halliburton.

Wyciągnęła rękę.

– Spotkaliśmy się przelotnie. Pracuję w Pacific Commercial Bank.

– I ma pani dobrą pamięć do twarzy.

Szczególnie do twojej, pomyślała.

– Hot dog? – zaproponował Russell.

– Dzięki, idę do hotelu. Zauważyłem, że tu siedzisz, i przyszedłem zapytać, czy moglibyśmy się spotkać jutro rano trochę wcześniej, przed... tą całą hecą.

– Znaczy, koło ósmej?

– Może być. Zostawię wiadomość dla Jan. – Skinął głową uzurpatorce.

– Do widzenia, panno Valida. Do jutra, Russell.

– Zawsze się tak ubiera? – zapytała, gdy się oddalił. Jack miał na sobie biały płócienny garnitur, panamski kapelusz i samoańską koszulę.

– Owszem, o ile nie pracuje w laboratorium. Jest spóźniony o jakiś wiek.

– Kilku innych bogatych gości, którzy przychodzą do banku, też się tak ubiera. Mój szef nazywa ich postaciami w stylu Somerset Maughama. To jakiś aktor?

– Chyba pisarz. – Zjadł ostatniego kęsa i wstał. – Gotowa do następnego?

– Niech się jeszcze trochę podpiecze. Ale piwem nie pogardzę.

– Świetny pomysł. – Russ wyjął dwa heinekeny i otworzył.

Sharon dopiła wino i wzięła z jego ręki piwo.

– Za niedzielne pijaństwo. – Stuknęli się butelkami. – Mówiłeś coś o pokazywaniu Newtonowi hologramu.

– Tak. Przyszło mi do głowy, że to coś może wcale nie pochodzić z innej planety, lecz z ziemskiej przyszłości.

– Serio? Myślałam, że można się poruszać tylko w jednym kierunku.

– Wiesz coś o tym?

– Widziałam taką rzecz na sześcianie. Akcelerator cząstek.

– Mhm. Udało im się przesunąć cząstkę o ułamek sekundy w przyszłość. Co absolutnie zgadza się z teorią względności.

– Ale nie da się wyekspediować cząstki w przeszłość?

– Właśnie. Nie chodzi tylko o względność, lecz także o przyczynowość, zdrowy rozsądek. Przyczyna i skutek przestają mieć sens.

– Ale ty myślisz...

– Wiem, że to brzmi jak: „Skoro wydarzyła się jedna niemożliwa rzecz, to teraz już wszystko może się zdarzyć”, ale w pewien przewrotny sposób ma to sens. Wysłali ten niezniszczalny obiekt o

milion lat w przeszłość i umieścili go w miejscu, w którym nikt nie mógł go osiągnąć. Potem poszli go wykopać i...

– I nie było go tam! – Pokiwała gwałtownie głową. – Więc wysłali tego robota, żeby się dowiedział, co się stało.

– Nie robota – rzekł. – Kogo jak kogo, ale nie robota.

– Znałeś ją?

Zawahał się.

– Dość dobrze. A przynajmniej tak mi się zdawało. Jak na robota była wyjątkowo ludzka. Albo transludzka. Postludzka.

– Coś, co wyewoluowało z ludzi?

– Bingo. To bynajmniej nie musi potrwać milion lat. Obecnie tylko prawo i obyczaje, a nie nauka, bronią nas przed sterowaniem własną ewolucją.

Zamyśliła się. Jej wspomnienia sięgały tak daleko w przeszłość, że zawsze uważała się za przybysza z bardzo dawnych czasów. W gruncie rzeczy mogła jednak pochodzić z przyszłości i zatracić pamięć tamtej podróży.

Wiedziała, że sposobem na uniknięcie paradoksu przyczynowo-skutkowego mogłaby być niemożność zabrania jakichkolwiek informacji przez podróżnika cofającego się w czasie. Nigdy nie pomyślała o zastosowaniu tej zasady do wyjaśnienia własnej amnezji sprzed wieków, które spędziła jako żarłacz biały. Być może wysłano ją w przeszłość jako pozbawioną pamięci istotę, która nie potrzebowała wspomnień, by przeżyć i ewoluować.

– Rozmawiałeś o tym z Jackiem?

– Z Jackiem? Nie. On jest zwolennikiem hipotezy Obcych z innej planety. Zwłaszcza od czasów Rae, naszej „kosmitki”.

– Ale ty tego nie kupujesz.

– Cóż... Przypuszczam, że hipotezę pozaziemskiego pochodzenia można lepiej uzasadnić naukowo, a przynajmniej logicznie. Ale jeśli tak było, dlaczego po prostu się nie ujawniła i nie powiedziała: „Zaprowadźcie mnie do swego przywódcy”?

– Może się bała.

– Na pewno nie mnie.

– A Jacka? – Uzurpatorka uśmiechnęła się. – Przypuszczam, że nie byłaby jedyna.

– Czasami można się go przestraszyć – Russell wstał, by przewrócić hot dogi. – Podsmażmy je z drugiej strony.

Milczała, gdy obracał mięso i bułki. Kiedy uniósł głowę, Sharon wpatrywała się w morze, z dziwnym, zamyślonym wyrazem twarzy.

– Sharon?

Ani przez chwilę nie przestała manipulować jedynkami i zerami. Na udawanie człowieka poświęcała jedynie niewielką część swej inteligencji, więc podczas wykonywania codziennych zajęć w banku albo prowadzenia życia towarzyskiego, nawet tego oscylującego wokół Russa, większość jej jestestwa pływała w binarnym morzu informacji.

Sama wiadomość nadal nie była jasna, ale uzurpatorkę nagle olśniło, CZYM ona jest.

To była pieśń w jej rodzinnym języku. W języku zapomnianym przed milionem lat.

– Sharon? Nic ci nie jest?

– Ojej! Przepraszam. – Przetarła twarz obiema rękoma. – Czasem mi się to zdarza.

Russ usiadł na ławce, nie za blisko, i dotknął dłoni dziewczyny.

– Chodzi o twoich rodziców? – Odpowiedziała dwoma krótkimi skinieniami głowy. – Moi też zmarli razem, w każdym razie w tym samym tygodniu. Byłem trochę starszy od ciebie, ale i tak bardzo mnie to zraniło. Poczuję się samotny.

Oczy jej zwilgotniały. Otarła je.

– Masz rację. Tak właśnie się czuję.

Jesteś wspaniałym człowiekiem, pomyślała, ale nie masz pojęcia, czym naprawdę jest samotność.

Miał ochotę wziąć ją w ramiona, ale powstrzymał się.

– Odwiozę cię do domu.

– Nie, już przeszło. – Obdarzyła go promiennym uśmiechem. – Pora na następnego hot doga. – Zajrzała do pustej butelki. – Może po piwie robię się sentymentalna. Powinnam wypić jeszcze jedno.

– Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem. – Otworzył dwa i podał jej butelkę. – Bądźmy sentymentalni.

Pieśń. Pieśń o domu.

– Już odpowiednio podsmażone?

Dotknął lekko jednego z hot dogów.

– Idealnie.

Kiedy jedli i rozmawiali, celowo o nieistotnych sprawach, uzurpatorka snuła plany na resztę dnia i na najbliższą noc. Szczególnie

na noc. Russella czekała mała niespodzianka.

Jutro niemal na pewno zamierzali ogłosić, że artefakt odpowiedział na ich wiadomość, i być może ujawnić binarną sekwencję, by kilka milionów innych osób także mogło się zacząć nad nią głowić.

Ale nic by im z tego nie przyszło. To byłoby tak, jakby ktoś, kto nie ma pojęcia, czym jest alfabet Braille'a, przesuwając palcami po napisanej nim, w dodatku w obcym języku, linijce. Zakodowana wiadomość – zakodowana nie w obawie przed odczytaniem, ale mimo to nieodczytywalna.

Tak czy inaczej, do wtorku na wyspę napłynie mnóstwo ludzi z zewnątrz. Dziennikarze, którzy mają dość szczęścia, by znajdować się w Samoa Amerykańskim, wylądują tu w poniedziałkowe południe. Następnego dnia poranny samolot przywiezie mnóstwo kolejnych z Ameryki, w czwartek – z Azji i Europy. Przez całą dobę będzie obowiązywała wzmożona kontrola.

To znaczyło, że trzeba zadziałać przed jutrzejszym porankiem.

– Nie chcę być natrętny – rzekł Russell – ale może masz dziś wolny wieczór? Jeśli nie znajdę wymówki, Jack będzie mnie w nieskończoność trzymał w Aggie's.

Przymknęła oczy. Musiała być ostrożna.

– Chciałabym, ale... Mam randkę z kolegą z pracy. – Poklepała Russella po kolanie. – Muszę mu powiedzieć, że nie jestem zainteresowana. Poniedziałek i wtorek za to mam wolne.

– W poniedziałek jesteśmy już umówieni na obiad – przypomniał jej.

– W takim razie we wtorek kolacja.

– Zaraz zadzwonię do Sails i zarezerwuję stolik na ósmą. Miasto będzie pełne głodnych reporterów.

Skinęła głową.

– A ja będę już znała wielką tajemnicę.

– Poznasz ją jutro przed dziesiątą, jeśli tylko włączysz wiadomości. Możesz też zaczekać i pozwolić mi zaskoczyć cię przy obiedzie.

– Może zaczekam. Domyślam się, że nie pozwolisz mi zgadywać.

– Nie da rady.

– Odkryliście, że prezydent jest kosmitą.

– Kurczę, zgadłaś! Teraz będziemy musieli cię zabić.

– Cóż... Przynajmniej dowiedziałam się zawczasu.

* * *

Po obiedzie pojeździli trochę rowerami po Apii, zatrzymując się na zatłoczonym zwykle targu Maketi Fou po mrożone kokosy. W niedzielę nie było tam wielkiego ruchu. Sprzedawcy stali grupkami w ocienionych miejscach, plotkując, i niechętnie podchodzili, by skasować należność. Russell kupił Sharon naszyjnik z masy perłowej, który bardzo jej się spodobał. Ona kupiła mu jaskrawokarmazynowe jedwabne lavalava, podjudzając, by przyszedł w nim na kolację.

Uzurpatorka zastanawiała się, czy do tej kolacji w ogóle dojdzie. Ich znajomość miała właśnie wkroczyć na niezbadane terytorium.

Może w pewnym sensie Russell będzie musiał ją zabić – jako Rae lub jako Sharon.

Zaproponował, by trzymała rower u siebie, ale się nie zgodziła, mówiąc, że jest zbyt skażona cywilizacją i nie będzie chciała zostawiać go na dworze, a wnosić po schodach do małego mieszkania też nie ma ochoty. Zostawiła go w domku Russella, pocałowała go soczyście na dobranoc i poszła pieszo do odległego o kilka przecznic domu, czując na ustach zanikający smak pocałunku.

Spuściła żaluzje i leżała w półmroku, wsłuchując się w terkot wentylatora na suficie i szczebiot ptaków na rosnącym za oknem drzewie delonix regia, „płomienia Afryki”.

Zaczęła ćwiczyć język, którego jeszcze nie potrafiła zrozumieć. Używając głośni, wydawała kliknięcia długości dokładnie jednej dwudziestej sekundy dla jedynek i pozostawiała starannie odmierzone pauzy dla zer.

W początkowej partii wiadomości znajdowały się trzy skupiska sekwencji 000011110000, prawdopodobnie będące jakiegoś rodzaju znakami rozdzielającymi. Czwarta taka sekwencja pojawiała się zaraz na początku drugiej połowy. Dzieliły one tekst na części mniej więcej w następujący sposób: 2:1:1:47:49. W analogii do ludzkiej muzyki mogła to być dwuzwrotkowa pieśń poprzedzona trzema informacjami: pierwsza identyfikowała ją jako pieśń, a dwie dalsze podawały tytuł i jakieś dane techniczne, na przykład tempo i tonację. Albo smak i ładunek elektryczny.

Zwrotki nie posiadały żadnego wyraźnego wzoru, choć każda zawierała skupisko lub słowo 01100101001011 – powtarzające się trzykrotnie w pierwszej zwrotce i czterokrotnie w drugiej. Innych

długich powtórzeń nie było, a krótkie, takie jak 0100101, nie miały znaczenia statystycznego, lecz gdyby reprezentowały ludzki język, mogły być czymś w rodzaju angielskich przedimków „a” i „the”. Biorąc pod uwagę wysoką entropię Shannona, powinny być właśnie czymś takim.

Nie bardzo więc było co analizować, ale dla uzurpatorki wiadomość miała jakieś intuicyjne lub podprogowe znaczenie, poruszające i frustrujące, jak melodia usłyszana w dzieciństwie i niemal całkowicie zapomniana.

Wentylator na suficie klikał co trzy czwarte sekundy. Używała go jako metronomu lub sekcji rytmicznej. Jej ludzka głośnia potrafiła „mówić” z szybkością mniej więcej jednej trzeciej dźwięków wydawanych przez artefakt, więc trzykrotnie obniżyła wysokość swoich dźwięków.

Ćwiczyła dostatecznie cicho, by ktoś, komu przyszłoby do głowy podsłuchiwać, słyszał coś brzmiącego jak odgłos silnika wentylatora, i tak właśnie oceniła te dźwięki siedząca w sąsiednim pokoju agentka CIA. Agenci wprowadzili się do sąsiedniego mieszkania w kilka godzin po tym, jak Sharon zjadła swój pierwszy obiad z Russellem.

Zapamiętanie czterdziestopięciosekundowej sekwencji kliknięć i pauz, którą chciała odśpiewać artefaktowi jako odpowiedź, nie zajęło jej wiele czasu. Nie mogła się tam jednak dostać bez Russella, rzecz jasna, więc musiała zaczekać do zmroku, a nawet dłużej. Jeśli Russ jadł kolację z Jackiem, prawdopodobne było, że załatwi to szybko. Czy pójdzie potem do laboratorium, czy wróci do domu? Zwykle szedł do domu, by poczytać coś lekkiego albo posłuchać muzyki, a ponieważ większość następnego dnia miał spędzić w laboratorium, taki scenariusz wydawał się bardzo prawdopodobny.

O dziewiątej uzurpatorka włożyła uroczy czarny strój: krótką spódniczkę i przylegającą górę z obrazkiem fulerenów, połyskujących kolorami tęczy niczym skrzydła kosa. Gdy usłyszała, że agentka CIA idzie do toalety, wymknęła się po cichu.

Pod piątką żaluzje były spuszczone, ale światelko przy fotelu Russella paliło się. Wyobrażała go sobie, jak siedzi z książką i kieliszkiem wina, słuchając pobrzmiwającego cichutko dźwięku klawesynu, grającego *Wariacje Goldbergowskie*.

Zdjęła buty i zastukała do drzwi. Gdy otworzył, weszła do środka i łagodnie zamknęła je za sobą.

– Jestem impulsywna. A ty?

Potrwało kilka sekund, nim skinął głową.

– Przy tobie mogę być – rzeki, wpatrując się w nią.

Domek składał się z jednego dużego pomieszczenia ze ścianką działową, za którą znajdowała się „sypialnia”. Sharon poprowadziła go tam, gasząc po drodze lampkę.

– Chwila. – Zatrzymał się, by zapalić świeczkę, dokładnie tak, jak oczekiwała. W jej blasku wysliznęła się z zapinanej na rzepy spódnicy i zdjęta fulerenową bluzkę. Pod spodem nie miała nic z wyjątkiem tatuażu z kolibrem.

Usiadła na łóżku i przyciągnęła go ku sobie, rozpinając mu koszulę, gdy on męczył się z mankietami. Nie miał jeszcze pełnej erekcji; natychmiast wzięła go w usta, by się rozkoszować zmianą tego stanu. Łagodnie drażniła go zębami – wiedziała, że to lubi – a potem wykorzystała fakt, że nie ma odruchu wymiotnego – uzurpatorka zasadniczo nie miała żadnych odruchów – i pozwoliła mu wejść głębiej, tuląc go jedną ręką i pociągając za sobą na łóżko.

To samo zrobiła z nim Rae za pierwszym razem. Czy jego mózg funkcjonował dość dobrze, by skojarzyć te dwa fakty?

Sięgnął w dół, by jej pomóc, ale już była wilgotna; oczywiście sama kontrolowała tę funkcję. Wczołgała się na łóżko i usiadła okrakiem na Russellu, pomagając mu wejść powolnymi, kolistymi ruchami, i wzdychając z autentycznej rozkoszy. Ale bycie z nim jako Sharon jej nie wystarczało.

Uśmiechnęła się, bawiąc się jego włosami, gdy on poruszał się w niej w górę i w dół.

– A teraz mała sztuczka – powiedziała po minucie, odchylając się na bok, unosząc kolano i prostując nogę, po czym powoli okręciła się, robiąc tę samą sztuczkę z drugą nogą, tak że teraz była obrócona twarzą w drugą stronę, ale ani na chwilę nie wypuściła go z siebie.

– Jesteś tam? – zapytała retorycznie.

– Jak... jak tyś to zrobiła?

– Mam podwójne stawy.

Wiedziała, że to mu się spodobało, i sama także czerpała przyjemność z różnicy anatomicznej, ale przede wszystkim chciała być przez kilka minut zwrócona twarzą w drugą stronę. Russell objął ją dłońmi, a ona w wyćwiczony sposób używała swoich, starając się kontrolować jego stan, a zarazem pracując nad swoją twarzą.

Gdy nadszedł właściwy moment, wywołała w sobie entuzjastyczny orgazm, a zaraz potem on miał desperacki, niecierpliwy wytrysk. Wyśliznęła się i przechyliła w swoją stronę, a on uniósł się i objął ją od tyłu.

Po chwili nieco ją zaskoczył.

– Rae?

Powoli obróciła się w jego ramionach, ukazując swoją nową twarz – dawną twarz.

Wpatrywał się w nią, a ona przesunęła palcem po grzbiecie jego nosa.

– Miłość przychodzi i miłość odchodzi – zacytowała.

– Masz... masz nową rękę – wybąkał głupio. – Ale w środku jesteś taka sama.

Uświadomiła sobie, że od dziewięćdziesięciu lat, ilekroć była kobietą, miała osobowość pielęgniarki Deborah.

Obmacał rękoma jej twarz, po czym opuścił dłoń na tatuaż.

– Ale oprócz twarzy...

– Nadal jestem Sharon. Zmiana ciała trwa dłużej i jest bolesna.

– Kim... czym... – Nie przestawał jej pieścić. – Czym ty jesteś?

– „Kim” jest łatwiejsze. Sharon, Rae i kilkuset innymi osobami na przestrzeni ostatniego stulecia, dodając do tego kilka zwierząt i przedmiotów. Znacznie trudniej odpowiedzieć na „czym”.

– Inna planeta?

– Nawet tego nie wiem. Twoja hipoteza, że przybywam z przyszłości, nie pasuje do moich wspomnień. Sprzed 1931 roku pamiętam mgliste strzępy. Myślę, że właśnie wtedy po raz pierwszy przybrałam ludzki kształt.

– A czym byłaś wcześniej?

– Różnymi stworzeniami. Zawsze żyłam w morzu – jako żarłacz biały, orka, cokolwiek, co znajdowało się na szczycie lokalnego łańcucha pokarmowego. Wygląda na to, że mam całkiem silny instynkt przetrwania... Być może byłam tam od czasu przybycia artefaktu, może to on mnie przywiózł. Z przyszłości, z innej gwiazdy, innego wymiaru. Czuję neodparte przyciąganie z jego strony.

Russell pokiwał wolno głową.

– Więc uwiodłaś mnie w nadziei, że...

Pocałowała go w policzek.

– Co wcale nie oznacza, że cię nie kocham – szepnęła. – Można

kogoś kochać, a jednocześnie go wykorzystywać.

Milczał przez długą chwilę. Potem odgarnął z jej czoła kosmyk włosów i uśmiechnął się.

– Wydajesz się taka kobieca. Jako Rae, jako Sharon, a teraz jako ktoś pośredni.

– Wolę być kobietą. Ale podczas drugiej wojny światowej byłam żołnierzem piechoty morskiej, a później zonglerem w cyrku. W latach 70. w męskiej postaci ukończyłam astronomię na Harvardzie, na kilka lat przed Jan. Oceniałam jej prace na zajęciach z atmosfer Słońca i gwiazd. Jaki ten świat mały...

– Czy kiedykolwiek przed projektem spotkałaś Jacka lub mnie?

– Nie. O tobie oczywiście słyszałam, po tym, jak podniosłeś Titanica. Byłam biologiem morskim.

– I służyłaś w piechocie morskiej. – Pokręcił głową, nie mogąc tego ogarnąć. – A teraz?

Wydęła wargi.

– Teraz naleję nam po kieliszku wina. – Russell chciał się podnieść, ale położyła mu rękę na ramieniu. – Wiem, gdzie jest.

Przeszła do kuchenki, czując na sobie jego wzrok. Wiedziała, jak wygląda w blasku świecy.

– Chciałam mieć więcej czasu. Chciałam, żebyś pokochał mnie jako Sharon.

– Byłaś na dobrej drodze.

W ciemnościach napełniła kryształowy kieliszek czerwonym winem. Gdyby Russell widział teraz jej twarz, przestraszyłby się: miała tęczówki wielkości dwudziestopięciocentówek.

– Ale pomyślałam, że muszę przyspieszyć bieg spraw. Z powodu jutra.

– Wiesz, co się jutro wydarzy?

– Nietrudno było zgadnąć. Przecież jako Rae – dowiedziałam się o odpowiedzi artefaktu. Postanowiliście to ogłosić. Pewnie po to, by mnie wywabić z ukrycia. – Podała mu kieliszek.

Wziął go, ale nie zaczął pić.

– Również po to, by kilka milionów innych osób mogło się pogłowić nad sekwencją. Większe komputery. – Dopiero teraz pociągnął łyk, po czym oddał jej kieliszek. – Dlaczego po prostu się nie ujawniłaś? W ciągu nanosekundy stałabyś się częścią projektu i chronilibyśmy cię przed... – Wykonał gwałtowny ruch głowy mający

mówić: „ludźmi, którzy cię postrzelili”.

– Gdybyście mogli. – Wierchem palców pogłaskała zarost na jego policzku. – Znam ludzką naturę, kochanie – Być może lepiej niż ty sam. Jestem outsiderem, który ma za sobą niemal wiek obserwacji.

– Znasz miłość.

– Zznałam jej kilka razy. Znam też ksenofobię. Byłam Murzynem, Azjata i Latynosem w Stanach Zjednoczonych w czasach, gdy biali mogli takiemu zrobić, co im się żywnie podobało, i mówić do niego, cokolwiek przyszło im do głowy. Byłam białym więźniem podczas Batańskiego Marszu Śmierci. To była potężna lekcja: czuć, jak cię nienawidzą i boją się ciebie tylko dlatego, że jesteś inny. – Pociągnęła łyk i postawiła kieliszek na stoliku obok lampki. – A na tej planecie nie ma nikogo, kto byłby bardziej „inny” niż ja.

Po raz pierwszy powiedziała coś, co nie było prawdą – nie mogła jednak wiedzieć, że w pobliżu kręci się ktoś jeszcze bardziej odmienny.

– Udało mi się częściowo rozszyfrować wiadomość – kontynuowała. – Nie jako algorytm Drake’a i z pewnością nie jako tłumaczenie słowne. To wygląda na coś w rodzaju pieśni i sądzę, że jest zaadresowane do mnie. Chcę tam iść i odpowiedzieć.

– Dziś?

– To musi być dziś. Dlatego przyspieszyłam bieg spraw.

Russell podniósł się powoli.

– Sądzę, że strażnik wpuściłby cię ze mną. Ale co potem? Najprawdopodobniej nic by się nie wydarzyło. I co wtedy? Przyłączyłabyś się do zespołu? Jako nasza zakładowa Marsjanka?

– Jasne. Ale tylko ty, Jack i Jan wiedzielibyście, że nie jestem słodką Sharon z Hawajów, która sypia z szefem.

Pogłaskał ją po plecach.

– Dziś wartę ma albo Simon, albo Theodore. Obaj rozpoznają Rae. Możesz się zmienić w Jan, przybrać jej twarz?

– Prościzna. W pięć minut. – Wstała.

Dotknął jej biodra.

– Zaczekaj. Mogę popatrzeć?

Odwróciła się.

– Nikt nigdy nie widział, jak to robię. – Russell skinął głową. – W porządku. – Usiadła twarzą do niego.

Mrugnęła, po czym rozległ się cichy odgłos miażdżenia. Kości

policzkowe stały się bardziej wyraziste i przesunęły się bliżej nosa. Zniknął dołek w brodzie, a ona sama uległa wydłużeniu. Zmarszczki i zagłębienia powstałe pod wpływem uśmiechu pogłębiły się, a skóra pod oczyma stała się nieco obwisła. Oczy z jasnoniebieskich przeszły w brązowe. Włosy urosły do ramion i posiwiały, a następnie rozłożyły się i uczesały we „francuza”.

– Jak ty to robisz? Włosy... to przecież nie jest żywa tkanka!

– Nie mam pojęcia, jak to wszystko robię. – Wstała i rozłożyła ręce. Skóra jej pięknego ciała pomarszczyła się i stała trupio biała, po czym przeszła w jednoczęściowy nylonowy kombinezon. Skóra dłoni wyhodowała zmarszczki i plamy starcze.

Potarł nylon na jej ramieniu, chwytając go między kciuk a palec wskazujący.

– Umiesz robić syntetyki.

– Metale, wszystko. W latach 60. przez tydzień byłam telewizorem w motelu. Pouczające doświadczenie.

– Transmutacja pierwiastków?

Uśmiechnęła się na widok jego miny.

– Wiem. Mam całkiem świeży doktorat z astrofizyki. Najdziwaczniejsze fizyczne hipotezy nie są w stanie tego wyjaśnić... Myślę, że jedynym ograniczeniem jest masa. Jeśli przeobrażam się w osobę lub rzecz znacznie cięższą czy lżejszą, muszę nabierać ciała lub je tracić. Pewnie nie chciałbyś patrzeć, jak wcinam baranią nogę. Albo wielki słownik.

– To dlatego mogłaś stracić rękę i dalej funkcjonować?

– Tak. Bolało, bo utratę spowodowało obce ciało, i to z zaskoczenia. Gdybym musiała pozbyć się ręki, by stracić na wadze, zabrałoby mi to kilka minut i wyglądało bardzo dziwnie, ale odbyłoby się bezboleśnie.

Odchylił się do tyłu i pokręcił głową, nie przestając się gapić.

– Jest was więcej?

– Nie wiem. Nigdy nie spotkałam nikogo innego. Potrafię stać się więcej niż jedną jednostką: gdybyś mi dał godzinę, mogłabym podzielić swoje ciało między troje dzieci. Ale osobowość, inteligencja, także zostaje wtedy rozdzielona i staje się słabsza. Swego czasu przeobraziłam się w ławicę ryb. Każdy pojedynczy osobnik był głupi jak cep.

– Więc nie reprodukowałeś się w ten sposób. Przez podział, jak

ameba.

– Szczerze mówiąc, mam chyba jakiś instynkt, który mnie przed tym powstrzymuje. Kiedy jestem podzielona, czuję niepokój i chcę jak najszybciej stać się całością... Czasem się zastanawiam, jak to robią tam, skąd pochodzę. Może w ogóle się nie reprodukują. Po co nieśmiertelni mieliby to robić?

– Ale nie możesz mieć pewności, że jesteś nieśmiertelna, prawda?

– Nie, dopóki nie przeżyję kolapsu wszechświata. Ale wiele przeszłam i zawsze wracałam do zdrowia. – Wstała, wzięła świeczkę i podeszła do lustra w szafce, by się przyjrzeć swojemu nowemu wizerunkowi. – Idziemy? – zapytała głosem Jan.

– Za minutkę. Niektórzy z nas muszą się ubrać.

Znajdowali się zaledwie o dziesięć minut od terenu projektu. Po drodze pozdrowili kilka osób rozkoszujących się nocnym powietrzem albo siedzących na gankach, prawdopodobnie dając im pretekst do plotek: ludzie od dawna podejrzewali, że Russella i Jan coś łączy.

Dyżur w wartowni miał Theodore, potężny, pogodny Samoaniec chińskiego pochodzenia.

– Denerwują się państwo przed jutrem?

– Wiesz o naszych planach? – zapytał go Russell.

– Wiem tylko, że szykuje się coś ważnego. Simon mi powiedział.

– Pewnie w Pago Pago też już wiedzą – rzekła uzurpatorka.

– On mówił, że to tajemnica.

– Mam nadzieję, że nadal nią jest – mruknął Russell. – Idziemy do artefaktu.

– OK. – Strażnik nacisnął jakiś przycisk. – Droga wolna.

Minęli recepcję i przeszli pogrążonym we śnie korytarzem do drzwi przeciwwybuchowych, pokrytych tabliczkami ostrzegawczymi. Russ odblokował je odciskiem palca. Ciężkie wrota westchnęły i rozsunęły się.

W przedsionku znajdowały się dwie skomplikowane konsole. Russell zasiadł przy większej i wklepał kilka linijek.

– OK... Wyłączyłem kamery pod pretekstem konserwacji. Będą mieli problem z wytłumaczeniem tego.

– Zerknę na to, gdy będziemy wychodzić – rzekła uzurpatorka. – Myślę, że sobie z tym poradzę.

– Na komputerach też się znasz?

– Studiowałam na MIT. Miałam mnóstwo czasu na studiowanie

tego i owego. – Otworzyła szafkę. – Wkładamy kombinezony?

– Nie musimy. Nie prowadzą teraz żadnych nanooperacji. – Położył dłoń na drugich drzwiach. – Otwórz – powiedział cicho, miarowo, a drzwi bezszelestnie odsunęły się w głąb framugi. Po drugiej stronie znajdowały się kolejne, identyczne, bez panelu identyfikacyjnego.

– Zamknij – powiedział Russell, gdy znaleźli się w środku.

Drzwi zamknęły się za nimi, ale te z przodu nadal się nie otwierały.

– W śluzie znajdują się dwie osoby – rzekło pomieszczenie. – Potrzebny wzorzec mowy tej, która nie jest Russellem Suttonem.

– Jestem Jan – powiedziała uzurpatorka. – Otwórz.

Drzwi otworzyły się. Weszli do długiego korytarza, łączącego pomieszczenie, w którym znajdował się artefakt, z budynkiem głównym. Gdy drzwi zamykały się bezdźwięcznie, zamrugały fluorescencyjne światła. Pozbawione okien metalowe ściany pełne były przeróżnych napisów, rysunków i komiksów wykonanych za pomocą magnesów do lodówek; galaktyka magnetycznych słów zbiła się w skupiska poezji, nie zawsze obsceniczej.

Jedna, długa na kilka metrów płyta zawierała 31 433 jedynek i zera, cierpliwie wypisane czarnym markerem.

Ostatnie, prowadzące do samego artefaktu drzwi przeciwwybuchowe, grube jak w skarbcu bankowym, były uchylone. Gdy Russ i uzurpatorka przeszli przez nie, zespół reflektorów nad obiektem włączył się trzaskiem. Z ulgą ujrzeli artefakt leżący na swoich filarach, wielki laser, dwa bezużyteczne mikroskopy w pozycjach horyzontalnych, szereg urządzeń komunikacyjnych – i mężczyznę stojącego z założonymi rękami.

Kameleona.

– Jack? – zapytał Russ.

47.

Apia i nie tylko

Coś, co było Jackiem, skinęło głową.

– Wejdźcie, proszę. – Pstryknął sygnalizatorem na podczerwień i masywne drzwi zamknęły się z łoskotem.

– Strażnik nie powiedział...

– Bo go o to prosiłem.

– Więc spodziewałeś się nas? – Russell położył rękę na ramieniu uzurpatorki.

– Hm, tak. W pewnym sensie spodziewałem się was od dawna – rzekł, patrząc na uzurpatorkę. – Jan. Sharon. Rae. Naprawdę byłaś kiedyś odbiornikiem telewizyjnym?

Oboje wpatrywali się w niego, oszołomieni.

– Zainstalowałem mikrokamerę w twojej sypialni, gdy tylko wyprowadziłeś się do fale, Russell. Często miewałem z tego zabawę, ale nigdy tyle co dziś.

Russ dwukrotnie otwierał usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

Uzurpatorka skrzyżowała ręce.

– W takim razie wiesz, kim jestem.

– Właściwie nie. – Wyciągnął dłonie wierzchem do góry i w ciągu sekundy stał się repliką Russella, nadal mającą na sobie koszulkę i szorty Jacka.

– Jezu! – jęknął Russell.

– Niezłe – przyznała uzurpatorka.

– Ty tego nie potrafisz, prawda? Widziałem. Sama zmiana twarzy zajęła ci parę minut. Ale ty ćwiczysz to dopiero od wieku.

– A ty?

– Od epoki kamiennej, zdaje się. Ale odkąd pamiętam, zawsze było to natychmiastowe. – Ponownie zmienił się w Jacka i podszedł do niej.

– Wiesz, skąd pochodzimy? – zapytała.

– Nie sądzę, by istniało coś takiego jak „my”, moja droga. Ja nie potrafię się zmienić w telewizor ani w żarłacza białego. Ani nawet w kobietę. Mogę wyglądać jak dowolny mężczyzna, ale na tym koniec. Jesteśmy dwoma odrębnymi gatunkami.

– Ale możemy pochodzić z tej samej planety. Albo z tych samych czasów.

– Albo z tego samego wymiaru. Cokolwiek. – Stał przed samym jej nosem i lustrował ją wzrokiem. – Od tysięcy lat szukam kogoś takiego jak ty.

– Więc ten projekt – rzeki Russell – był tylko przynętą, która miała przyciągnąć...

– I tak, i nie. Artefakt jest prawdziwy. – Osobnik o wyglądzie Jacka nie zdejmował wzroku z uzurpatorki. – Odkryłem go na wiele lat przed wypadkiem łodzi podwodnej.

– Który wcale nie był wypadkiem – zrozumiała uzurpatorka.

– Bingo. Kontradmirał z tajnymi rozkazami może wiele dokonać bez wiedzy załogi. Podprowadziłem łódź w pobliże artefaktu, po czym zdetonowałem ładunek, który ją zatopił.

– Ze stu dwudziestu jeden ludźmi? – rzekł Russell.

Jack spojrzał na niego z rozbawieniem.

– Jak sądzisz, ile potrzeba czasu, by stu dwudziestu jeden ludzi zmarło z głodu na tej planecie?

– To nie ma nic do...

– Nieco ponad cztery minuty. Jeśli masz ochotę się popłakać, to idź i nakarm kogoś. – Wskazał gestem stół roboczy. – Usiądźmy.

Podeszli do stołu. Jack usiadł i nalał kawy z termosu do styropianowego kubka.

– Napijcie się?

Uzurpatorka wzięta kubek, ale nie uniosła go do ust. Russell usiadł nerwowo.

– Od jak dawna jesteś Jackiem Halliburtonem? To ty napisałeś...

– Pomiar i obliczenia batysferyczne? Nie. Ale oczywiście je czytałem. Przejąłem tożsamość Halliburtona w 2015 roku, bo wydał mi się logicznym kandydatem do „odkrycia” artefaktu i wynajęcia

ciebie do wydobywania go.

– Zabiłeś go?

– A co miałem z nim zrobić, adoptować? Pewnego wieczoru wypłynęliśmy razem żaglówką. Złamałem mu kark i posłałem jego ciało na dno z kotwicą. Ciesz się, że to nie byłeś ty. Bo mogłeś być.

– W każdym wcieleniu jesteś naukowcem? – zapytała kobieta.

– Rzadko. Zwykle bywam żołnierzem. Mówiłaś, że brałaś udział w Bataańskim Marszu Śmierci? Po czyjej stronie?

– Stanów Zjednoczonych.

– To musiało być... zabawne. Ja wybrałbym Japonię.

– Postanowiłeś zabić Halliburtona – odezwał się Russell – tak po prostu?

– Nie, nie „po prostu”. – W głosie kameleona pobrzmiwało coś na kształt furii. – Nie, żeby to było trudne, ale wcześniej musiałem go dokładnie przestudiować. – Wycelował palcem w Russella. – Masz zamiar mnie zaatakować. Wyczuwam w twoim pocie noradrenalinę. Nie rób tego. Mógłbym cię zabić jak muchę.

– Ale w końcu i tak będziesz musiał to zrobić – zauważył Russell. – Z nią też. Żeby ochronić swoją tajemnicę.

– Nie wyciągaj pochopnych wniosków, Russ. Mam ciekawsze opcje niż zabicie was. – Obrócił się do uzurpatorce. – Bataan był straszny. Musisz lubić ból.

– Nie, ale potrafię go wyciszyć. Czasem musimy go znosić, by wiedzieć, jak to jest być człowiekiem.

– Niby po co? To tak, jakby człowiek chciał się dowiedzieć, jak to jest być rzepą.

– Bynajmniej.

Pokręcił głową.

– Lubisz ich. Wydaje ci się, że kochasz tego tutaj. To tak, jakbyś kochała rzepę.

– A ty nigdy nikogo nie lubiłeś? Nie kochałeś? Od epoki kamiennej?

W mgnieniu oka kameleon przeobraził się w barczystego zbira, całego w szramach i tatuażach, i schwycił Russella za nadgarstek.

– Mówiłem ci – warknął gardłowo – nie rób tego.

Russell upuścił długopis, który trzymał jak sztylet.

– Nie waż się go tknąć!

Ponownie zmienił się w Halliburtona, chudego

siedemdziesięciolatka, ale nadal trzymał rękę Russa w żelaznym uścisku.

– Jak byś mi przeszkodziła?

Kciukiem i palcem wskazującym ścisnęła skraj stołu i przekreśliła go. Długi, postrzępiony kawałek drewna ułamał się z trzaskiem przypominającym wystrzał z karabinu, po czym zapiszczała, gdy kobieta pociągnęła go i oderwała. Trzymając fragment w rękę, wyciągnęła go ku kameleonowi jak ofiarę.

– Mogłabym ci go wepchnąć w dupę i odłamać.

Puścił Russella i pochylił się do przodu.

– To poważna propozycja? Mogłoby mi się to spodobać. Ostatnim razem, w czasach krucjat, było całkiem fajnie, chociaż musiałem udawać, że zdycham razem z innymi.

Łagodnie wyjął jej z ręki długi kawałek grubego drewna i wpuścił go sobie do gardła niczym połykacz mieczy. Zamknął usta, odkaslnął i wzruszył ramionami.

– Chcesz mi zagrozić czymś bardziej poważnym?

Pokręciła wolno głową.

– Nie wiem, dlaczego mielibyśmy być przeciwnikami. Powinniśmy się od siebie uczyć.

– Ja się uczę. Ty mogłabyś. – Wskazał artefakt za jej plecami. – Co miałaś na myśli, mówiąc „pieśń”? Myślisz, że potrafisz się z nim porozumieć za pomocą głosu?

– Wibracji akustycznych. Ty robiłeś to swoim solenoidem.

– W takim razie spróbujmy. Rozśpiewaj swoje małe serduszko.

Wstała powoli i cofała się w stronę artefaktu, nie spuszczając z oka kameleona i Russella.

– Jeśli go tkniesz...

– Nawet mi to nie przyszło do głowy. Zaczynaj.

Gdy znalazła się przy artefakcie, wyciągnęła rękę i dotknęła jego lustrzanej powierzchni, po czym wzdrygnęła się, jakby poraził ją prąd.

– Co to było? – zapytał Russell.

Pokręciła głową i zaczęła wydawać tryle. Był to nieziemski dźwięk, którego nie wydobyłby z siebie żaden człowiek: szybkie niczym ogień z karabinu maszynowego dźwięki o równej wysokości, przerywane pauzami głośniowymi.

Zamilkła po czterdziestu pięciu sekundach. Cała trójka wpatrywała się w artefakt, ale nic widocznego się nie wydarzyło.

Kameleon wstał i w milczeniu podszedł do kobiety. Russell poszedł w jego ślady.

– Wygląda na to, że nie zadziałało.

– Poczulałam coś. Daj mu czas.

– Czasu mamy co niemiara. Bez obaw. – Kameleon wyciągnął rękę i roztargnionym gestem pogłaskał uzurpatorkę po ramieniu, po czym łagodnie ujął ją za nadgarstek.

– Ręka już całkiem zdrowa?

Przekrzywiła głowę.

– Jasne.

– Szkoda. – Z całej siły pociągnął w dół. Staw barkowy wydał przeraźliwy trzask i ręka oderwała się od ciała. Chwilę później druga uniosła się i uderzyła go w brodę z taką siłą, że zuchwa wyskoczyła się z zawiasu i zwisała luźno.

Kameleon zatoczył się i odrzucił rękę, po czym obiema dłońmi wcisnął sobie zuchwę na miejsce.

– Co ty wyprawiasz? – zapytała kobieta. Tryskająca z jej ramienia krew zakrzepła.

Chwilę potrwało, nim szczeka wskoczyła na swoje miejsce.

– Robię to, dla czego żyłem przez tysiące lat.

– Dlaczego?

– Na planecie może żyć tylko jedno z nas.

– Nie należę do twojej rasy.

– Ale jesteś...

Russell wskoczył mu na plecy i ścisnął łokciami za gardło. Kameleon zrzucił go jak lalkę wprost na ciężką podstawę lasera.

– Moim jedynym rywalem w tym miejscu jesteś ty. To nic osobistego. Po prostu musisz umrzeć.

Podeszła do leżącego nieruchomo Russa.

– To stało się osobiste, kiedy go zraniłeś. A poza tym ja nie mogę umrzeć.

– Wierzę, że potrafię doprowadzić cię do stanu równoznacznego ze śmiercią. Muszę jedynie rozedrzeć cię na kawałki i postarać się, by pozostały osobno. Na wieki.

Znalazła tętno na szyi Russella, po czym stanęła pomiędzy nim a potworem.

– Mogłabym zrobić to samo tobie.

– Wątpię. Masz tylko jedną rękę. Nie zdążysz wyhodować sobie

drugiej. I nie wyjdiesz stąd, żeby zyskać na czasie.

Popatrzyła na ściany.

– Mylisz się. Mogłabym w ciągu kilku sekund znaleźć się po drugiej stronie tej ściany i wskoczyć do morza. A nie sądzę, żebyś chciał się ze mną mierzyć w wodzie. Nawet jeśli mam tylko jedną rękę. – Jeśli to zrobisz, zabiję go. Decyzja należy do ciebie. Kobieta zawahała się. Jack nie mógł pozostawić Russa przy życiu, niezależnie od tego, co stałoby się z nią.

– Nie krępuj się – podjudzał ją kameleon. – Nie będę nawet próbował cię zatrzymać. I tak wrócisz, a ja tymczasem będę go powolutku zabijał. Niełatwo się z nim pracowało.

Spróbowała innej taktyki.

– Nie rozumiem cię. Jesteś jak naukowiec, który przez całe życie czegoś szukał, ale gdy już to znajduje, chce to zniszczyć, nim się czegokolwiek dowie.

– Dowiedziałem się dość, nim wyszłaś z sypialni, by przyjść tutaj. Poza tym nie jestem naukowcem w większym stopniu niż ty kobietą. – Nagle spojrzał w lewo. – No, no. Niezłe.

Oderwana ręka przeobrażała się w broń. Paznokcie stały się długimi, metalowymi szponami, a nad dwoma kłykciami uformowały się oczy. Wyrosłe z boków nibynóżki zmieniały się w pajęczę nogi.

Kameleon ponownie obrócił wzrok ku uzurpatorce.

– Pozwól, że ci pokażę, jak wyglądałem, gdy zaczynałem cię szukać. – Po tych słowach skrócił się o ponad stopę i spotęźniał tak, że szorty i koszulka pękły. Całe ciało pokryło się czarnymi włosami, a twarz przybrała prymitywne rysy neandertalczyka. Zdarł z siebie strzępy ubrania, ukazując masywne mięśnie i wielkie, nabrzmiałe genitalia.

Rzuciła się na niego, a on odkopnął ją na bok jak piórko. Zrogowaciały pazur rozdarł ubranie i skórę między piersiami; rozległ się trzask łamanej kości. Kobieta przeturlała się i podniosła na czworaki, blada i niepewna.

Kameleon gładził się przez chwilę, spoglądając na nią.

– Nie – mruknął.

– Spróbuj – powiedziała, napinając się.

Rzucił się na oślep w bok z szybkością węża i pochwycił coś, co kiedyś było oderwaną ręką. Wiło się i usiłowało walczyć, ale on zacisnął łapę na pazurach i odginał je do tyłu, aż się połamały. Wtedy

z hukiem rzucił nimi o podłogę. Następnie obrał ze skóry, jakby czyścił krewetkę.

Wgryzł się w biceps, oderwał pasek ciała, po czym, żując go, złamał rękę w łokciu. Długim, brudnym paznokciem z lubością wydłubał oczy znad kłykci i włożył sobie do ust.

Uśmiechnął się czerwonymi od krwi zębami i ugryzł ponownie.

Uzurpatorka rozglądała się po pomieszczeniu za czymś, czego mogłaby użyć jako broni. Ale panował tam zbyt wielki porządek; nic nie wałało się luzem. Ogromny laser z pewnością mógłby roznieść kameleona na kawałki, ale był ciężki jak głaz i można go było uruchomić jedynie zdalnie.

Russell odzyskał przytomność i przyglądał się mrożącej krew w żyłach scenie. Kameleon zdążył zderzyć skórę niemal z całej kości powyżej łokcia. Odrzucił rękę i wypluł spory kawał mięsa.

– W tym momencie powinienem powiedzieć: „Cudownie smakujesz, kochanie”, ale skłamałbym. Chyba w życiu nie jadłem niczego tak obrzydliwego.

– Jesteś pierwszym znanym mi stworzeniem, które ugryzło więcej niż raz. Napraw sobie kubki smakowe. – Zauważyła, że Russell grzebie w kieszeni, po czym wyciąga z niej wielofunkcyjny scyzoryk.

– Russ, nie!

Kameleon obrócił się ku niemu i parsknął śmiechem.

– Złe narzędzie, Russell.

– Tak? – Russ wykonał półobrót i wepchnął scyzoryk w gniazdko wysokiego napięcia w ścianie. W deszczu iskier prąd powalił go na ziemię. Światła zgasły.

Po sekundzie włączył się generator awaryjny napędzany benzyną. Światła zamrugały, po czym zabłyśły równie jasno jak przedtem. Russ usiadł, trzymając się za bolącą dłoń.

– Nie zyskałeś wiele czasu.

– Nie taki był mój zamiar. Ludzie przyjdą sprawdzić, co się dzieje.

– I odkryją, że nie mogą otworzyć drzwi przeciwybuchowych.

– Nie przemyślałeś tego zbyt dokładnie, prawda? Zabijesz nas i co potem? Zwołasz konferencję prasową?

– Po prostu wyjdę w ten sposób, w jaki ona...

Odwrócił się, ale jej już tam nie było.

Skoczyła z belki sufitu dokładnie w momencie, w którym uniósł wzrok. Wylądowała na ramionach kameleona i dwukrotnie zakręciła

jego głową. Strzyknęło w karku, a po kolejnym pociągnięciu głowa odskoczyła z taką siłą, że wyrznęła o sufit. Kameleon zdążył jednak złapać kobietę za nogę i lukiem wyrzucił ją w górę, tryskając krwią z szyi. Uderzyła ciężko o ziemię i potoczyła się do podstawy artefaktu, zatrzymując się w pobliżu Russella.

Do tego czasu kameleon zdążył sobie wyhodować nową głowę – groteskową kombinację neandertalczyka i Jacka.

– To naprawdę bolało. Chcesz zobaczyć, co ja potrafię?

Podniosła się z wysiłkiem i dotknęła artefaktu.

Rozległ się dźwięk przypominający pojedyncze uderzenie odległego dzwonu.

Uzurpatorka po raz pierwszy od miliona lat przybrała swój prawdziwy kształt. Wydłużała się, aż osiągnęła osiem metrów. Jej twarz miała tylko jeden otwór i nie posiadała widocznych zmysłów. Ciało ulegało nieustannym przemianom, połyskując całą gamą barw; kończyny wyrastały, zanikały, przeistaczały się. Cała postać była niehumanoidalnie piękna.

Artefakt spłynął ze swego stojaka niczym rtęć. Prostym strumieniem popłynął ku kameleonowi i utworzył wokół niego zakończoną kopułą klatkę.

Uzurpatorka rozmawiała z nim kolorami.

Kameleon schwycił płynne pręty klatki, te jednak się nie ugięły. Jego ciałem wstrząsnął paroksyzm; po chwili znieruchomiało i pokryło się szronem.

Artefakt roztopił się w kałużę wokół kameleona, po czym ponownie utworzył srebrzystą elipsę, trzy lub cztery razy większą od jego pierwotnej postaci, z zastygłym stworzeniem w środku. Kolory błyskały po całym pomieszczeniu, po czym zgasły; uzurpatorka ponownie stała się Jan, potem Sharon, a na końcu Rae.

Podeszła do Russa, ujęła go za rękę i pomogła mu wstać. Objęła go.

– Co to... to byłaś ty?

– Dla mnie to też nowość, ale owszem. Zdaje się, że tak wyglądam, kiedy nie muszę wyglądać jak coś innego.

Rozległ się głośny trzask i wielka połać sufitu opadła o kilka stóp, po czym zatrzymała się, obróciła o dziewięćdziesiąt stopni i powoli osiadła na podłodze, elegancko oparta o ścianę.

– Artefakt jest czymś w rodzaju mojego współnika, na swój sposób

żywego. Nie miałam pojęcia, kim jestem, dopóki nie zaśpiewałam i nie dotknęłam go. To zmieniło także jego. Obudził się. Odkąd rozpoczęłam swoją ekspedycję, znajdował się w czymś w rodzaju trybu oczekiwania.

– Od dziewięćdziesięciu lat?

– Raczej od miliona. – Popatrzyła na elipsę. – Nie wie, czym jest Jack, ale bez wątpienia nie powinniśmy mu pozwolić zostać na Ziemi. Zabierzemy go do domu i przebadamy.

– To on wciąż żyje?

– Tak. Zabić go jest równie trudno jak nas. Ale nie pochodzi z naszego świata.

– A gdzie jest wasz świat?

– Dziesięć tysięcy lat świetlnych stąd. To planeta w gromadzie kulistej – Messier 22, w konstelacji Strzelca. – Obdarzyła go długim pocałunkiem. – Zdobądź teleskop i popatrz na mnie od czasu do czasu.

– Musisz odejść...

– Tak. To jak prawo. Zbyt długo tu byłam. Robiłam rzeczy, których nie powinnam była robić. Na przykład zakochałam się w kimś stąd. W Obcym.

– Hm... Wiem, jakie to uczucie. – Ścisnęła jego dłoń i zaczęła coś mówić, ale odwróciła się i ruszyła w stronę statku, w którym pojawił się otwór. – Czy mógłbym polecieć z tobą?

– Widzę, że nadal jesteś astronautą. – Strzasnęła łązy i pokręciła głową. – To zbyt długa podróż. I musiałbyś polubić chlor. – Spoglądała na niego przez długą chwilę, po czym weszła do wnętrza elipsy. Otwór zniknął.

Statek bezszelestnie uniósł się ku dziurze w suficie, lecz po chwili niespodziewanie osiadł znowu i otworzył się, ukazując uzurpatorkę w swej naturalnej formie – chaotycznej i cudownej.

Przeistoczyła się w Rae.

– Zdziwisz się, ale statek mówi, że możesz polecieć. Tyle że nie jako człowiek. Musiałbyś pozwolić mu przemienić cię w coś podobnego do mnie.

– Mógłby to zrobić?

– To pestka. – Uśmiechnęła się. Oczy jej błyszczały. – I nadal byłbyś Russem. Moim Russem...

Niespodziewanie zatrzeszczały głośniki i dobiegł z nich boleśnie

hałaśliwy głos Jan.

– Jack? Russell? Co tam się, u diabła, dzieje?

Russell pokręcił głową i zaśmiał się.

– Russ, strażnik twierdzi, że wszedłeś tam ze mną! Co ty wyprawiasz?

– Ja tylko... udaję się na małą przejażdżkę. – Zawahał się na moment, po czym przeszedł przez próg i poczuł, że zaczyna świecić.